

BARONOWA INBORN.

STANISŁAW PIOŁUN-NOYSZEWSKI

BARONOWA INBORN

POWIEŚĆ



SKŁAD GŁÓWNY

KSIĘGARNIE GEBETHNERA i WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — PARYŻ
:: :: :: POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE :: :: ::

THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC
NEW-YORK.

Komputer

89611



BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0043605

K-46/18/89611

Druk: „Polonia“ Spółka Wydawnicza, Sp. z ogr. odp., Katowice

I.

Łęski chodził miarowym krokiem po pokoju i od czasu do czasu zatrzymywał wzrok na twarzy swego gościa. Silił się na spokój i z trudem opanowywał pewną nerwowość. W jego twarzy jednak i ruchach bystry nawet wzrok nie zauważyłby nic niezwykłego. Był to człowiek dużej kultury, zewnętrznie opanowany i posłuszny nakazom wieloletniej psychicznej dyscypliny, w którą uzbraja się z czasem każdy wyższy intelekt, zmuszony żyć w wielkoświatowym środowisku.

Maskowane to podniecenie nie uszło wszakże oka jego starej przyjaciółki. Nie zatrzymała nawet ni razu inkwizytorskiego spojrzenia na jego spokojnej naporóż postaci, cała pochłonięta niejako oglądaniem wytwornie oprawnej fotografii, instynktownie wszakże odczuła jego niepokój.

Wystarczało jej to, że była kobietą. Miała więc swą nieomylną intuicję, miała doświadczenie osób starych, nawykłych do czytania w hieroglifach życia, a przytem łączyła ją z pisarzem bardzo dawna zażyłość.

Nie widziała go wprowadzić przez kilka lat wielkiej wojny, która Łęskiego zaskoczyła na Zachodzie, ale nici przyjaznych rozłąka ta nie rozluźniła wcale. Generałowa nie wątpiła o tem w duchu ani na chwilę. Żartowała sobie niejednokrotnie, że przyjaźń z osobą w jej wieku jest zawsze trwała. Temperatura jej bywa niewysoka, ale zato niezmienna i burze uczuć ludzkich horyzontu jej nigdy zaćmić nie mogą.

Fotografia ta, w którą wpatrywała się zresztą ze szczerą uwagą, a nawet rozrzewnieniem, zbudziła w umyśle jej pewne asocjacje, kojarząc dawne spostrzeżenia z dzisiejszemi.

Przed siedmiu czy ośmiu laty Grabowska miała co do Łęskiego niejake podejrzenia, ale traktowała je wówczas lekko, jako objaw naturalny i przelotny.

Dziś nie chciała go pytać o znaczenie tego portreciku w jego intymnem sanctuarium pracy, umieszczonego tak pieczołowicie, tuż nad olbrzymiem biurkiem, naprost wzroku człowieka, który w zadumie spędzał tu długie godziny. Odpowiedziałby jej napewno, że jest to jedna z wielu pamiątek przeszłości, zbieranych po drodze życia — z przypadku, czy dla rozrywki. Innej odpowiedzi dać nie mógł. I dlatego Grabowska nie pytała go o nic. Czuli, że naraziłaby go na kłamstwo, które Łęskiemu sprawiłoby przykrość.

— No i cóż, moja dobra przyjaciółko? Kontemplujemy? — przerwał jej rozmyślenia Łęski. — Strzeż się, bo w naszym wieku otwiera to furte starości, gościowi wcale nieproszonemu. Mając już pewną liczbę krzyżyków, musimy się wystrzegać

wszelkich rozpamiętywań. Trzeba żyć chwilą, wrażeniem dorywczem, myśleć krótko i zwięźle, a przedewszystkiem płyciutko. Bujać wśród baniek z mydła, bo inaczej... cha!... cha!

— Skończ-że już, byle prędko!

— Inaczej, przybywa nam zmarszczek, generałowo.

— Nie zmieniłeś się, jak widzę, w tej swojej Europie. Ten sam masz dawny cynizm, bardzo zresztą spłowiły, i ten sam brak uprzejmości. Nawet to zestawienie naszych lat nie ma w sobie nic rycerskiego, bo żart za gruby.

— Toż to są twoje własne maksymy, generałowo. Zapamiętane i przytoczone wiernie. No, nie gniewajmy się, — dodał.

Ostatnie zdanie powiedział miękko i przyjaźnie, a w głosie zadźwięczała mu niekłamana dobroć. Rozsiadł się w miękkim fotelu, podsunął pudełko papierosów i w świetle stojącej na biurku lampy objął spojrzeniem jej siwą głowę.

Z przykrością odkrywał rysy i spustoszenia, jakie na twarzy Grabowskiej poczyniły lata wojny. Postać jej, jeszcze przed kilku laty tak sprężystą i energiczną, wzrok, tryskający skrami życia — czas i przeżycia naznaczyły surową swą dłonią.

Siedziała w fotelu przygarbiona, w ruchach znaczyło się zmęczenie, spojrzenie przygasło. Ze stojącego przed nią pudełka wzięła skwapliwie papierosa i zaciągnęła się z namaszczeniem.

— Dobrze masz papierosy, Łęski. Zauważyłeś pewno, że nigdy ci nie odmawiam. Łatwo zrozumiesz, skoro takiej namiętej palaczce od trzech lat

zabrakło nawet tej przyjemności. Ty sobie dobry jesteś. Ulotniłeś się w porę. A na nas, twoich starych przyjaciół, szły właśnie najgorsze chwile. Nie przeżyłeś z nami okupacji — cóż ty wiesz? Twoja stara Grabowska po dawnemu nie lubi, by ją tak nazywano, ale, ot — jest już stara. I czuje się stara. To trudno. Teraz dopiero powoli odżywam, gdy wy, marnotrawne dzieci, wracacie znów do gniazda. Zobaczysz, — wrócą jeszcze dawne dobre czasy. Jeszcze was wszystkich zakasuję humorem i stara moją młodością.

— Ode mnie będziesz zawsze wiele, wiele lat młodszą, generałowo, — podchwycił Łęski.

— No, no! Tylko mi się sam nie postarzaj. Nie krój na karawaniarza, bo na to zawsze czas, uderzyła go zlekka po ramieniu. — Cieszę się bardzo, Łęski, żeś przyjechał. Zdaje mi się, że w was wszystkich odnajduję siebie. Wróciłeś ty, wróciła Janka...

— Pani baronowa Inborn, chciałaś pewno powiedzieć, przyjaciółko?

Grabowska spojrzała mu w oczy i spoważniała.

— Dlaczego podkreślasz tę różnicę? Czy sądzisz, że się tak bardzo zmieniała?

— Nie wiem, — odparł z wahaniem. — Poprostu, tak przypuszczam. Byłoby to całkiem naturalne. Wszak nie widzieliśmy jej około ośmiu lat...

— Dla mnie jest ona zawsze tą samą, dawna Janką. Mam wrażenie, że życie serca jej nie zmieniło. Może tylko...

— A widzisz, zawahałaś się. Tych kilka lat — to nie wszystko. Od dawnej Janki, której na fotografii przypatrywałaś się z taką uwagą, do baro-

nowej Inborn, do istoty, której świat składał hołdy, a zmarły mąż-opiekun pozostawił fortunę Krezusa, — duży krok. Takie przeskoki losu wpływają silnie. Zwłaszcza na kobiety.

— Nie chcę ci przeczyć, że znalazłam w niej pewne zmiany, ale mylisz się, sądząc ją według zwykłego szablonu. To nie jest przeciętna kobieta.

Łęski, mimo swej woli, ożywił się. W głosie jego odzywały się chwilami akcenty gorączkowe.

— Nie przeciętna? Przyznaję! Powiem nawet, że jest do istota wyjątkowo silna. Silną w złej sprawie była też i dawna Janka. Pamiętasz dobrze, generałowo. Wówczas jednak można jej było współczuć, jak komuś, idącemu odważnie na stos, wszystko jedno, z jakich względów, z jakich pobudek. A dziś... Dziś jest to tylko królewski posąg. Zimny posąg z marmuru.

— A więc widziałeś ją?

— A więc odgadłem prawdę? — usiłował pokryć zmieszanie.

Grabowska schyliła głowę i zamyśliła się.

— Nic nie odgadłeś i niczego się w życiu nie nauczyłeś. Psycholog z ciebie papierowy, bo myślisz tylko literaturą. A przytem jesteś mężczyzną, któremu zawsze w głowie do oceny tych zjawisk czegoś brak. Prócz tego, przyznaj, dziwnie w tej sprawie nie umiesz być bezstronny. Poprostu, jestem tem zaskoczona.

Tu generałowa podniosła face-a-main i z pewną dozą triumfu spojrzała mu w oczy. W spojrzeniu jej zaigrało coś filuternego i zgasło.

— Twoja przyjaciółka nie jest poetką. Wogóle żyła prozą całe życie. Mimo to, myli się rzadko, bo zna dusze kobiet i stać ją na przeniknięcie niejednego bardzo „skomplikowanego” mężczyzny.

— I cóż ci mówi twoja proza?

— Że stać cię na definicje głębsze, ale nieraz popełniasz fatalne błędy. Wyrok, wydany przed chwilą na Jankę, jest tak powierzchowny, że, daruj, ale wstyd mi za ciebie.

— Więc?...

— Janka, lub pani baronowa Inborn, jeśli wolisz, jest może posągiem. Istotnie, tak wygląda. Ale to nie jest, mój sędzio, Galatea i budzić jej nie potrzeba. Szkoda zakłęb i sztuki czarnoksiężskiej.

— Myślisz więc, przyjaciółko?

— Że baronowa Inborn jest dziełem Janki Brzeskiej. Tak, jak jej dziełem jest i ów powiew... tragiczmu, który się nad jej głową unosi.

— Jeśli ktoś jednak był sam kowalem swego losu?

— Można go sądzić, gdy się to komu podoba, potępiać jednak można tylko wtedy, gdy się ma do tego prawo. Żadnemu z nas, mój drogi, nie wyrządziła ona krzywdy, a że byliśmy jej niejako bliscy, możemy tedy współczuć, a więc i kochać, bo to istota bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

— Bronisz jej, generałowo, bo ją kochasz.

— A ty? — podniosła nań zdziwione oczy. — Radbyś widzieć potępić i nierad. Skądże ci się to wzięło?

Lęski sposepniał. Zapanowało kłopotliwe milczenie.

Grabowska wstała, przeszła przez pokój i zapatrzyła się w mrok ulicy. Po chwili podeszła doń zwolna i pochyliła się, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Żal mi jej. Ogromnie żal. Ta kobieta poprostu się z sobą szamoce. Trudno to dostrzec, bo ona jest naprawdę silna, ale ja to widzę, o, widzę!

— Czy to jednak nie twoje złudzenie, przyjaciółko? — szepnął miękko, już bez sarkazmu. — Prowadzi życie tak świetne. Otworzyła salony. Mówią o niej, że wskrzesza Warszawę.

Generałowa uśmiechnęła się blade.

— I to ty mówisz? Widzisz w tem próżność, jak inni? Nie wierzę ci. To nieszczerłość. Czyż nie jesteś już zdolny patrzeć w życie, jak dawniej, własnymi oczyma? Czy sądzisz, że tej kobiecie może jeszcze imponować ów blichtr, który ją dławi przeżytem?

— Kobieta ogromnie łatwo przywyka do hołdów i zwycięstw. Może to dalszy ciąg jej triumfalnego pochodu, tu na swojskim gruncie.

— Albo pragnienie zabicia pustki, jaka ją otacza. Zresztą, czy warto... Szkoda słów. Ot, przyjdź i zobacz. Przekonaj się.

Spojrzał na nią z bezmiernem zdziwieniem.

Grabowska zachnęła się. Z natury nie znosiła sytuacji nieszczerých i kłopotliwych.

— Słuchaj, stary dzieciaku. Na starość nie zrobisz ze mnie dyplomatki. Brr... do tych ról miałam zawsze wstręt. Powiem ci więc otwarcie, że przysłałam tu, aby cię zapytać, dlaczego unikasz Janki. Dlaczego dotąd nie złożyłeś jej wizyty, wiedząc, że mieszka tu już od kilku miesięcy.

— Generałowu, zastanów się, nie oszalamiaj!
Skąd tak nagle: — ja u baronowej, ja w jej salonach? Skąd pewność, że nie przyjęłaby mnie tam ze zdziwieniem, że baronowa wogóle o mojej marnej egzystencji pamięta?

— Bredzisz, jak nieprzytomny. Janka serdecznie się ucieszyła wiadomością, że jesteś w Warszawie i szczerze pragnie cię u siebie powitać.

— Czyżby?

— Mówiła mi bez żadnej przesady, że zawsze uważała cię za swego szczerego bezinteresownego przyjaciela. Ja zaś, nie kryję, pragnęłabym ją ożywić, otoczyć ludźmi życzliwymi, przypomnieć dawną beztroską atmosferę... słowem, uczynić z niej naszą dawną Jankę, bo wiem, że to może dać choć złudę szczęścia.

— A więc tej dawnej Janki jest jednak w niej już tak niewiele?

— Cóż chcesz, mój drogi? Życie... Czy sądzisz, że ono się do niej tylko uśmiechało? Ma majątek, ma w ręku środki w naszych powojennych stosunkach wprost olbrzymie, ale na drodze jej mało róż. Samotność...

— Wszyscy jesteśmy samotni.

— A właśnie. Lecz czy szczęśliwi?

Wzruszył ramionami niechętnie.

— To też to. Zaszyłeś się w ten kąt, urządzony, to prawda, wytwornie i zacisznie — i gnuśniejesz. Pomyśl tylko, że ty się całkiem zmarnujesz, chłopa. Nie powiem, byś postarzał, aleś posępny.

— Odpowiem twojami słowy: Nic mnie radosne-

go nie spotyka i nic się tak dalece do mnie nie uśmiecha. Siedzę sam, bo mi z sobą najlepiej.

— Ależ tak, mój Łęski, nie można. Na mizantropa nigdy się nie zanośli.

— Do mizantropii dość mi jeszcze daleko, — uśmiechnął się swobodniej. — Zresztą, samotność moja jest dość względna. Piszę. A pisać, nie jest się nigdy samotnym.

— Może masz rację.. Książka, własna, czy cudza, — to też towarzystwo. Chodzi mi jednak o to, czy jest ono dobre, czy złe. Mam wrażenie, że wybór uczyniłeś niefortunny, i że twoi partnerzy są posępni, jak grabarze.

— Zgadłś generałowu, ale tylko po części. Partja to całkiem nieliczna, bo jest nas tylko dwu, ja i mój towarzysz. Wybrałem sobie, jak widzisz, również samotnika.

— Powiedz mu odemnie, że w Grabowskiej od pierwszej chwili ma zdecydowaną antagonistkę.

— Trudno mi będzie to uczynić, przyjaciółko, bo towarzysz mój już nie żyje.

— Zdażyłeś go już uśmiercić? Tem lepiej.

— W rękopisie, jak dotąd, jeszcze nie.

— Więc bohater twój żył kiedyś naprawdę? Cóż się z nim stało?

— Utonął...

— Z pewnością jakiś samobójca. Et, nie podobna mi się ta cała historia.

— Czy samobójca — nie wiem. W każdym razie był to ktoś bardzo smutny, choć może o tem nawet nie wiedział. To młody chłopiec. Nie wiekiem, ale duszą. Sceptyk i entuzjasta. Serce otwarte i

wrażliwe, ciche, cierpiące, pełne ciągłego zachwytu i boleści. Umarł cicho, przez nikogo nieznany, wszystkim obcy, a z sercem takim dla świata wezbranem, jak serce dziecka.

— Znałeś go?

— Mało. Znałem dzieckiem, ale zdaleka. Nie umiał chłopiec garnać się do ludzi, choć chciał. Co nosił w duszy, nie wiedziano; nawet tajemnicę swego zgonu zabrał z sobą do grobu.

— Zdaje mi się, że to kanwa dość krucha.

— Niewątpliwie. Traf jednak oddał mi w ręce dość cenny materiał — jego własne myśli.

Z pomiędzy stosu papierów Łeski drżącymi rękoma wydobył małą teczkę z wiśniowego sajanu i ze wzruszeniem dobył z niej drobnych rozmiarów zeszyt. Grabowska wzięła go do rąk niechętnie i z namarszczoną brwią przerzuciła kilka kartek. Uczyniła to raczej z awersją, niż z uwagą.

— W jaki sposób ten zeszyt znalazł się w twoich rękach?

— W zupełnie prosty. Przed trzema laty mieszkałem w Pesaro nad Adriatykiem. W tym samym pensjonacie spotkałem się z nazwiskiem rodaka. Był to nasz chłopiec. Mówię — chłopiec — w przenośni, bo było to istotnie chłopięce, proste, niesplamione serce, aczkolwiek był już dojrzałym mężczyzną. Przy spotkaniu przypomniałem mu dawną znajomość. Uśmiechał się zawsze przyjaźnie i cicho, ale miałem wrażenie, że mnie unikał. Wrażenie to było fałszywe. On pragnął, szczerze pragnął zbliżenia, rozmowy, ale psyche jego tuliła zawsze w lęku swe listki mimozy i cofał się, by nie być natrętem, by go

nie zrozumiano źle, aby się stało zadość jego wieczystej pustce i opuszczeniu. Ogromnie krótka była nasza znajomość tam, na jasnym brzegu. Popłynął kiedyś żaglówką na spokojne morze i znikł. Drugiego dnia fala przybiła do brzegu jego zwłoki. Nikt nad tą trumną nie płakał. Pustka i chwast panoszą się na grobie samotnego chłopca.

Łeski ukrył twarz w dłonie i zamilkł.

— Słuchaj, chłopcze, — ocknęła się z przykrego wrażenia generałowa, — rzuć to. Cała ta historia jest zbyt smutna, by nie miała wywołać depresji moralnej. To zabójcze.

Poeta wstał i wstrząsnął głową.

— Żarty. Nie sądz, bym się miał tem przejmować. Ot, będzie z tego taka sobie opowieść. Pracy zbyt wiele w to nie włożę, bo żywcem zeskamotuje tego bezimiennego autora, wygładzę, ubiorę w tetracki uniform i puszcze w świat. Mogę się tu powołać na moje święte prawa spadkobiercy. Przynajmniej za takiego mnie uznano. Pieniądze i drobiazgi wziął hotelarz i służba, a mnie, jako rodakowi zmarłego, wręczono te kartki, nikomu niepotrzebne już i bezpieczeństwa.

— Ale nie twoje.

— Odkładź to generałowa Grabowska jest Kantonem, wytrącającym z ręki możliwość zarobku tym, co żyją z pracy pióra? — zażartował wesoło literat.

Zręcznie skierował rozmowę na sprawy potoczne, wypadki dnia ubarwiał swoim ciętym humorem i w końcu tak rozweselił staruszkę, że zapomniała o wszelkich złych nastrojach i śmiali się oboje, jak para rozbawionych żaków.

Grabowskaomal w końcu nie zapomniała o celu swej wizyty i dopiero przy wyjściu natarła nań z impetem.

— Ale, ale, więc przyjdiesz?

— Do kogo i kiedy?

— Nie udawaj. Przychodzisz do Janki, zrozumiano?

— Owszem, przychodzę. Kiedy rozkażesz, szanowna inkwizytorko?

— Poczekaj, dziś jest wtorek... Pojutrze, w czwartek, u Janki wielki raut. Całe corps diplomatique w komplecie, sfery polityczne, literackie, naturalnie różnych odcieni arystokracja i t. d. Przychodzisz na raut i skończone. Przedtem, rzecz jasna, według wszelkich form, otrzymasz zaproszenie.

— Według rozkazu! — skłonił się pompatycznie.

— I oczywiście, nie będziesz mi się stroił w żadną mentorską pozę. Czy zgoda?

— Ależ, naturalnie. Z jakież racji? Cóż mogą obchodzić mnie złe czy dobre losy pani baronowej Inborn?

— No, no! — pogroziła mu palcem generałowa.

II.

Późnym wieczorem Łęski stał na balkonie swego mieszkania i spoglądał na ścielące się u jego stóp miasto.

Z pobliskich ogrodów chłód szedł wilgotny i cierpka woń opadających liści. Ulice połyskiwały odbijającemi się w zadeszczonych chodnikach światłami latarni; gdzieś tam przewinęła się zapóźniona postać przechodnia, zaturkotała dorożka, — zresztą cisza zalegała coraz głębsza i coraz rzadziej odgłosem życia kłócona.

Miasto kładło się do snu. Cichy, potężny monumentalnością swą nokturn zdawał się mieć jakąś przedziwną wymowę. Łęski oczyma i sercem chłonał w siebie ten obraz i słuchał...

Uchem przypadł do serca stolicy i chciał wy-czuć, zrozumieć, odnaleźć jego dawne bicie; on, dziecko tego miasta, syn marnotrawny, wędrowiec, który je dla mirażów zawodnych opuścił, najcięższych chwil z niem nie przeżył, w najtragiczniejszych próbach społem serca swego nie hartował, zwątpień i smutków jego nie przeboleł.



Porzucił je w niewoli — odnalazł z kajdanami do stóp strząśniętymi, w glorii wolności, z ramionami zbolałymi od pęt, ale już przeżącymi się nawrotem sił, pulsującymi krwią utajonych mocy, — a przecie ciche dziwnie i skupione.

I nie mógł czegoś pojąć. On, który tu wzrósł, który w piersi swej nosił ducha tego miasta, widział w niem dzisiaj coś z zagadki, nad której rozwiązaniem silił się daremnie.

Nie pojmował, że ona, że Warszawa, ta harfa wielostrunna narodu, przeżyła już ów święty moment narodzin wolności i jest tak cicha, taka spokojna... Że nie wybuchł z jej łona jakiś potężny wulkan wesela, nie zamieniła się w jeden wielki krzyk entuzjazmu, nie dobyła z swej piersi głosu stuleci, nie zrozumiała, zda się, że to, na co czekały w męce pokolenia — stało się.

Więc smutno mu było, że tak jest i że nie wie dlaczego.

Miał wrażenie, że jest tu już kimś obcym, że stracił gdzieś po drodze w ciągu lat włóczęgi ów drogocenny rezonator, w którym odzywał się każdy głos, każde drgnienie duszy ukochanego miasta.

Nie pojmował tych zjawisk, napozór dziwnych i czuł, że się coś pomiędzy nim a krajem zerwało, że zbrakło owej nici kontaktu, która jest niejako regulatorem wszelkich spółnot ducha. Czuł, że w owym łańcuchu, który go z sercem kraju skuł nawawsze, brak mu dziś jakichś ogniów, brak tych lat kilku, w ciągu których naród stał twarz w twarz przed zagadką swego istnienia.

Gdy hasło „być albo nie być“ miało dlań naj-

tragiczniejszą wymowę. Gdy stawiano mu je przed oczy zewsząd, gdy wrogie siły kazały mu pić z zatrutych czar zatracenia, kiedy kupczono krwią jego serdeczną, porywy święte włóczono po targowisku, przed oczy stawiając mamidła i malowanki.

Zbrakło mu ogniów tej Gehenny dziejów, gdy trzewia skręcał głód, gdy rozgrywał się teatr fałszu i pokusy, kiedy dźwięczały srebrniki Judaszów, a wróg najgorszy polskim się okrył sztandarem i do narodu wołał:

— Daj swą krew!...

Nie wiedział, po ilekroć omdlały męką duchu narodu musiał się zmagać z sobą, zadawać kłam zdradzieckiej pieśni rozradowań, stracać z ramion purpurę podstępnych wyzwoleń — by trwać i skarbu swego nie dać za liczmaną.

Tej epoki okrutnej nie przeżył z krajem Łęski. Znał ją jeno z imienia. I dlatego nie wiedział, czemu to serce narodu, ta Warszawa, która przed kilku ledwo miesiącami porywem gniewu i siły strząsnęła z siebie robactwo najeźdźcy, jest, mimo wszystko, skupiona i cicha. Czemu nie wstrząsa nią dumna pieśń wolności, tylekroć nadużyta, tylekroć z cudzych ust dźwięcząca naigrawaniem i pokusą.

Nie szaleje, nie śpiewa — jeno brew namarzczoną, wzrok twardy i nieufny na wschód i zachód śle i pyta w duszy wciąż:

— Za jaką cenę?

Patrzy na odwalony grobowy swój kamień, skupia się w moc i chce wiedzieć:

— Jakiego trzeba będzie jeszcze trudu?...

Łęski przwiechał tu zbyt niedawno, aby te rysy podpatrzeć i zrozumieć. Wiele już odgadł, ale samej treści zagadki nie uchwycił. Ma jednak tę świadomość, że to jego własna wina. Dał się pochłonać odmetom życia, jak ćma pobiegł naosłep w płomień zgóry na przegraną skazanej namiętności i wraca dziś... Czemże dziś jest naprawdę? Ruiną, marą o spalonych skrzydłach, z sercem przeżartem na strzép, typowym polskim zmar-nawiancem.

I dlaczego? Czemu się dał porwać tej miłości, on — sceptyk, on — człowiek krytyczny, dojrzały? Miłości, która nazawsze miała być tylko jego tajemnicą. Zamknął ją w duszy głęboko, ale jej uległ, dał z siebie uczynić igraszkę i pozwolił zdruzgotać — ot tak, bez protestu.

Ścisnął rękoma czoło, jakby chciał te myśli precz odpędzić. Miały dlań posmak buntu i goryczy, a on przecież niczego nie żałował.

A pragnął też niewiele.

Szukając w myślach, mógł się śmiało z zarzutu egoizmu usprawiedliwić. Pragnienia jego i tęsknoty były tak skromne, tak od zuchwalstwa dalekie! Chciał tylko czasem widzieć jej oczy, słyszeć głos, rozkoszować się nią, jak zjawiskiem — i chciał ją widzieć szczęśliwą.

Szczęśliwą! Z drgnieniem tej myśli poczuł chłód. Zimny dreszcz przejął go nawskroś.

Dziś jeszcze, przed paru godzinami, rozmawiając z Grabowską, zdobywał się na sarkazm, chciał obwiniać, a przecie kłamał, maskował się. On miałby sądzić Jankę? Nie miał prawa? Fra-

zes. Nie prawo mówi tam, gdzie coś jest bóstwem, świętością.

Istoty ukochanej nie sądzi się. Kocha się ją — i tylko kocha.

Rozmawiając z generałową, miał na celu dwie rzeczy: nie zdradzić się i o krok choćby zbliżyć się do prawdy.

O miłości jego nie powinien był wiedzieć nikt, a przede wszystkim Janka. Cui bono? Nie chciał jej przecież zdobywać. Pragnienie to nigdy nie powstało w jego sercu.

Nie marzył o niej, gdy była biedną bezbronną dziewczyną, nie marzy dziś, gdy stoi na świeczniku bogactwa i zaszczytów. Chce tylko osiąść jej tajemnicę. Chce wiedzieć, jakie fatum skłoniło ją do obrania tej drogi.

Dlaczego poślubiła Inborna?

Łęski zbyt dobrym był psychologiem, aby na pytanie to odpowiedzieć logiką gawiedzi. Wiedział, że droga kariery nie była tu czynnikiem wyłącującym. Nie mógł się obronić podejrzeniu, że małżeństwo jej z Inbornem było niejako zbrodnią, której świadomie dokonała nad samą sobą. Że mściła się na sobie za jakąś życiową pomyłkę, że chciała zawrzeć za sobą drzwi od przeszłości i uczyniła to z trzaskiem, z hałasem, z zaciętością. Z jakich względów.

Intuicją wiedziony, pewien był, że poprzedni konkurent jej, czy narzeczony, bankier Barchwitz, jest postacią, która tu nic nie znaczy i nie wyjaśnia.

Była mistrzynią swego losu. I cóż stąd? Czy mogło to w czemś zmniejszyć jego miłość i oddanie?

Trzyma znów w rękach jej portrecik i patrzy raz tysięczny w te cudne oczy najukochańsze. Oczy szczerze, szlachetne i takie smutnie zadumane zarazem. A dumne! Tak — to oczy kobiety dumnej i nieszczęśliwej. Była nią już i wówczas, jak Janka Brzeska.

Za temi to oczyma poszedł w świat. Krył się, usuwał z drogi, ale szedł, niczem cień, po wszystkich drogach Europy, wędrował jej śladami, śledził w teatrach, na posadzkach salonów, wszędzie... Był świadkiem jej zwycięskiego pochodu i podbojów, ale nigdzie nie spotkał jej szczęścia.

Z jakąż chciwością wpatrywał się w jej rysy, jakby w kamień zakrzepłe, czy nie zadrga w nich życie, czy nie rozblęsną płomieniem silnych uczuć — do kogokolwiek.

Przenigdy! Szła wciąż dumna, jak posąg, zawsze nieczuła, bezlitosna i zamknięta w sobie. Co się w tej piersi kryło, — nie wiedział nikt.

Grabowska mówi, że tragizm. A więc tak? Jakże się tego lękał! Na samą myśl o tem, czuł ogień w mózgu i ból jakiś nieznośny, dojmujący. Jej tragizm byłby i jego tragizmem, a czyliż nie miał go dość? Czy zostało mu jeszcze coś w życiu, prócz tej miłości i tego wyczekiwania na... szczęście... jej szczęście? Gdyby i to miało runąć w proch, z czem zostanie?

Pustka i czerzość i żal... I opuszczenie...

Bezwiednie ujął w dłoń porzucony na stole zeszyt zmarłego chłopca.

— Cemu on umarł? — przemknęło mu przez myśl. Że śmierć ta była dziełem przypadku, — nie

wierzył. Jeśli więc... Co stało się przyczyną ostatecznej konkluzji? Jakiemi drogami przywiodły go do owej mety jego uczucia i myśli?

Z pobieżnie przeczytanych refleksji i rozumowań samotnika nic, zda się, nie pozwalało wnosić, by się to stać mogło. O śmierci mówił wiele, ale raczej teoretycznie i wciąż przed samym sobą zastrzegał się, że jest to zagadnienie, zupełnie dlań oderwane.

Tem niemniej wiała z tych kart jakaś dziwna atmosfera smutku i samotności. Tkwiła ona nie w treści, a w samym nastroju.

Dziwne to były zapiski. Spowiedź uczuć i myśli. Wszystkich, o których wiedział. O iluż bowiem drgnieniach dusz, drgnieniach najistotniejszych, dowiadujemy się dopiero w obliczu twardych zagadnień, w chwili nierzadko ostatecznej...

Był tutaj cały lamus rozważań, dociekań, egzaltacyjnych zachwyków, wyznań wiary i rozpraw suchych, doktrynerskich nieraz, omal nie scholastycznych. Wszystko to splecione było w beładzie, choć z pozorami kolejności rozwoju rozumowań.

Zastanawiając się nad genezą tych wyznań, tak dziwnie różnolitej treści, Łeski przyszedł do przekonania, że w znacznej mierze dyktować je musiała impulsywna wprost potrzeba wywnętrzenia się choćby przed samym sobą.

Przygniatająca atmosfera samotności, z której ciężaru aż do ostatka piszący sprawy sobie nie zdawał, popchnęła go do spisania różnemi czasy tego chaosu myśli. Były tu i rozważania socjologiczne i spostrzeżenia psychologa i dociekania z dziedziny

etyki, nad wszystkiemi jednak ciążył przemożnie pęd ku pojęciu Nieodgadnionego.

Polskie skłonności metafizyczne znajdowały tu pełne ujęcie i potwierdzenie.

Autor, mimo świadomości, że jest w sprawach tych tylko inteligentnym laikiem, usiłował zapiskom swym nadać wszelkie pozory rozumowań ścisłych, wystrzegał się wrodzonego snadź poetyckiego zacięcia, z roli tej jednak wypadł raz po raz i z pomiędzy tych drobno kreślonych wierszy spogląda mimowiednie jego prawdziwa twarz cichego entuzjasty i jasny wzrok, zapatrzone z tęsknotą w dalekie, mgłą przesłonięte dobro i doskonałość.

Naogół z kart zeszytu odzywała się pogoda. Ale pogoda dziwnie bolesna, żalosna.

I Łęski nie dał się zwieść. Odczuwał tu raczej rezygnację, która w pewnych warunkach mogła prysnąć pod słabym naporem, dając ujęcie uczuciu strasznej krzywdy, doznanej od życia.

Pamiętnik nie był skończoną całością. Przy końcu był nawet ślad kilkunastu kart wyrwanych, zniszczonych najwidoczniej. Dlaczego? Spowiedź zmarłego urywała się w miejscu zgoła obojętnem, w połowie jednej z licznych gawęd samotniczych.

Łęski przegląda je i wzrusza ramionami bezradnie. Przy końcu rękopisu bieleje jeszcze kilka kart niewyzyskanych. I tu ani śladu jakichś zwieńczeń.

Nagle wzrok poety zatrzymał się na trudnych do dostrzeżenia wyrazach na odwrotnej stronie okładki. Pismo blade, na barwnym papierze ledwo widoczne, kreślone przytem nierównie i nerwowo.

I znów sam... O jakże ciężko!

A więc mnie nikt nie kocha... Czy kochał ktokolwiek!?

Matko, moja o matko, której już nie pamiętam, — czy ty mnie choćby kochałaś?...

Łęski przeciera oczy. Zasłania mu je jakaś mgła.

— Tak więc, mój chłopcze. I ty, coś tak był pewien ciszy swego serca — i ty, któryś się zaniknął w świątyni zachwyceń, tyś też zapragnął swej cząstki od życia. Zdeptano cię. Więc odszedłeś. I słusznie. Tyś był nie z tego świata. Życie twe było tylko — nieporozumieniem...

Ścisnął oburącz pulsujące skronie i głowę swą pochylił na poręcz fotela.

W krtani dławiał go okrzyk straszego pytania:

— A moje? !

Ale je zdusił w sobie nadludzkim wysiłkiem i spojrzał w blade uśmiechniętą twarz Janki Brzeskiej.

Dławiący spazm rozluźnił zwolna bolesny uścisk, twarz złagodniała, kojące ciepło ośwładnęło mu piersią.

Chwycił za pióro i długo w noc pisał opowieść swą o smutnym chłopcu.

III.

Była godzina czwarta po południu.

W pałacu baronowej Inborn już od wczesnego rana cały dom wrzał przygotowaniami do wieczornego rautu. Liczna służba w różnych kierunkach przebiegała olbrzymi halle, w którym improwizowano szatnię, spiesząc co chwila po szerokich wewnętrznych schodach na piętro, gdzie mieściły się główne apartamenty.

Tu i owdzie przewijały się jeszcze grupki rzemieślników, kończących dekorację sal, znoszono kwiaty, zastawę stołową, torty, wina i półmiski najwyszukańszych zimnych przekąsek, które baronowa sobie tylko wiadomymi drogami zdobywała stale na stół w zaniedbanej pod tym względem powojennej Warszawie.

Na twarzach domowników znać było ów podniecony nastrój przygotowania do wystawnego wieczoru, który za kilka godzin miał tu zgromadzić całą elitę miasta, upoważnioną do przestąpienia tych progów z racji nazwiska, sławy, wysokich rang i rzeczywiście zasługi.

Krzętanina ta, napozór bezładna, szła w gruncie rzeczy sprawnie, według ściśle wdrożonego porządku zagospodarowanej pańskiej siedziby. Dom ten urządził na długo jeszcze przed wojną stary baron, aczkolwiek rzadkim tu bywał gościem. Dziś ozdobiła go dbała o piękno dłoń kobieca i ożywił ruch wskrzeszonego życia.

Baronowa od czasu do czasu przechodziła jeno przez amfiladę sal, byстрыm wzrokiem kontrolowała postęp prac, tu i owdzie rzuciła krótkie zlecenie i, pełna, jak zawsze, niezmaconego spokoju, zniknęła w swym buduarze.

Szarzejący już mrok zastał ją w ulubionej kontemplacyjnej pozie, wciśnięta w głąb fotela z głową, złożoną na miękkim oparciu i zapatrzoną w daleki, mroczny horyzont. Twarz ta miała wyraz apatii i prawie bezmyślności. Nie drgał w niej żaden nerw, nie rysowała się żadna charakterystyczna zmarszczka, samo spojrzenie nawet zdawało się patrzeć nie w dół, lecz w nicość.

Jeśli chwilami jakaś myśl galwanizowała jej skronie, odzywało się to jedynie w lekkim ściągnięciu dumnych brwi, które ustępowało szybko i bez śladu.

U drzwi ozwało się pukanie i wyfraczony lokaj wszedł cicho do pokoju. Baronowa nie zmieniła pozycji.

— Co tam? — spytała leniwie.

— Adwokat jaśnie pani, pan Rudziński, zapytuje, czy będzie przyjęty.

— Prosić do gabinetu!

Lokaj znikł.

Baronowa, odczekawszy kilka sekund, podniosła się jednym energicznym ruchem. W całej postaci jej zaszła nieprawdopodobna zmiana. Ruchy stały się szybkie, podniecone, wzrok nabrał blasku, a twarz wyrazu stanowczości.

Krokiem zdecydowanym przeszła kilka w mroku tonących pokoi i zatrzymała się w progu oświetlonego gabinetu.

— Dobry wieczór, kochany mecenasie! Ogromnie cieszę się, że cię widzę. Domyślałam się, że masz dla mnie wiadomości.

Oczekujący na nią starszy pan skłonił się najpierw szarmancko, potem złożył na biurku wypchaną tekę i w zeszlówiecznych lansadach poskoczył do ucałowania ręki baronowej.

— Moje najgłębsze uszanowanie! Jest, wszystko jest, zgodnie z pani zleceniem i wolą. Pani baronowa, mam nadzieję, w najlepszym zdrowiu, jak zawsze?

— W wyśmienitem, w humorze również. Siadajmy, drogi mecenasie i pogawędźmy.

— Od czego pani baronowa rozkaże zacząć?

— Przedewszystkiem, mecenasie, udało ci się sprawdzić?...

— Najdokładniej. Majątek pani baronowej, o który nam w tym wypadku chodziło, położony jest w Miechowskiem.

— To wiem, a zwie się Rokiciny! — rzuciła z pewnym odcieniem zniecierpliwienia.

— Zgodnie z życzeniem pani ustaliłem, że pozostaje on dotąd w rękach tegoż, co i przed wojną, dzierżawcy.

— Zdzitowieckiego.

— Pani baronowa ma lokalną pamięć w interesach.

— Przypuśćmy, mecenasie, — uśmiechnęła się niewyraźnie. — Czy wiadomo ci jednak, jaki jest stan materialny tego dzierżawcy?

Stary prawnik zmarszczył się.

— Jakby tu pani określić?... Ot, nieświatny. Ziemia jest niezła, człowiek zamiłowany i pracowity, ale idzie mu, jak z kamienia. Gospodarka dość przestarzała, zniszczenie z początków wojny ogromne, zabudowania spłonęły, pola przedarte okopami, a przytem te ciągle austriackie rekwizycje, postoje, — wszystko to złożyło się na obraz kompletnej ruiny.

— A on sam, ów Zdzitowiecki?

— Pani baronowa go zna?

— Nie. Trochę tylko z opinii.

— Otóż, opinia nie ma tam dlań dość pochwał. Zdaje się, że to naprawdę pocziwina, a przytem starzec już i, między nami mówiąc, dość niedołężny.

— Jakże sobie więc radzi?

— Siedzi w długach. Żonę stracił, ale córek w domu jest kilka, dorosłych, a nawet przerosłych. Pani pojmuję, że to pociąga za sobą wiele obowiązków, którym sprostać nie sposób. Majątek na ogół piękny, ale nagłaco domaga się podźwignięcia, wkładów, budynków, skompletowania inwentarza, gdy tymczasem, hmm... bryndza tam: jałowy barszcz i jałowe ziemniaki.

— Więc to posiadłość nierentowna?

— Bynajmniej. Trzebaby jednak włożyć w nią wiele, bardzo wiele.

— Gdybym tedy ja osobiście, powiedzmy, chciała nim administrować, utrzymanie miałabym zapewnione?

Adwokat uśmiechnął się pod wąsem.

— Dla pani baronowej byłaby to fraszka.

— A gdybym nie miała żadnych rezerw pieniężnych?

— Starczyłoby jednej normalnej poręby leśnej, by rozwiązać wszelkie zagadnienia i trudności. Dla dzierżawcy jednak wyjście to nie istnieje.

Baronowa uczyniła lekki gest, jakby dla przerw w dyskusji.

— Streszczając tedy, cośmy tu powiedzieli, mamy konkluzję, że w Rokicinach mógłby się utrzymać jedynie albo właściciel, albo zasobny w gotówkę dzierżawca. Czy słuszny wniosek?

— Że i trafniejszy być nie może. Żal mi jest osobiście tego Zdzitowieckiego, ale właściwie jest on w położeniu bez wyjścia. I mojem zdaniem, interesom pani baronowej odpowiadałoby najbardziej wycofanie się z tego stosunku, tem więcej, że kontrakt dzierżawny upływa właśnie na Nowy Rok. W przeciwnym razie — majątek ulegnie większej jeszcze dewastacji.

— Nad tem zastanowimy się jeszcze w porze właściwej. A teraz powiedz mi, mecenasie, jaka jest, według twego obrachunku, wartość całej tej posiadłości w walucie złotej, naturalnie po uwzględnieniu tych dewastacji leśnych, jakie poczyniła okupacja i tego stanu opuszczenia, o którym mi mówiłeś?

— Plus minus: około siedmiuset tysięcy rubli przedwojennych.

— Czy nie przesadzasz cokolwiek, mecenasie? — wtrąciła z udanem niedowierzaniem.

— Pani baronowa może polegać na mojem doświadczeniu, — odparł z pewną dozą urażonej godności. — Starałem się tu być raczej pesymistą, niż optymistą.

Inbornową rozbawiła ta poza starego wygi.

— Nie gniewaj się pan, — powiedziała z uprzejmym uśmiechem. — To był niewinny żart. Na dowód powiem ci, że obliczenia te w zupełności zgadzają się z mojemi.

— Proszę mi wierzyć, baronowo, że nie spotkałem jeszcze kobiety, z którą rozmowa o sprawach finansowych dawałaby mi taką prawdziwą satysfakcję.

— Niestety, mecenasie, ocena ta może być dla mnie tylko przykrością, muszę ci bowiem wyznać, że majątek ten właściwie już do mnie nie należy.

Krzaczaste brwi Rudzińskiego podniosły się do nieprawdopodobnej wysokości.

— Czy pani baronowa go sprzedawała? W tych czasach? — zawołał z nieopisanem zgorszeniem.

— Nie ja. Gorzej — uczynił to mój mąż.

— Kiedy na Boga?! Nic o tem nie słyszałem.

— Na parę tygodni przed wojną.

— Ale kontrakt kupna nie został przecie zawarty?

— Bo byliśmy wówczas zagranicą.

— Przepraszam, że przerwę. Czy była spisana umowa wstępna? — pytał pospiesznie.

— Ani na chwilę nie przestajesz być prawnikiem, kochany mecenasie. Umowy nie spisywano, ale to postaci rzeczy nie zmienia, mąż mój bowiem otrzymał poważny zadatek i, co więcej, ręczył swem słowem.

— Pani daruje, ale to są rzeczy nieważne. Zadatek trzeba zwrócić. Ustalimy to w jakiś sposób polubowny...

— Mecenasie, — przerwała mu niecierpliwie. — Umowy tej należy dotrzymać. Zależy mi na tem. Rozłożył ręce bezradnie.

— Jak pani rozkaże. A jaka suma pozostawała jeszcze do uregulowania?

— Równe pół miliona rubli.

— Musimy to tedy obliczyć, biorąc pod uwagę równie złota w zestawieniu z obecną dewaluacją.

— Nie, mecenasie! — położyła stanowczo dłoń na stole Inbornowa. — Zechciej mi przygotować akt sprzedaży, obliczając tę sumę według relacji urzędowej.

Adwokat Rudziński wstał.

— Wybacz pani baronowa, — rzucił w najwyższym podrażnieniu, — jestem stary i nazywam rzeczy po imieniu. Majątek swój chce pani dać komuś w prezencie, czy tak?

— Nazwij to pan, jak ci się podoba. Wola moja jest zupełnie wyraźna.

Stary siadł z rezygnacją.

— Jakie jest nazwisko nowonabywcy? — spytał, biorąc za pióro.

— Generałowa Henrieta Grabowska, — rzuciła krótko baronowa.

Rudziński zsunął na koniec nosa okulary i spojrzął z po za nich bacznie na mówiącą. Przez dłuższą chwilę przeżuwał jakąś myśl, wreszcie rzekł tonem perswazji:

— Pojmuję najszlachetniejsze intencje pani, ale chciałbym zapytać o jedno. Czy upewniła się pani, że osoba tu wymieniona akt ten potwierdzi? Generałową Grabowską znam od lat wielu. Jest to kobieta nazbyt ambitna, by...

— I nie mylisz się, mecenasie, — przerwała mu ze zmarszczoną już brwią. — Chciałeś powiedzieć, że osoba ta, mimo iż jest dziś prawie w niedostatku, jałmużny od nikogo nie przyjmie. Mogę cię uspokoić. Pani Grabowska, oprócz tytułu własności, żadnej korzyści stąd mieć nie będzie.

— Pocóż więc ta mistyfikacja?

— Wytlómaczę ci to pokrótce, ale pozwolisz, że przypomnę jeden z twych obowiązków.

— Mianowicie?

— Nosi on miano „tajemnicy zawodowej“. Czy tak?

Prawnik skłonił się w pełnym wymowy milczeniu.

— Mistyfikacja ta potrzebna mi jest na to, by we właściwym miejscu wiedziano, że majątek zmienił właściciela już dawno i akt dzisiejszy jest tylko potwierdzeniem przed laty pięciu dokonanej sprzedaży. To jedno. Nadto chcę, by wiedziano, że Rokiciny sprzedałam nie ja, ale jeszcze mój mąż. Nabywczynią musi być kobieta i to starsza, by zrozumiałość się stała jej dalsza w decyzjach niezaradność i chęć najrychlejszego pozbycia się tego kło-

potu. Przypuśćmy, pani Grabowska nabywała majątek dla swego brata, który już dziś nie żyje. Niska zaś kwota dzisiejszej regulacji będzie mi bardzo pomocną w zamaskowaniu możliwie najdogodniejszych warunków kupna przy transakcji następnej, którą, gdy mi się plan mój uda, z pomocą generałowej postaram się jak najrychlej przeprowadzić.

Rudziński zaczął już pojmować.

— Skłaniam głowę z podziwem przed pani baronowej rozumem i przenikliwością. Jeśli mi zmysły nie zwodzą, ma to być coś w rodzaju darówizny, dokonanej w sposób, nie budzący podejrzeń i nieufności obdarowanego?

— Tak, drogi mecenasie. Postaraj się obmyśleć rzecz całą tak, by przyszedł dziedzic Rokicim wstąpił w posiadanie majątku bez wysiłku, bez wkładów i, co ważniejsze — w pełnym przeświadczeniu, że wszystko, co się stało, jest w porządku i całkowicie słuszne. Weź, dajmy na to, sumę nominalnie potrójną, stwórz pozory poważnego dla Grabowskiej w tak krótkim czasie zarobku, ale podziel to przytem na spłaty, słowem — uczyni, jak ci twa wiedza dyktuje. Polegam na tobie w zupełności. Za sześć tygodni przedstawisz mi swój projekt, a do rejenta z Grabowską zaprosz nas choćby pojutrze.

— Mam nadzieję, że nie zasłużę na pani niezadowolenie. Jeszcze jedno pytanie. Czy ten drugi nabywca — to człowiek dostatecznie łatwowierny?

— Nie zanadto, — uśmiechnęła się baronowa. — Będzie pan miał dość trudny orzech do zgryzienia, bo to jegomość ambitny i uczciwy. Sukursu spodziewam się jedynie stąd, że jest stary i dobroduszny.

— Postaram się. Żał mi jest trochę tego starszaka, Zdzitowieckiego, ale trudno. I takby tam nie przetrwał zbyt długo.

— Nie żałujmy go, mecenasie. Mam nadzieję, że z twą pomocą nie stanie mu się nic złego w Rokicinach...

— Ach, tak?! — skłonił się stary prawnik i z namaszczeniem złożył na rękę jej łącie dworski pocałunek. W wyblakłych oczach po raz pierwszy zaświeciło mu nieklamane już uwielbienie i podziw.

Na schodach wzruszył jednak ramionami i starokawalerskim nawykiem zaczął rozmyślać na temat, czym jest właściwie kobieta.

Z punktu prawnego, istotą w każdym razie nieodpowiedzialną.

— — — — —

Baronowa Inborn starała się wrócić do równowagi. Rozmowa z adwokatem Rudzińskim podzialała na nią dziwnie podniecająco. Policzki jej pałały, szybkim krokiem przemierzała pokój, usiłując ockiełznać wpływ dawno już nie odczuwanego wzburzenia.

Przeszła do buduaru i zadzwoniła na służbę.

— Światło! — rzuciła rozkazująco.

Fala elektryczności zalała mroczne wnętrza.

— Dzwonił kto do mnie?

— Fryzjer pytał, na którą jaśnie pani rozkaże.

— Na siódmą. Od pani generałowej nie dowiadywano się?

— Nie, proszę jaśnie pani.

Baronowa niecierpliwie rzucała spojrzeniem po pokoju, jakby chcąc jeszcze pytać i nadać inny tok

skłóconemu biegowi myśli. Wzrok zatrzymał się wreszcie i ożywił krótkim zainteresowaniem.

Zmarszczyła brwi.

— Skąd to? — wskazała dłonią na imponujących rozmiarów żardinierę, w której pieniała się istna fala przepysznych tuberóz i storczyków.

— To... od księcia pana, — odparł nieco zmieszany lokaj.

— Od jakiego księcia? — spytała gniewnie.

— Od jaśnie oświeconego księcia Gintułda.

— Dlaczego tu wstawiono?

— Takie było życzenie księcia pana. Nie myślałem...

— Wynieść to zaraz do oranżerii. A na przyszłość niech Antoni pamięta, że w moim domu niczyich życzeń bez mej wiedzy i zgody słuchać nie należy.

Drobna ta scena podziałała na nią orzeźwiająco. Poczuła się znów sobą.

Po chwili, uspokojona, ujęła w drobną dłoń słuchawkę telefonu i połączyła się z mieszkaniem generałowej.

— Czy to ty, moja droga przyjaciółko? Dobry wieczór, kochana. Właśnie zamierzasz się ubierać? Daj spokój, mam inny plan. Zabierz, proszę, swe stroje i śliczne precjoza i przyjeżdżaj od razu. Daruj, ale nie myślę ustąpić. No, dajże spokój, nie chcę słyszeć o żadnych skrupułach. Fryzjer zamówiony i dla ciebie, a garderobiana czeka, by ci usłużyć. W tej chwili będziesz mieć mój automobil. Dobrze już, dobrze! Powiem ci bez ogródek: musisz tu być, bo chcę z tobą pomówić w cztery oczy. Zgoda? W tej chwili. A więc, adio!

— — — — —

W pół godziny później Grabowska z lekką odyszką szła spiesźnie po schodach pałacyku. Baronowa czekała ją w pół drogi z wyciągniętymi serdecznie rękoma.

— Dobra moja, kochana! Jakże ci jestem wdzięczna.

— Czegóż jabym dla ciebie nie zrobiła, czarodziejko?

— Czarodziejko? Z tych starszych! Jak to one naprawdę się zwa, generałowo?

— Nie bluźnij, niegodziwa! — oburzyła się stara dama, rozsiadając się wygodnie w fotelu. — Ale, ale, nie dajże mi umierać z ciekawości. Gdyby nie twój wesoły głos, byłabym na serjo niespokojna. Cóż to za tajemnicza narada? Knujesz spisek?

— Coś podobnego, — ożywiła się w uśmiechu Janka. — Zresztą w tym spisku jesteś, generałowo, postacią dominującą, więc to od ciebie raczej mogłabym się wiele dowiedzieć.

Przez twarz Grabowskiej przemknął cień niepokoju. Spojrzała ze zdziwieniem.

— Doprawdy nie wiem nic, o co ci chodzi.

Baronowa uśmiechnęła się znów filuternie i tajemniczo.

— Słyszałam od pewnego adwokata, że podobno kupujesz majątek, generałowo.

— Ja? Majątek? — rozpostarła dłonie staruszka. — To jakiś warjat ci to powiedział.

— Tak. Majątek podobno piękny. A ma to być rzecz już tak zdecydowana, że pojutrze stajesz do reagenta.

— Ee... moja droga, wszystko lubię, ale to prze-

cież kpiny. Któż to sobie ze mnie tak zażartował? A i ty, żeby też czemuś podobnemu uwierzyć!

— Kiedy to szczerą prawdą, przyjaciółko. Założ się ze mną, że pojutrze istotnie nie podpisujesz kontraktu.

Twarz starej wyraziła tak nieopisane zgorszenie, że Inbornowa wybuchła szczerym srebrzystym śmiechem. Objęła Grabowską ramieniem i uściślała serdecznie.

— Nie gniewaj się. To nie żart, a tylko nadużycie twojej ogromnej dobroci. Widzisz, zależy mi na tem, abyś kupiła odemnie ów majątek. Kupisz go, prawda? Nie roztwieraj tak szeroko oczu, bo to będzie tylko taka sobie farsa, choć z wszelkimi urzędowymi akcesorjami.

— Lecz jakież cel tego wszystkiego?

— Zostaniesz poprostu właścicielką Rokicin w Miechowskiem. Właścicielką kompletną cum boris, lasis, graniciebus i jak to tam jeszcze... Tylko, niestety, będzie to świetność ogromnie znikoma, obie bowiem dołożymy wszelkich starań, by majątek najszybciej przeszedł w inne ręce.

— Więc to jest jakaś spekulacja, jeżeli się nie mylę?

— Na której wszakże wyjdę całkiem nieszczerze.

— Cóż tedy tkwi w tem, dalibóg?

— Uważasz, przyjaciółko, upatrzyłam sobie nowego dla Rokicin dziedzica. Że zaś kandydat ów majątku ode mnie kupićby napewno nie zechciał, zwłaszcza na planowanych warunkach ulgowych, chcę, by mu tę propozycję uczynił ktoś zupełnie ob-

cy. Da się to przeprowadzić dość łatwo, bo jego-
mość ten siedzi tam już dzierżawą coś od lat trzydziestu i do okazji kupna niewątpliwie bardzo się rozanimuje.

Generałowa niebardzo jeszcze orjentowała się w sytuacji.

— Więc ty chcesz temu panu wyświadczyć bezimienną przysługę? — spytała niepewnie.

— Mniej więcej.

— Czy to ktoś z twojej rodziny?

— Bynajmniej, nawet nikt z naszych przyjaciół, — zastrzegła się energicznie baronowa. — Był to jedynie sąsiad mego ojca, człowiek bardzo prawy i bardzo domowi naszemu życzliwy.

Grabowska potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

— Nie jesteś szczerą, moje dziecko. Nie obraż się, ale twoje motywy wyglądają bardzo niezręcznie.

— Czemu? — spytała, unikając spojrzenia jej, baronowa.

— Jest to uwaga zupełnie naturalna. Ludzi tak prawych i uczciwych, jak mówisz, jest jeszcze na szczęście bardzo wiele na świecie. Nie wszyscy jednak otrzymują za to, jako premjum, majątki ziemskie. Przyznam się nawet, że o żadnym takim wypadku za moich czasów nie słyszałam.

— Wnosisz więc stąd, generałowo?

— Że masz inne, rzeczywiste powody, które cię ku temu skłaniają.

— Być może...

Baronowa schyliła głowę w zmieszaniu i zadumie.

— Nie mylisz się, droga moja pani Henrjeto, — poczęła mówić po chwili z powagą i zwolna, jakby każdy wyraz był owocem rozwagi i namysłu. — Prosząc cię o tę przysługę, nie myślałam narazie, że mi o tem mówić wypadnie.

Generałowa uczyniła energiczny ruch zastrzegający. Janka jednak wstrzymała jej dłoń w uścisku.

— Daj pokój. Dziś powiem ci tyle tylko, ile powiedzieć mogę. To twoje prawo, a mój obowiązek. Może kiedyś... bo ja wiem... Być może, powiem ci kiedyś coś więcej o tej całej dość smutnej historii. Bo to historia smutna i dawna. Nie potrzebuję ci tłumaczyć, gdyż sama wiesz o tem najlepiej, że życie ma swoje fata i kaprysy. I lubuje się czasem w istnych splotach zagadnień, łącząc losy ludzkie, albo też je krzyżując. Stwarza to nieraz sytuacje, które dla jednych są proste i jasne, innym jednak wydają się być czemś w rodzaju węzła gordyjskiego. Przed wielu laty i ja stałam nad takim Rubikonem, a splot wydarzeń postawił mię z kimś bardzo blisko. Wzrok mój był wtedy młody, może nazbyt młody... I dlatego spoglądać jasno nie umiałam, a drogi proste były mi za pospolite. Wołałam przykład dumnego zwycięzcy i...

Głos baronowej załamał się, ale na tak krótko, że można było to uważać za złudzenie.

— Przecięłam węzeł! — dokończyła sucho. — Uderzyłam dość mocno. A uderzenie to musiało zranić bardzo. Ile serc — nie umiem tego powiedzieć z pewnością. W każdym razie odezwało się ono bólem w sercu tego starca...

— Który był...

— Nie pytaj. Po co ci o tem wiedzieć, przyjaciółko? Niech ci wystarczy, że patrzysz dzisiaj na tę, która była wówczas niezmiernie dumna ze zwycięstwa, a dziś...

— Cóż dzisiaj? — spytała prawie szeptem pani Henrjeta.

— Dziś wie przynajmniej jedno, że... przegrała. Kapitałnie przegrała! — zaśmiała się głośno i nie-szczerze baronowa.

Grabowska podniosła się z krzesła i w zamyśleniu chodziła po pokoju. Przetrawiała zwierzenia Janki i twarz posepniała jej w miarę rozmyślań tych coraz bardziej.

— Nie powinnaś o tem myśleć, moje dziecko. O ile mi się zdaje, są to rzeczy tak stare i tak przebrzmiałe, że szkoda na nie nerwów i zdrowia! — zakonkludowała porywczo.

— I stare i przebrzmiałe i niepowrotne. To też o nich już dawno nie myślę. Możesz mi wierzyć. Wogóle, od wielu lat nie myślę już o niczem. Czyż to nie lepiej?

— Rozumie się! — przyznała z dobrą wiarą staruszka. Wzrok jednak miała spuszczoney, gdyż wyraz twarzy baronowej budził w niej niewytłumaczony niepokój.

— Masz tu list jakiś, nawet nierozpieczętowany, — uchwyciła się skwapliwie sposobności przerwania dręczącego tematu.

Janka rzuciła okiem na kopertę.

— Domyślam się. Jest to z pewnością towarzyszy kwiatów, które mi dziś przysłano.

— Któż to taki szarmancki?

— Mało jesteś uprzejma, generałowo. Czy jestem już tak stara, że nie stać mię na wielbicieli?

— Więc to wielbiciel?

— Tak jest. I zdaje się, że nawet konkurent o me wdowieństwo.

— Hm... byle tylko po twojej myśli, nie byłoby nic naturalniejszego.

Janka wzruszyła niechętnie ramionami.

— Nie mam żadnych planów, generałowo.

— Czy ów epouseur mieszka w Warszawie?

— Od niedawna. To znajomość z Londynu. Utrzymuje, że przyjechał tu tylko dla mnie.

— Cudzoziemiec?

— Polak. Niejaki księżę Gintułd.

— Czy nie Andrzej?

— Tak. Czy znasz go moja droga?

— Cokolwiek. Właściwie więcej ze słyszenia. Jeżeli chodzi o urodę, trzeba ci powinszować podboju. Ma być bardzo piękny.

— O, tak. Przystojny jest naprawdę.

Grabowska przyjrzała się Jance badawczo. Ów Gintułd ze swemi zabiegami wcale się jej nie podobał. Przedewszystkiem krzyżował jej pocziwe plany, a powtórę w księgach pamięci niezbyt pochlebnie był notowany. Dawne plotki głosiły o jakiejś tajni wyścigowej, częściowej ruinie, sukcesach uwodziciela i t. d. Zmilczała jednak dyplomatycznie, chcąc zbadać, jak rzeczy stoja.

— Odkąd widziałam go raz ostatni, upłynęło już wiele lat. Był wówczas piękny, jak Apollo Belwederski i taką, zdaje się, nazwę nosił w kołach złotej młodzieży. Nie byłoby więc nic w tem dziwnego, gdyby mu się i dziś czyjeś serce podbić udało.

— Ależ ja wcale nie mam serca, generałowo. Jakaż z ciebie anachronistka!

Stara spojrzała na nią z wyrzutem.

— Janko! Jak można, jak można?

— To stara prawda, droga moja, — żartowała z przymusem baronowa. — Wie o tem pół Europy.

— Wróćmy jednak do księcia Gintułda. Czy on ci się podoba?

— Nie wiem, nic nie wiem! — zastrzegła się. — Księżę bawi mię. I, jak dotąd, bawić nie przestał.

— A co z tego może wyniknąć?

— Też nie wiem. Dawno odwykłam myśleć o przyszłości. To bardzo niemądre przyzwyczajenie. Sama przyznasz.

Grabowska coraz mocniej była niezadowolona. Nawet z samej siebie.

Nie uszło to uwagi Inbornowej. Uśmiechnęła się przekornie i rozdarła kopertę.

Przebiegłszy oczyma kilka wyrazów, skreślonych na karcie wizytowej księcia, wzruszyła zlekka ramionami.

— Zobacz! — podała bilet przyjaciółce.

„*Królowej w hołdzie — wierny paż*“ — odczytała skwaszona Grabowska.

— Ile lat może mieć księżę Gintułd? — spytała obojętnie Janka.

— Mniej więcej, czterdzieści dwa.

— A ja — trzydzieści cztery. Proporcja wieku w małżeństwie wymarzona. Nieprawdaż?

Staruszka spojrzała na nią z pod oka i nie odpowiedziała na pytanie.

Zła była, niczem pieprz.

IV.

Wielki jesienny raut w salonach baronowej Inborn zapowiadano, jako „clou“ sezonu.

Łęski wiedział o tem doskonale, dawno już bowiem głosiła to fama, jak zresztą o wszystkich przyjęciach, wydanych przez nią poprzednio. Miały one ustaloną opinię świetności, przepychu i dobrego towarzystwa. Spotykał się na nich cały świat — nowej i dawnej Warszawy, dobrany starannie i wybrednie.

Raut obecny należał do przyjęć o szerszych ramach. Zaproszeń rozesłano zgórą sto, oczekiwano zaś koło dwustu osób.

Łęski wysiadł przed pałacem baronowej z uczuciem trudnej do opanowania tremy. Miał ją ujrzeć, słyszeć jej głos, czuć ciepło uścisku dłoni. Widywał ją zagranicą dość często, widział i tu w Warszawie. Zawsze jednak był owym kimś z tłumu, bezimiennym i dalekim. Od dawno minionych czasów pensjonatu pani Młockiej nie zamienił z nią ani słowa.

Pożegnał Jankę Brzeską, a powitać ma baro-

nową Inborn, kobietę dojrzałą, dumną, pewną siebie i swej wysokiej, bądź co bądź, pozycji.

Jakimże będzie ich powitanie, a raczej, jak powita go ona, Janka?

Czy zdawkowo i protekcyjnie z tym gestem wielkiej damy, rozdzielającej stereotypowe uśmieški maluczkim? Lękał się tego. Nie dla siebie. Serdeczności, przyjaźni nie oczekiwał, bo nie było ku temu żadnych danych. Skąd? Lękał się jednak pospolitości, bał się w niej znaleźć cechy czcze i płaskie. Drżał przed ową degradacją estetyczną ideału, przed tem bodaj najbardziej przykrem z rozczarowań.

Wybrał się dość późno. Było około jedenastej. Pałac jaśniał powodzią świateł — zebranie było już w pełni.

Oszłomił go zrazu różnojęzyczny gwar rozmów i ożywiony ruch, jaki panował wszędy. Wszedłszy na piętro, przystanął.

Zgóry roztaczał się jedyny w swoim rodzaju widok na to kolorowe rojowisko, płynące przybraną w kwiaty klatką schodową. Cała gama barw, błysków klejnotów i uśmiechów. Kolorowe fraki dyplomatów, gwiazdy, ordery, stroje dam, diademy, naszyjniki, nagie ramiona, różnolitość typów i temperamentów, — wszystko to po zawierusze światowej było czemś nowem, działało, jak szampan, pociągało.

Świetność zebrań Warszawy przedwojennej łączyła się tu z nowym dla niej światem przedstawicieli polityki mocarstw, z gronem nie gości już, zaglądających tu przypadkiem, jak do zapomnianego

kąta, ale z mikrokosmem całej Europy, posługującym w stolicy wielkiego państwa.

Przez salony przesuwały się ekscentryczne Włoszki, subtelnie piękne, lub kościste córki Albionu, wytworne, szczebiotliwe paryżanki, proste i szczere piękności bałkańskie, umiadowane nad miarę, choć pełne egzotycznego wdzięku Rumunki — na tle wykintu dystygnowanych i dumnych pań polskich.

Po za ramami zwykłego towarzyskiego ceremonjału — swoboda i ożywienie panowały tu niepodzielnie. Czuło się, że duszą domu jest ktoś, posiadający ten rzadki dar kobiet wielkiego świata, które ów nastrój emanują z siebie.

Baronowa Inborn gości swych nie bawiła. Umiała jednak zawsze wytworzyć atmosferę, w której każdy czuł się dobrze. Intuicyjnie odgadywała, kim należy się zająć, jakie charaktery i indywidualności z sobą zbliżyć, a komu pozostawić swobodę. Wiedziała, jakim do kogo należy przemówić językiem, gdzie rzucić odpowiedni komplement, gdzie uśmiech, komu pełne godności skinienie.

Mimo swej majestatycznie chłodnej postawy, była u siebie ożywiona, uprzejma, pozornie pełna nawet gościnnej serdeczności. Była wszędzie. Przez gwarne sale przewijał się wciąż jej czarny, dżetami zdobny strój, olśniewająco białe ramiona i dumna kształtna główka w koronie bujnych miedzianozłotych splotów, w których promieniał bezcenny diadem z brylantów.

Łęskiego, który stał w progu głównej sali, wytropiła dość prędko Grabowska.

— A, jesteś? — ucieszyła się. — Czemu tak późno? Chodźże, przywitaj panią domu.

Przelawiała z nim zręcznie przez salę i doprowadziła do grupy trojga osób. Łęski drgnął. Stał tuż przed baronową, rozmawiającą z ożywieniem z piękną jasnooką blondynką i wysokim mężczyzną w średnim wieku.

Na ich widok baronowa zwróciła się ku Łęskiemu i uprzedzając przygotowane przezeń etykietałnie wyrazy, wyciągnęła uprzejmie dłoni.

— Oto, jeden z moich najmilszych dziś gości! Niedobry panie Stefanie, jakże źle chowasz w sercu dawne znajomości. Dalesz tak długo na siebie czekać! — rzekła z prostotą. — Pozwolisz, droga lady, — zwróciła się po angielsku do towarzyszki, — że przedstawię ci jednego z naszych najslawniejszych pisarzy. Pan Stefan Łęski.

Literat skłonił się. Z kolei panowie wymienili uścisk dłoni.

— Jestem Gintu!d! — wyraźnie wyskandował swe nazwisko sztywny pan.

— Imię pańskie jest mi znane. Czytałam parę pańskich nowel w przekładzie duńskim i sprawiły mi one prawdziwie artystyczną satysfakcję, — zwróciła się do Łęskiego cudzoziemka.

— Oceniam pani łaskawą uprzejmość.

— Czemuż miałaby to być tylko uprzejmość?

— Bo my, Polacy, piszemy przeważnie tak bardzo dla siebie, ściśle dla naszych własnych zgryzot i radości, że obcy czytelnik rzadko kiedy duchem literatury tej może się przejąć.

— A przytem jest ona tak wobec Europy uboga, — wtracił lekceważąco książę.

— Zwłaszcza, jeśli się jej nie zna i z zasady nie czyta! — rąbnęła obces Grabowska.

Pastelowa piękność spojrzała z niesmakiem w stronę Gintuła.

— Przejać się, — podjęła, — jest istotnie trudno. Ale zrozumieć i odczuć można niejedno. Ja przynajmniej czytałam polskich dzieł bardzo wiele, niestety, nie w oryginale. Po duńsku głównie i po francusku. W języku dzisiejszej mojej ojczyzny najmniej.

— Ogromnie miło mi powitać w pani zwolenniczkę polskiej twórczości.

— Dała mi ona niejedną szczerą emocję. Może zresztą dlatego, — uśmiechnęła się blado, — że w żyłach moich podobno jest sporo polskiej krwi. Wiadocznie to atawizm.

— Podziwiam, milady, wysoką w tym wypadku kurtuazję jej i odwagę, — rzekł Gintuł.

— Nie rozumiem pana. Dlaczego kurtuazję i odwagę?

— Bo przyznać się do krwi polskiej jest wielką, zaiste, odwagą. Szczególnie, gdy się patrzy na tę tu polską operetkę. Gdybym to słyszał z ust kogoś z bałkańskich naszych gości, byłoby to naturalne. Ale z ust pani, ambasadorowej Wielkiej Brytanji?

Usta posłowej zwęziły się dość nieprzyjemnie. Łęski w zdenerwowaniu poprawił binokle.

— Nie, panie, my Anglicy, jeśli tu w ich imieniu mam odpowiedzieć, mamy dużo odwagi, ale nie zużywamy jej na niepotrzebne komplementy, a zbytnia kurtuazja nigdy nie należała do naszych cech. Mówię, co myślę. Macie wiele wad, ale do waszych zalet niejeden naród chętnieby się przyznał. Kto zaś ma piękną przeszłość...

— Ten niezawsze umie z niej dobyć kapitał przy-

szłości. Mamy tego namacalne dowody, — wzruszył wzgardliwie ramionami.

— Dość tego, mój książę, — uderzyła nagle wachlarzem w otwartą dłoń Grabowska. — Co pan o tem wiesz? Co wogóle masz do powiedzenia? Jesteś tu tylko przechodniem, obcym, jak mało kto.

— Generałowo, czem zasłużyłem sobie na taką niełaskę?

— Powiedziałeś pan za wiele i nie na miejscu, — rozszrożyła się stara, — więc i ja powiem, co o tem myślę. Takich kosmopolitów, jak pan, ma każdy kraj i każdy naród, ale na wygłaszanie podobnych zdań pozwala im tylko po za granicami państwa. U siebie nigdy. W Polsce to uchodziło długo, za długo. Dziś już ten czas przeminął. Niewygodnie tu księciu? Jedź dalej i nazwij się choćby... Holendrem. Nikt z nas się do ciebie nie przyzna. Ja pierwsza!

— Brawo, brawo! — śmiała się szczerze ambasadorowa.

— Nie chmurz się, drogi książę! — przecięła dyskusję Janka. — Dostałeś, na coś zasłużył. A że z rąk kobiety, więc skłoń się po rycersku i przyobiecaj skrucę. Dawno ci miałam powiedzieć, że nie znoszę tej pozy malkontenta.

Kłopotliwą sytuację przerwała scena, która wszystkie spojrzenia zwróciła ku wejściu.

Od progu sali uczynił się niejako żywy szpaler fraków, mundurów różnych armji, nawet sutann, a środkiem, cała w uśmiechach i podskokach, rzucając okrzykami w dziesięć stron, posuwała się wysoka rudawa blondynka. Niepiękna i już niemłoda, chuda nieco nad miarę, ale zgrabna i wyjątkowo

szykowna, szła, jak nawykła do hołdów triumfator-
ka, obie wysoko podniesione ręczki oddając niejako
na pastwę pocałunków cisnących się szeregiem mę-
skich postaci. Po drodze rzuciła tu i owdzie jakiś
okrzyk, lub żart błyskotliwy, niejedną dłoń trzepnę-
ła wachlarzem i śmiała się bez przerwy, głośno,
prawie krzykliwie. Strój miała osobliwy, zaiste
skromny, tak skromne były owe skrawki materji,
które ją miały okrywać. Nagi prawie tors, zupełnie
odsłonięte plecy, suknię zaś imitowały bicz szkla-
nych paciorków, dzielące się raz wraz, by okazać
sprężyste smukłe uda, obojętne w jedwabny błę-
kitny trykot. W stroju, a raczej w dezabilu tym
uderzała jeszcze bardziej jej chudość, a słuszny
wzrost uwysmukłała wysoka koafiura, w którą
wpięty był gigantycznych rozmiarów grzebień.

Była to ekscentryczna hrabina La Montana, żo-
na ambasadora słonecznej Italji, ozdoba warszaw-
skich salonów, spiritus movens zabaw w światku
dyplomatycznym i wśród arystokracji miejscowej.

Spostrzegłszy stojącą w głębi sali baronową,
wyrwała się formalnie z rąk wielbicieli, roztrąciła
tłum mężczyzn i podbiegła do pani domu.

— Ach, chere baronne! Toujours belle, a dziś
bardziej, niż kiedykolwiek! Jak tu u pani dziś pięk-
nie, niezrównanie, wspaniale! Baronowo! mamy
bajeczny projekt. Coś ekscytującego! Jesteś z na-
mi, prawda?

— Co takiego? Dajże mi się powitać, droga hra-
bino. Oszło mi się. Jakiż to projekt?

— Cały plan już opracowałam. Tu, idąc po scho-
dach. Wystawimy sztukę. Zamiast aktorów — my
wszyscy! — zakreśliła szeroki ruch dłonią po sali.

— Ależ to coś niezwykłego? — wtrąciła z nie-
dowierzaniem Angielka.

— Bardzo! Nieprawdaż? — klasnęła w dłoń
hrabina.

— Gdzież ją zamierzacie państwo wystawić?

— W teatrze, w najprawdziwszym teatrze. Mu-
simy mieć do rozporządzenia cały przepych nowo-
czesnej techniki i prawdziwie sceniczną emocję.
Emocje! — te przede wszystkim. Wynajmiemy na
jeden wieczór chociażby teatr Polski. Je vous assu-
re, baronowo, będzie to coś wspaniałego.

— A publiczność? Czy mamy grać przed publi-
cznością za pieniądze? — pytały z zakłopotaniem
zaciekawione damy.

— Oh, jamais! — oburzyła się Włoszka. — Gra-
my dla siebie i stać nas na własną publiczność. Bę-
dzie nią całe nasze towarzystwo, nasza sfera. Bę-
dziemy my wszyscy, wszyscy! — powtórzyła z ko-
miczną egzaltacją.

— Czy wybór sztuki już zrobiony? — pytała z
lekkim uśmiechem Janka.

— Ależ, naturalnie, oddawna! Jeszcze tam, w
hallu przyszła mi ta myśl, jak olśnienie, wtedy wła-
śnie, gdy ze mnie płaszcz zdejmowano. Doprawdy,
projekt ten był dla mnie poprostu jakimś objawie-
niem. Zagramy, droga milady, sztukę twojego ziom-
ka, arcydzieło boskiego lorda Paradoxa, „Wa-
chlarz lady Windermere“! — spojrzała wokół tri-
umfująco.

— Komuż przeznaczasz główną rolę, hrabino?

— Komu? Czy mogą tu być dwie opinie? Tobie
i tylko tobie, baronowo! Ty będziesz w niej kla-

syczna, fascynująca! Gdybyś jednak miała jakieś obiekcje, o których słyszeć nawet nie chcemy, gotowa jestem się poświęcić i dla dobrej sprawy podjąć się roli tej osobiście. Ale to byłaby już ostateczność. Ty zaś, baronowo, za karę byłabyś naszym reżyserem. Twój smak, bystrość, dar obserwacyjny...

Generałowa, korzystając z zamieszania, skinęła na Łęskiego i cofnęła się w głąb sali.

— Chodź, mój drogi. Tu jest za głośno. Nie znoszę, gdy mi kto krzyczy nad uchem.

— Dokąd idziemy, pani Henrieto?

— Pomożesz mi. Jestem tu niejako wicegospodynią i muszę wyręczyć Janke. Trzeba będzie zlustrować pokoje panów i zobaczyć, czy służba o nich pamięta. Janka musi jeszcze pozostać w sali, bo zaraz będzie ostatnia produkcja koncertowa i wypadnie podziękować artystom. Przytem ta sroka nie puści jej tak prędko.

— Generałowo, — szepnęła, pochylając się Łęski, — powiedz mi, kto jest ów pan?

— Daj mi spokój. Czy nie widzisz, że zła jestem? Książę Gintułd, słyszałeś przecie. Pozatem — błazen!

— I to zauważyłem. Ale jakie jest jego stanowisko w tym domu? Czy to ktoś z bliższych znajomych baronowej?

— Jej konkurent, jeśli ci na tem zależy.

— Aż tak! — podniósł brwi zdziwiony.

— No więc cóż? — rzuciła się Grabowska.

— Nic! — odparł Łęski. — Rzecz zwykła. Jest wdowa, więc może zostać... księżną.

Stara po raz wtóry uderzyła wachlarzem z paścią po dłoni.

— Zmiłuj się, przyjaciółko, na nic zmarnujesz swój nieszczęsny wachlarz.

— Tu mi pierw włosy wyrosną, nim się to stanie! — targnęła się impetycznie. — Nie dopuszczę, choćbym miała stanąć na głowie.

— Daj pokój, byłaby to dla ciebie ewolucja na zbyt akrobatyczna. I po co? A jeśli ona z nim będzie szczęśliwa? Przecież tu o to tylko chodzi.

— Szczęśliwa? I ty w to wierzysz? Z jej umysłem, kulturą, wyższością?

— Zgoda. Uważam to również za nonsens. Ale w takim razie nie widzę powodu do obaw.

— Ja zaś widzę. Janka się nim głębiej nie zajmie, ale może popełnić szaleństwo. Trzeba znać kobiety. Boję się tej jego urody i podejrzewam, że jest zwyczajnym aferzystą.

— Nie rozumiem.

— Ee, mój drogi, wróć ty lepiej do elementarza i zacznij się uczyć życia od początku. Nie zechcesz przecie, żebym ja, stara, tłumaczyła ci takie rzeczy. Przecież wiesz, że ten Inborn właściwie...

— Był stary, rozumiem...

— No, nareszcie! Janka zaś...

Przerwała, odpowiadając z dystynkcją na ukłon jakiegoś dostojnika w fioletach.

— Witam panią generałową. Dyskusja, widzę, gorąca.

— Niezwykle, ekscellencjo. To czasem szkodzi, ale i odmładza. Mój przyjaciel, poeta Łęski. W moim wieku można już mieć dyspensę na przyjaciół, nieprawdaż?

— Jeszcze nie, jeszcze niekoniecznie. Kobieta zawsze jest istotą niebezpieczną, — silił się na komplement dostojnik.

— Ekscellencjo! — roześmiała się staruszka. — Słusznie, jak widzę, czynisz, kryjąc się tu, bo jeśli nawet we mnie dopatrujesz się sideł grzechu, to czemuż wydałaby ci się dziś tam na sali hrabina La Montana?

— Owszem, owszem, widziałem. Właśnie zażywam tu moich najcięższych egzorcyzmów.

— Jakże się ekscellencji podoba jej toaleta?

— Owszem, niczego. Prawdziwie włoska.

— Włoska? Skąd?

— Ha no, widzi szanowna pani: z dołu te tam paciorki, to jak — macaroni, a w górze... hm... lazaroni.

— Zatykam uszy. Świat się kończy! I to ty, ekscellencjo?

— Ano, cóż? Czy to jest konfesjonal? To raut, łaskawa pani.

— — — — —
Z sal, przeznaczonych dla panów, zdała dobiegał gwar namiętnych dyskusji i istne chmury dymu przesłaniały zebranych.

Łęski minął parę pokojów, gdzie stały stoliki do kart, słabo jednakże jeszcze obsadzone przez graczy, większość bowiem w rozrzuconych tu i tam grupkach odprawiała istne sejmiki polityczne. Przełom wojenno-społeczny trzymał umysły w ustawicznym napięciu i dawał pole roznamiętnieniu.

W Łęskim dyskusje te wywołały duże zainteresowanie. Zebrań politycznych w istotnem tego

słowa znaczeniu dotąd unikał. Budziły one w nim pewien niesmak i nie dawały plastycznego obrazu stosunków. Urządzane pod egidą tego lub innego stronnictwa, miały swój ściśle określony kąt widzenia, któremu poeta nie dowierzał.

Tu po raz pierwszy stykał się z samem społeczeństwem. Była to drobna jego cząstka i niewątpliwie do pewnego tylko odłamu należąca, złożona jednak z ludzi, mówiących mniej więcej szczerze, bo w swoim kółku. Nadto z ludzi, których przeważnie znał i nie miał powodu im nie ufać.

Rozmowy, w których mimowoli przeważał nastrój podniecenia, toczyły się dokoła całego kompleksu spraw bieżących. Rozgrywająca się u ściany wschodniej wojna, nowe prądy socjalne, reforma rolna, powojenna deprawacja moralna, spór o osobistości i autorytety polityczne — tematów nie brakło. Ścierały się zdania, płynęła fala rozgoryczeń, dociekano przyczyn i dalszego rozwoju wydarzeń.

W ostatnim mniejszym gabinecie napotkał grupkę pięciu, czy sześciu panów, siedzących przy winie. Jeden z nich uściśnął go za rękę i wskazał w milczeniu próżny fotel, nie przerywając mówiącym.

Rozejrzawszy twarze obecnych, Łęski znalazł kilku znajomych. Był tu stary Granowski, człowiek dużych zasług społecznych i filantrop, publicysta Zrębowicz, dwu poważnych pedagogów, dziennikarz Runda i paru nieznajomych.

Jeden z nich, jegomość o ogorzałej twarzy i sangwinicznej kompleksji, uderzał co chwila ręką w stół i gorączkował się niesłychanie.

— Bo niech mi zabiora, panie, niech wywłasz-

czają! Przypuśćmy, że taka kolej rzeczy. Ale komu, proszę mi to powiedzieć, komu się to dostanie? Pan myślisz, — zwrócił się w przestrzeń, jak do nieznanego przeciwnika, — że to pójdzie w te ręce, którym to przyrzeczono? Śmiej się pan z tego, wolne żarty. Może w ostatecznym finale, ale i to rzadko kiedy. A złupią skórę z takiego niby szczęśliwca, co się zowie. Kto zaś na tem zarobi, kto się tem, co jest moje, utuczy? Menery, panie, męty, podburzacze...

— Nie warto się tem przejmować, wierz mi pan! — uspokajał Runda. — Zanim zabiorą się do pańskiej Wólki, dużo wody upłynie. A przez ten czas zmieni się jeszcze wiele. Utopię samo życie wyłuska i odrzuci.

— Ja też nad sobą tu szat nie rozdieram, ale spojrzysz pan przecie na ten obłęd, jaki się panoszy. Czy pana w tem nic nie uderza? Przecież my, panie, ginieemy. I ja i wy i my wszyscy! To jest zagłada całej inteligencji.

— Przesada! Nie przestanę wierzyć w jeden aksjomat: „Wszystko przemija“. Z tem się trzeba zgodzić, moi panowie, że przeżywamy okres jedyny w swoim rodzaju. Była burza, a teraz płyną potoki. Brudne, jak zwykle po deszczu, ale tem niemniej zmywają powierzchnię. A sam pan przyzna, że na powierzchni tej nagromadziło się wiele i kurzu i pleśni. Wchodzimy w nową epokę, w sferę nowych prądów, należy o tem pamiętać.

— Dziękuję panu za pańską epokę i pańskie prądy. To ma być nowoczesność! Czy pan nie widzi, że całe nasze życie społeczne i polityczne

stało dziś pod znakiem triumfującego chamstwa? Że cała ta kohorta buńczucznie i głośno okrzykuje się za promotorów postępu, oficjalnie jest żrenicą demokracji, taranem do rozbijania feodalnych przesądów, a jednocześnie per fas et nefas rwie się do dorobku i wyczekuje jeno upragnionego momentu, by tam, gdzieś na uboczu, po cichu, ukradkiem zrzucić precz swe demokratyczne nazwisko, do tych po stokroć ukamieniowanych corychlej się upodobnić, być noble, nałożyć może sygnet na palec i zająć miejsca tych, na których ruinie udało im się wyrość i utuczyć.

— I przyznać trzeba, — wtrącił Zrębowicz, — że ludzie ci po dokonaniu kariery z przedziwną umiejętnością przyswajają sobie wszystkie najgorsze cechy zwalczanej przez się klasy. Adoptują sobie z lubością wszelkie inkryminowane jej grzechy, — lecz żadnej z cnót, których do wczoraj za żadną cenę dostrzegać nie chcieli, a dziś nie umieją ani ukochać, ani pojąć. Te cnoty zaś, które mogli wynieść z rodzimego ich środowiska, zostawiają za sobą wraz ze wszystkim, co może im przypominać przeszłość i kolebkę.

— Zanim atoli proces tych przemian i przeobrażeń dokona się ostatecznie, wszystko to jeszcze trwa, żeruje, ssie, dorabia się, zgarnia i rządzi, rządzi... Toż to człowieka ostatnia pasja, patrząc na to, porywa.

— A że trująca emanacja tego, zaiste, nieoświeconego absolutyzmu odbija się na społeczeństwie wysoce niezdrowo i godzi w elementarne pojęcia o moralności, to rzecz jasna, jak słońce.

— Bolszewizm, panie — i kwita! Nie potrzebujemy go sobie importować aż z Rosji.

— Widzę, że przestaliśmy już dyskutować i tylko się wzajemnie admirujemy! — odciął cierpko Runda. — Jeszcze raz panom z naciskiem powtórzę, że o bolszewizmie u nas nie może być mowy. Polska — to nie Rosja, a my nie jesteśmy rosyjską inteligencją, która się pozwoiliła wyróżnić, jak stado baranów.

— Na czym opierasz pan, panie Runda, to swoje przeświadczenie? — przerwał popędliwie Zrębowicz. — To jest polskie „jakoś to będzie“, tanie dziennikarskie frazesy — nic więcej. Bardzo to jest wskazane i pedagogiczne w popularnym dzienniku, ale tu przecież musimy mówić poważnie. Przed bolszewizmem ze wschodu pewno się obronimy, bo jest obcy. Ale jak sobie pan wyobrażasz walkę z nim wówczas, gdyby mu się tu u nas spodobało zakwitnąć? Gdzie pan widzisz tę swoją energję i odporność polskiej inteligencji? W czym? W jakiej organizacji? Co robimy, na przykład my, jak tu jesteśmy? Kwiecieście pogadamy, wyzoładkujemy się, zagramy w bridge'a i pójdziemy spać. O żadnej akcji, o żadnej samoobronie nie pomyślimy ad finem. Rosyjska inteligencja szła pod nóż z przekonaniem i satysfakcją, bo miała swoją tołstojowską filozofję, a my bez satysfakcji i bez filozofji damy z sobą zrobić to samo.

— Mój panie, gdybyśmy mieli patrzeć na rzeczy tak czarno...

— A kto panu powiedział, że tak jest? Ja tylko patrzę na nie z innej strony i nie chcę trzymać w

rękach fałszywego rachunku. Jeśli u nas bolszewizm się nie przyjmie, lub jeśli dozna porażki, nie będzie to wcale naszą zasługą. Inteligencja go nie skruszy, bo jej na to nie stać. Przynajmniej tę, na którą patrzymy dzisiaj. Nie dokona tego sfera ludzi, nie znająca nawet swej roli, skłócona, rozbita i przede wszystkim bardzo, bardzo wygodna. Ona nie wyjdzie na ulicę, nie weźmie do rąk tej samej, co i przeciwnik broni i — nigdy nie pójdzie razem. Bolszewizmu u nas nie będzie, ale tylko dlatego, że nie przyjmie go lud, nie przyjmą masy, i krwią i charakterem całkiem mu obce.

— Pan Zrębowicz uczynił tu jedną bardzo trafną uwagę, — odezwał się stary pan Granowski, w milczeniu dotąd przysłuchujący się rozmowie. — Powiedział pan, że inteligentna część społeczeństwa jest u nas bardzo „wygodna“. Spostrzeżenie słuszne. Powiem więcej — jest ona wyjątkowo bierna i niesamodzielna. Takie jest całe współczesne pokolenie. Wynik to fatalnego wprost systemu wychowawczego, w jakim wzrosliśmy. Wychowano nas, proszę panów, źle. I tam, gdzie była szkoła polska i tam, gdzie jej nie było. Dobrych zasad nie brakło, ale je rozproszono i nikt nie umiał nanizować ich na nitkę celowości. Nie było całokształtu programu wychowawczego, nie zastanawiano się, czy mają wyrastać ludzie, czy pionki.

— Co szanowny pan ma na myśli? — ozwał się jeden z pedagogów.

— Najprostsze wnioski z obserwacji życia, — odpowiedział spokojnie starzec. — Jest w życiu społeczeństwa naszego objaw, na który nie zwracamy

uwagi. Objaw niepożądany i ujemny, a skutki jego już dziś są widoczne. Rzecz w tem, że utarło się przekonanie o słuszności zasady nieangażowania własnego rozumu w te dziedziny życia ideowego, społeczno-narodowego, czy intelektualnego, które do czynności i obowiązków naszego dnia powszedniego nie należą, chociaż w nich uczestniczymy, do uczestnictwa tego jesteśmy powołani i za pomyślność tych spraw współodpowiedzialni. Wypływającym z źródeł tych obowiązkom obywatelskim, czy ludzkim naogół czynimy zadość. Doceniamy je. I chętnie lub niechętnie, zajmujemy jednakże te, czy inne posterunki, powierzone nam przez strategów naszego ideowego kierunku. Nakazuje nam to zmysł moralny. Spełniając tedy, w miarę środków i sił, rolę szeregowców i pionków w łonie organizacji, służących różnym kultom, ideologjom, czy prądom polityczno-społecznym, — czujemy się „w porządku”. Jest to mniemanie bardzo złe i błędne.

— Przepraszam szanownego mecenas, — wtrącił się Runda, — przecież temu, że jednostki niepowołane nie chcą się piąć ku stanowiskom czołowym, należy jedynie przyklasnąć. Jeśli ktoś ma świadomość braku właściwych ku temu uzdolnień, świadczy to jedynie o poczuciu odpowiedzialności. Ludzie, stworzeni na szeregowców, słusznie czynią, stając na odpowiednim miejscu. Byłoby źle, gdyby ambicje miały w czemś rzeczywistą ich miarę przerastać.

— Zupełnie słusznie. A jednak ta właśnie świadomość, tak cenna dopóty, póki płynie z dobrze pojętej skromności, przeradza się w niebezpieczne

niedomaganie, gdy jest wynikiem umysłowego lenistwa. Mając bowiem niejako pod ręką czyjaś wyższą inteligencję sterującą, korzystając z pożytkiem i łatwością z tych wartości, które czyjś intensywny umysł na zawołanie nam produkuje, przestajemy po prostu korzystać z inteligencji własnej. Czynimy ją niepotrzebną, degradujemy, przestajemy wydoskonalać i świadomie przez to ją obniżamy. Tą drogą umysł nasz staje się czemś, nakształt wycofanego z obiegu warsztatu, postawionego w kącie rupieciarni fabrycznych. Narasta na nim kurz i pajęczyna, trawi go rdza i gdy znienacka zajdzie potrzeba odwołania się do jego usług, okazuje się, że jest już nie do użytku. Popsuł się sam. Podobny los podzielić musi z czasem i każda inteligencja, gdy się jej niebaczenie da przewlekły urlop.

— Przyzna jednak szanowny mecenas, — zauważył z namaszczeniem pedagog, — że możliwość korzystania w gotowym, rzec można, stanie z stworzonych dla nas ideowych, albo moralnych kategorii, jest niewątpliwem dobrodziejstwem. Korzystamy z nich i czynimy słusznie, wiedząc i wierząc, że wypracowują je te umysły, które doskonałością swą w danej sferze wyprzedziły nas w sposób oczywisty.

— Tak jest. Dobrodziejstw tych jednak nie wolno nam skażać krańcową biernością umysłową. Na dodatność oddziaływania ich z winy naszej upada wówczas cień, bo wpływ ich staje się wtedy nie tylko twórczy, ale i destrukcyjny. Uznając użyteczność korzystania z gotowych form myślowych pewnych autorytetów, a kładąc zarazem nacisk na

konieczność przetrwania zasad tych przez inteligencję własną, — winienem wyjaśnienie. W czym rzecz? Rzecz jest w tem, by rozum nie przestawał być żywym naszym towarzyszem. By gotowe w formie i treści zasady cudze zyskiwały w nas zawsze trwały grunt rozumowego przeświadczenia o ich słuszności. Wiara na słowo — to oparcie zbyt kruche. I gdyby z tej oczywistej prawdy korzystano praktycznie, każda z podążających ku swym celom grup szłaby naprzód napewno krokiem podwojonym. Kilkakroć bowiem większa jest odporność, spoiłość i wydajność tych organizacji, które się tworzą z członków przekonanych, niż tych, które skupiły samych rozanielenców.

— Zdaniem więc pana, można uznawać czyjś autorytet i jednocześnie roztaczać nad nim należy coś w rodzaju cichej oberwacji?

— Choćby nawet. Jeśli to autorytet prawdziwy, cóż może on na tem stracić? Analiza zasad, o których prawości i tak nie wątpimy, w niczem im nie uwłacza. Należy stanowczo zburzyć fałszywe założenie, że pobudką analizy może być tylko oczywista wątpliwość. Krytycyzmu nie stworzono wszak dla negacji wyłącznie, ale i dla fundamentowania prawd. Przedewszystkiem zaś, nie traćmy z oka korzyści własnej. Przez pożyteczną gimnastykę myślową unikniemy skostnienia i posuwać się będziemy z powodzeniem naprzód. W sytuacjach zaś, gdy wypadki zmuszą nas do samodzielności, nie będziemy bezradni i zdezorjentowani. Umysłu własnego nie wolno nam traktować, jak pasierba, z nie-wiara i niechęcią. Anomalje takie nie są rzadkie.

Spotykamy dość często jednostki, które stale olśniewa czyjś nimb i tak są w cudzą świetność ciągle zapatrzone, że z biegiem lat w psychice ich narastają istne złoże uprzedzeń do samych siebie i wyłączają wszelką ewentualność pójścia za głosem własnego rozsądku. Wówczas byle frant je otumani i poprowadzi na pasku. Kto się tak absurdalną kieruje filozofją, ten napewno z czasem swego się dokołacz. Degradując się stale bez racji, doczekamy się rychło, że tę rację będziemy mieli już naprawdę. Człowiek, sugestjonujący się przez lat kilka, że jest głupi, głupim się stać musi.

— Utrzymuje więc mecenas, że dreptanie za kimś, kto nam przemawia do przekonania i posiada niepodważaną wartość, tak moralną, jak umysłową, nie ma w sobie w zasadzie nic zdrożnego? — chciał się koniecznie upewnić Runda.

— Ani trochę. Jest to nawet konieczne. Społeczeństwo nie może się wszak składać z samych autorytetów, chodzących w pojedynkę, bo w ten sposób nie byłoby społeczeństwem i nie tworzyło żadnej akcji wspólnej. Muszą być zatem ci, co idą naprzód i ci, co postępują w szeregu. Szkodnictwem atoli społecznem i narodowem jest „dreptanie“ za mędrce w ten sposób, że gdy go znagła nie widzimy przed sobą, stajemy w miejscu bez najmniejszego pojęcia, w którą właściwie należy pójść stronę. Do tego właśnie prowadzi posługiwanie się w życiu cywilnem dogmatem, nie myślą. O opinii swego przywódcy ideowego szeregowi nie umieją zazwyczaj powiedzieć nic więcej nad to, że jest do-

bra, ale dlaczego jest dobra, ani sobie, ani komukolwiek wyjaśnić nie są w możności. Nie chce im się poprostu myśleć, na jakich drogach owe opinie i sądy powstały, jakie współpracowały tu czynniki, jaka przezorność, jaki cel przyświecał w perspektywie. A wystarczyłoby przecie z myślą przeczytać po kolei owe wskazania z ostatnich dwu tygodni, jeśli chodzi o słowo drukowane, powtórzyć sobie raz jeszcze znane na pamięć formułki, — nie, jak dawniej, bez kropek i przecinków, ale z udziałem rozsądku, — ażeby poznać zasadniczą linię rozumowania naszego ideologa, poznać jego pobudki i odgadnąć intencje. I przy następnem zagadnieniu, które się może zaraz nazajutrz wyłoni, oczekiwana opinia przywódcy w ogólnych choćby zarysach nie byłaby już dla nas tajemnicą. Tymczasem, cóż widzimy? Większość szeregowców wszelkich organizacji — ideowych, czy zawodowych nawet — interesuje się sferą własnych spraw tak powierzchownie, tak się dzielnie uchyla od trudu wnikięcia w nie, że to, co życie ma wyłonić, jako konsekwencję, za parę godzin, co przywódca powie o ważnej kwestji za chwilę, jest dla nich zawsze księgą o siedmiu pieczęciach i ustawiczną niespodzianką. Nie niespodzianką nawet, bo ta istnieje dla tych, którzy przewidywali obrót odmienny, a więc myśleli o czemś.

— Czy jednak szanowny pan się nie myli? — wtracił z widocznym niezadowoleniem drugi pedagog. — Wszystko to można ze słusnością powiedzieć, ale tylko o warstwach mało inteligentnych.

Tak zachowuje się tylko nieoświecony tłum, ale nie sfera ludzi wykształconych.

— Niestety, panie, radbym, gdyby tak było. Mimo to, z całą otwartością muszę wyznać, że objaw ten w stopniu bardzo wybitnym obserwuję właśnie u naszej inteligencji. U ludzi zdolnych, od których ma się prawo wymagać i wymagać wiele. Potrzeby intelektualne upraszcza się u nas w taki sposób, że bez gotowej czyjejs formułki — ani rusz. Ręcę panu, że większość ludzi wykształconych tak lgnie w sybarytyzmie i zależności, że gdyby im, dajmy na to, dziś rano powiedziano o szeregu pierwszorzędnej wagi wydarzeń politycznych i socjalnych, jakie nastąpiły w ciągu doby ubiegłej, — nie wiedzieliby nawet, czy to są fakty złe, czy dobre, pożądane, czy jak najbardziej fatalne i jakie w przybliżeniu mogą być ich następstwa. I mimo to, że doniosłość wypadków zelektryzuje ich na serjo, — nie zmarszczą nawet czoła, by się nad niemi zastanowić, bo za pół godziny, lub po obiedzie, dostaną swoją gazetę z gotowem oświeceniem i oceną.

— Paradoks! — mruknął pod nosem Runda.

— A w mniejszej perspektywie, w mniejszych kółkach? — ciągnął dalej spokojnie, ale z wypiekami na policzkach Granowski. — Wiecznie to samo wpatrywanie w czyjeś wargi w oczekiwaniu słów, których nie umiemy przewidzieć, ale które będziemy zaraz powtarzali, bo wypowie je ten, co za nas myśli. Ustawiczne dyktando i przepisywanie od pani matki tego ideowego pacierza, który się będzie odmawiać przez następny tydzień. Każdy salonik lub towarzyskie gronko ma też na swój użytek

jakiś drobniejszy autorytecik. Słusznie. Jest nim zwykle pan radca, sędzia, czy mecenas. Sąd jego ma uznanie i on o zmianach życia feruje wyroki. Przeciwnemu też nie mieć nie można. Ale oto, inteligentny ów salon poczyną się swym radcą do tego stopnia wyřęcać, że słyży się otwarcie i bez rumieńca czynione wyznania, iż sądu o wypadkach ostatnich (i politycznych i atmosferycznych jednocześnie) tymczasem urabiać sobie nie warto, dopóki... „radca“ nie przyjdzie. Jeżeli „radca“ ma przyjść na przyszły tydzień, mądrość życiowa salonu jest w zawieszeniu. Na czas urlopu — pewnie tak samo.

— Mecenase szanowny, wpadasz w frazeologię, przyznaj sam. Ponoszą cię słowa i kreślisz karykatury, — powiedział tonem perswazji Zrębiewicz. — Przypuśćmy, że jest, jak mówisz. Nie w tych zarysach, ale jest. Ja sam to przyznaję. Czyż to tak bardzo zmienia postać rzeczy? Bezmyślnie, czy inaczej, powtarzając zdania ludzi przodujących, szerzy się przecież sądy zdrowe. To zaś, że wybór przywódcy był trafny, człowiek inteligentny zawsze jest w możności ocenić. Zło tkwi w braku organizacji, w niechęci działania...

— Moi panowie! — obruszył się staruszek. — Narzekacie mi tutaj, że kraj ginie, że cierpimy na brak odporności i silnych spoidel, a nie chcecie zrozumieć, że ten właśnie brak samodzielnych umysłów jest największą naszą słabością i zarazem największą siłą żywiołów wywrotowych. Że wybór wodza trafny — zgoda. Ale to nie argument. Bo jeżeli całej tej armji wypadnie stoczyć z współzawodnikiem swym i wrogiem walną jakąś batalję o pra-

wo życia i wyższość swej ideologii — i jeśli wtedy wodza na czele zabraknie, kto będzie stał poza nim? Strachy na wróble? To nie jest wasza sprawa osobista i nie sprawa tej czy innej grupy. To jest groźne dla społeczeństwa. Żywemu społeczeństwu Europy nie może być rzeczą obojętną popularyzowanie się typu obywatela bez chęci i bez zdolności myślenia — i to w sferach odgórných. Nie może ono też przejść do porządku nad objawem bardziej jeszcze smutnym, że ten stan rzeczy uważany jest za naturalny, nikogo nie niepokoi i nie dziwi. O jednostki te, choć ich tak wiele — mniejsza. One nie są już w możności być użyteczne krajowi. Chodzi o rzecz ważniejszą — o wychowanie następnego pokolenia nie w atmosferze równie destrukcyjnych wpływów. Na nową serję manekinów nie możemy sobie pozwolić!

Granowski mówił napozór spokojnie, w oczach jednak błyszczały mu od czasu do czasu gorące skry. Unosił się wbrew woli i to tem więcej, że widział, iż audytorjum niebardzo było słowami jego zachwycone.

Zaden ze słuchaczy przykrych tych prawd nie brał, rzecz jasna, do siebie, ale każdemu było trochę nieprzyjemnie. Nastrój uczynił się drażliwy. Runda krzywił się z niesmakiem, Zrębiewicz ukradkiem ziewał, a ciało pedagogiczne zasłoniło się wyższem ponad wszystko milczeniem. Impetyczny szlagon jedynie wypróżniał kieliszek za kieliszkiem i przestał się przejmować. Dyskusja była dlań zanadto akademicka, więc dawno nie służył i czekał tylko momentu, by ją przerwać.

Szczęściem, służba wniosła tace z półmiskami zimnych przekąsek, co było najrzeczniejszą po temu okazją.

— No, panowie, pokrzepmy się!

— A wartoby. Widocznie koncert się już skończył.

— Niewątpliwie. Wyobrażam sobie, w jakim tam stoły obłożeniu.

— Jak na raucie poselsko-dyplomatycznym.

— Z tą różnicą, że niema tu zbyt wielu „suwerenów“, no i nikogo z tych, co lubią tort, polany sosem majonezowym.

— Jak myślicie, panowie? Po kolacyjce zagramy, co? — dopytywał się niespokojnie ziemianin.

— Ależ, naturalnie! — stwierdzili jednomyślnie pedagodzy.

— Łeski, grasz? — przytrzymał go za rękaw Zrębowicz.

— Dziękuję panom, zaraz wychodzę.

— Dziwnie jesteś niewyraźny. Czy masz powody do niehumoru?

— Bynajmniej. Pracuję teraz wiele i jestem trochę zmęczony.

Łeski istotnie czuł jakiś nerwowy ból w skroniach. W głowie kołatały mu jeszcze urywki zdań, a przede wszystkim tysiące słów, słów i jeszcze raz słów.

— Mam wrażenie, że niewiele się u nas zmieniło, — myślał ze smutkiem. — Ciągłe to samo. Mówi się wiele. Och! jakże strasznie wiele się mówi. Nawet mądrze, nawet logicznie, nawet przedziwnie trafnie, ale to wszystko — ot, pianka, musujący kie-

lich szampana. A w czynie... nic, albo prawie nic. Partja bridge'a.

Raut miał się już ku końcowi. Z opustoszeniem stołów, pustoszały i sale. Gwarniej jeszcze było u panów, gdzie grano w karty. W jadalni jednak, salonie i przyległych pokojach zostały jedynie nieliczne grupki tych, którzy albo dopijali ostatnie butelki szampana, albo kończyli wesoło rozpoczętą szermierkę flirtu i plotkarstwa.

U podjazdu odpływał pomału szereg karet i powozów.

Baronowa rozejrzała się po jadalni, wydała służbie kilka ostatnich zleceń i przeszła do buduaru. Czowała się dziwnie znużona i zdenerwowana. Stała chwilę przed lustrem, by automatycznym ruchem poprawić uczesanie, ręka jej wszakże opadła wpół drogi w zniechęceniu.

Dzisiejsze przedwieczorne rozmowy z adwokatem i generałową rozdrażniły ją, a raut znużył. Skłonna teraz była przyznać słuszność generałowej, że jednakowoż ów zgiełk ogłusza i oszalał. Szczególna rzecz: od tylu lat już jest królową salonów i jeszcze nigdy tak dotykalnie niemal nie odczuwała tego wrażenia.

Czyżby się czuła już starą? O nie, — baronowej Inborn ciężar wieku nie dolega. Skąd? Nie umie sobie tylko poradzić z nerwami. Z temi otepiałami, ujarzmionemi oddawna nerwami. Drgają w niej wszystkie, jak napięte struny, ściągają brzydkim grymasem twarz, wstrząsając dreszczem ramiona.

Czemu ta orkiestra na sali gra te nieznośne me-

lodje? Te surogaty muzyki Wschodu, dręczące, nerwowe i podnieśliwe.

Czemu hrabina La Montana śmieje się tak głośno i bezdźwięcznie? Czyżby wypila za dużo szampa? Chyba. Widzi ją stąd w lustrze, siedzącą na obrusie między dwoma tortami, otoczoną gromadą panów, wykrzykującą. Gestykułuje dłońmi, a nawet... nogami.

Dlaczego właściwie hrabinie La Montana tak wiele uchodzi? Że jest cudzoziemką? Czysto polski typ czolobitności.

Gdzie się podział Gintułd? Czy może również asystuje tej Włoszce? Baronową myśl ta rozdrażnia jeszcze bardziej, choć doskonale widzi, że Gintułda przy hrabinie niema.

Z buduaru Inbornowa chroni się do oranżerii. Mniej tu światła i muzyka nie wnika tak dojmująco. Staje w progu oszklonej galerji i stara się odetchnąć swobodniej.

Jak te tuberozy pachną!

Ma wrażenie, że wśród palm coś poruszyło się. Tak, to jakaś para.

Schadzka? Tu u niej? Niepodobieństwo. Marszczy brew i stara się oswoić wzrok z półmrokiem. Teraz widzi wyraźnie. Zarysowały się męskie silne ramiona, schylone ku innej postaci. Usta obojga zwarły się i tak trwają.

— Gintułd? — przemknęła błyskawicą myśl.

Wszystkie tętna, jak na komendę uderzyły jej w skroniach.

— Ależ, nie, — uspokaja się i pogardliwy uśmiech wykwita na jej wargach.

— To jest pan Argopulos z legacji greckiej i madame Dmitrew, — szepce. — To są Bałkany. Skąd — Gintułd? Co za myśl bezsensowna!

Cień, jaki rzuca postać baronowej, staje się jednak postrachem. Para — spłoszona, cofa się wgląd. Argopulos zostaje w tyle, a Bułgarka jak najspieszniej umyka drugim wyjściem ku palarni.

Niebawem znika i on.

Janka czuje, że dzieje się z nią coś niezwykłego. Ściągną jej ręk radeby się rozprężyć, mięśnie pragną jakiegoś wysiłku, a jednocześnie dziwnie omdlewający spazm ugina jej kolana.

— Jakże oszalamiająco pachną te tuberozy! One też żyją. Czy to nie najpiękniejsza ich noc?...

Dźwięki muzyki wdzierają się i tu. Ale już nie tak drażnią. Odmienne. Jest w nich coś marzącego i tętnącego krwią zarazem. Jest ciepło południa i cichy szal namiętnego uścisku. Baronowa nie wie właściwie nic konkretnego o ich zdradzieckiej wymowie, musi jednak obiema dłońmi uchwycić za skronie, bo zdaje jej się, że krew je rozsadzi.

Do przytomności przywołują ją czyjeś kroki. Odwraca się. Przed nią stoi Gintułd. Spogląda wzrokiem dość zagadkowym. Pewno się dziwi jej wzburzeniu. Ależ, nie — przecież jest już zupełnie spokojna, jest znowu sobą, tą samą, co i zawsze, wyniosłą, nieprzystępną baronową Inborn, obnoszącą po świecie maskę dumy i niezmaconej niczem równowagi.

— Pani zmęczona? — słyszy nad sobą stłumiony głos Gintułda.

— Bynajmniej, — odpowiada spokojnie, — było

mi tylko trochę duszno i chciałam tu odetchnąć świeżością zieleni, ale...

— Ale — co?

— Źle trafiłam. Stoją tu pańskie kwiaty, które pachną tak oszalamiająco, że mogłyby przyprawić o zawrót głowy.

— Mogłyby, lecz...

— Nie dokonają tego, bo dłużej tu nie zostanę. Atmosfera tu nazbyt zdradziecka, — uśmiechnęła się z przymusem.

— Jakichże zdrad mogłabyś się lękać baronowo? Spojrzała nań ze zdziwieniem.

— Ja? — powiedziała chłodno. — Książę wiesz, że nigdy niczego się nie lękam.

— Wiem, lecz czegożbym nie poświęcił, aby było inaczej.

— Nie rozumiem pana.

— Czegoż nie oddałbym za to, byś zechciała być nareszcie kobietą! — ciągnął Gintułd głosem zciszo-
nym. — Pani! — rzucił gorąco. — Czyż serce twoje nie znało nigdy uczucia?... Czy nie zadrgało choćby litością?

Baronowa zmieszała się. Gintułd stał bardzo blisko i, pochylony nad nią, patrzył w oczy. Uczuła, że całe poprzednie podniecenie odzywa się w jej nerwach nanowo.

Mimowoli spuściła wzrok.

— Nie wygląda pan na człowieka, zasługującego na litość.

— Nie wierzysz mi?

— Wierzę ci, książę, ale...

— Więc zdobądź się pani na ten krok. Bądź mo-

ją. Daj mi szczęście i sięgnij po nie sama. Miej tę odwagę.

Kwiaty pachniały tak silnie, że baronowa uczuła lekki zawrót głowy. Półmrok i muzyka zacieraly poczucie rzeczywistości. Głos Gintułda działał na nią w sposób niepojęty. Miał akcenty gorące i namiętne i potraçał w jej duszy jakieś pokrewne, uśpione do-
tąd struny.

Wstrząsnął nią dreszcz, ale dreszcz dziwny. Wpół objęło ją silne czyjeś ramię, baronowa jednak nie poruszyła się z miejsca. Owszem, oparła się nawet na ramieniu tem, bo oranżerja, kwiaty i plamy świetlne zawirowały jej przed oczyma, kolana ugię-
ły się i jednocześnie lube jakieś uczucie ciepła prze-
jęło wszystkie jej członki.

Podniosła wzrok półprzysłomny i napotkała jego oczy. Twarz Gintułda była tuż przy jej twarzy, ramiona obejmowały coraz silniej, z pośród warg do-
bywał się szept niezrozumiały.

Nie wstrząsnęła się wszakże żadnym odruchem protestu. Przeciwnie, uświadamiała sobie, że twarz ta jest niezwykle piękna i pociąga ją. Że oczy te świecą przedziwnie i patrzą ubezwładniająco.

— Więc zgadzasz się? Odpowiedz, mów, uko-
chana!

Baronowa nie wie, co się z nią dzieje, wie je-
nak, że musi coś odpowiedzieć. Zbiera myśli. Jakże jej trudno zebrać myśli.

Gdzie ona jest? Ach, tak — jest w oranżerji. We-
szła tutaj przed chwilą, była bardzo znużona. Tak,
tak. Nie mogła dłużej słuchać śmiechu hrabiny La
Montana i tej nieznośnej muzyki. Weszła do oran-

żerji i... poczuła, że kwiaty pachną. Pachną bardzo silnie. A potem? Acha: spłoszyła jakąś parę. Kto to był? Zdaje się... tak — pani Dmitrew z tym... Grekiem. Istotnie, dziwni ludzie... Ona w jego objęciach, jak... I pogardliwy uśmiech raz jeszcze wykrzywia piękne wargi baronowej Inborn.

Nagle czyni dziwne odkrycie. Co ona robi? Co to jest? Halucynacja? Przecież owa para dawno już znikła. Pamięta najdokładniej. A jednak tam w lustrze scena ta jeszcze trwa. Ten „bałkański“ nieśmaczny obrazek żyje. Role są wciąż te same, tylko aktorzy... Zamiast Bułgarki i Greka stoi teraz ona, Janka.. ona w ramionach mężczyzny. Chyba ją zmyśliły mylą!

Bardzo łagodnie i cicho baronowa zwalnia się z krępujących ją objęć. Ma uśmiech miły i figlarny.

— O, jakże niecierpliwym jesteś, książę.

— Więc zgoda? Mogę cię nazwać już swoją... swą narzeczoną?

Zasłoniła mu usta wachlarzem.

— Jesteś pan niezdolny! — powiedziała pół żartem. — Nie pozwalasz mi się zastanowić. Kobieta rzadko ma w życiu swobodę i nie rzuca jej bez namysłu.

— Błagam panią już od tak dawna.

— Nic panu na to poradzić nie mogę.

— Kiedyż więc?...

— Jeszcze nie dzisiaj, — uśmiechnęła się zagadkowo. — Podaj mi, książę, ramię. Muszę wrócić do swoich gości.

I spokojna, jak zazwyczaj, wyprostowana, zimna, jak posąg, szła pod rękę z Gintułem.

W buduarze minęła się z generałową i Łęskim. Oboje odprowadzili ją wzrokiem aż do drzwi sali.

Stara rzuciła niecierpliwie ramionami.

— No, dowidzenia, mój drogi. Zmykaj, jeśli ci pilno. Jankę pożegnam w twoim imieniu. Najchętniej pojechałabym z tobą, bo jestem zmęczona, a przytem zła na wszystkich, ale nie mogę.

V.

Śnieg przed chwilą osypał miękkim swym puchem zlodowaciałe chodniki, więc generałowa, która febrycznie bała się ślizgawicy, wysiadła z dorożki z całym nabożeństwem ostrożności i lęku. Wygramoliwszy się wreszcie, przeszła ostrożnie chodnik i znikła w bramie domu, gdzie mieszkał Łęski.

Na drugie piętro wstępowała powoli z odyszką i przestankami.

Drzwi otworzył jej lokaj, a raczej wyrostek, niedawno pasowany na tę godność i mocno z tej racji nią przejęty.

— Pan w domu?

— I jest i niema, proszę pani. Właściwie...

— Gadajże mi po ludzku, smarkaczu. Jest w domu, ale nie przyjmuje?

— Nie, proszę pani. Pan wyszedł, ale tylko co patrzeć, jak wróci.

— Skądże wiesz, że wróci właśnie teraz?

— Pan powiedział, że będzie o czwartej, a jak powiedział, to będzie. A wieczór to mają tu być panowie tacy od polityki — i ma być kawa na siódmą.

— Acha! No, to mam czas, — mruknęła pod nosem stara. — Zaprowadź mię do gabinetu i zrób światło. Poczekam.

W gabinecie utonęła w miękkim fotelu i zamyśliła się. Zamyśliła się nad sobą, że dawno już nie ma humoru i że się, oczywiście, na serjo już starzeje. Na tę myśl skrzywiła się dość kwaśno i rozpięła futro.

— Głupstwo ze starością. Skąd mam mieć humor? Kto tu właściwie jest naprawdę wesół? Może Łęski? Albo Janka? Ni stąd, ni zowąd, ja jedna mam być wesółą? Przecież wciąż jestem między nimi.

Czuła jednak, że jest sama z sobą nieszczerą i nie ma dość odwagi, by rozsnuć pozostały wątek myśli. Wprawiło ją to w jeszcze większe zniecierpliwienie i zadzwoniła na lokaja.

— Ile to minut po czwartej?

— Jeszcze nie biła, proszę pani.

— No, to zdejmij ze mnie futro, bo tu gorąco, jak w łaźni.

Przysunęła fotel do biurka, biorąc do rąk gazetę. Przeczytawszy jednak prawie całą stronę, przypadkiem spojrzała na datę. Miało to ten efekt, że gazeta z impetem poleciała na drugi koniec biurka.

— Też amator aktualności! „Kurjer“ z przed dni dziesięciu, jeszcze z listopada.

Zadzwoniła ponownie.

— Nie masz tam świeżego kurjerka?

— Jeszcze nie przyniesiono, proszę pani.

Z nudów generałowa zatrzymała wzrok na roz-

rzucanych papierach. Pośrodku biurka rozłożony był spory zeszyt, zapisany dopiero w części.

— Coś pisał — powiedziała do siebie. — Ciekawa rzecz, co to takiego?

Przysunęła bliżej okrytą ciemnym kloszem lampkę i poczęła przeglądać. Rękopis był dopiero zaczęty i nie miał wcale tytułu.

Stara ujęła face a main i przeczytała kilka wierszy wstępu.

— Acha, to, zdaje się, o tym topielcu. Co za uparty człowiek z tego Łęskiego.

Swoją drogą, ciekawość i nuda zrobiły swoje. Grabowska zapomniała po chwili o swem zniecierpliwieniu i czytała:

„Od pierwszych szkolnych lat, zupełnie jeszcze dziecinnych, żyłem dość zbliżka, choć bez więzów przyjaźni, z rówieśnikiem swym z tegoż miasta, z zupełnie pokrewnego mi środowiska, z tej samej później klasy gimnazjalnej i nie tak bardzo odmiennych dalszych życia kolei.

Chłopiec to był niezmiernie sympatyczny, ładniutki, błękitnooki, pogodny, wrażliwy ponad pozory zewnętrzne i wszystkim chętnie ustępujący miejsca. Nietyle przez swą skromność, ile raczej z dobroci — prostej, wrodzonej. Nie pamiętam, by komu sam wyrządził przykrość, lub też, dotknięty jakąś brutalnością cudzą, reagował tą samą niewybredną bronią. Widziałem go nieraz w chwili podobnej; wyrządzano mu krzywdę, umyślnie chciano sprowokować, pozbawić równowagi. Chłopiec ów

wtedy milczał. Poważniał tylko i skupiał się w sobie, oczy zmieniały wyraz — widać było, że przeżywa chwilę wyczekiwania, a potem cichym krokiem odchodził.

Zwano go za to mazgajem. Ale nawet wtedy już czułem, że przezwisko to jest niesłuszne. W jego wzroku nie było małoduszności. Nie było tam też pogardy, ani zdławionego gniewu. Było coś z skurczu czułka, dotkniętego czymś chropowatym. Było zdziwienie, że kogoś stać na brzydotę, a w ustapieniu z pola — pragnienie ocalenia jakiegoś osobistego piękna, zachowanego w duszy.

Ta czułość estetyczna w innych okolicznościach występowała jeszcze wyraziściej.

Nie wiem do dzisiaj, czemu właściwie nigdyśmy obaj nie zbliżyli się do siebie trwale, czemu mogłem wówczas umotywować przed sobą swą rezerwę. Coś mnie powstrzymywało. Rówieśnik mój nie miał nic w sobie odpychającego — był przemiły. I nie trzymał się na uboczu. Gdy komuś ufał, garnał się doń najszczerzej. Zapewne, — trudno go może było nazwać otwartym, ale i to jest pewne, że miał najlepsze po temu chęci. Poprostu tęsknił za jakimś serdecznym wylaniem.

Zawsze atoli miałem wrażenie, że jest w nim coś niezrozumiałego. Jakiś odmienny świat, z którego sam sprawy sobie nie zdawał. I było w tem coś tak obcego nam wszystkim, że chłopiec najniezasłużeniej był zawsze dziwnie samotny. A przecie nie wydawał się być smut-

nym. Umiał sam sobie wystarczyć i żyć z samym sobą.

Może był nieco marzycielski, może gdzieś w głębi karmił się cichym entuzjazmem — nie umiałem tego odgadnąć. W każdym razie i później, w wieku zupełnie dojrzałym, ta pewna zagadkowość przetrwała w nim, a odległość stosunków z ludźmi, o ile wiem, nie stała się mniejsza.

Potem na szereg lat straciłem go z oczu. Nic o nim nie mówiono, zwolna więc i ja sam zagubiłem w pamięci odczucie tej egzystencji.

Spotkaliśmy się jednakże. Rówieśnik mój, a raczej my obadwaj, dobiegaliśmy już czterdziestki. W ludnym hotelu nad jakimś brzegiem lazurowym, w ucieczce przed deszczową oczyszta jesienią, oddany boskim trudom czczego próżnowania...

— Generałowu, spełniasz czyn niecny. Co czynisz?

Grabowska drgnęła, jakby zbudzona ze snu i odwróciła się przestraszona.

— Ach, Łęski! Nawet nie wiesz, jak strasznie się wylekłam.

— Co czynisz, o nieszczęsna? — żartował poeta.

— Jakto, co czynię? Czekam na ciebie i czytając z nudów te niewyraźne bazgroty.

— Kobieto! I nawet śladu rumieńca niema na twojej twarzy. Popelniasz przestępstwo i nie tracisz wcale zimnej krwi.

— Cóż za przestępstwo? — Przecież to nie cudzy list, tylko powieść.

— O, święta profanów naiwności! Dowiedz-że się, że odczytanie tuzina bodaj najbardziej kompromitujących listów jest niczem w porównaniu z tem, coś uczyniła.

— Cóż takiego?

— Naruszyłaś pieczęcie nieukończonych pracy literackiej, a więc dopuściłaś się prawie zbrodni. Przebaczam ci jednak, bo jesteś z tych, którzy nie wiedzą, co czynią.

— Nie pleć, mój drogi. A jeżeli mi chcesz zrobić przysługę, to się z powrotem ubieraj. Mamy bardzo mało czasu.

— Widzę, że kładziesz na mnie jakiś areszt, droga generałowu.

— Zupełnie trafnie to powiedziałeś. Aresztuję cię i jedziemy razem do Janki.

— Do baronowej? O tej porze? W jakim celu?

— Nudny jesteś. Także pytanie! Jesteś jej dawnym znajomym i możesz ją odwiedzać bez zaproszeń i szczególnych okazji. Dziś zresztą nie będziemy u niej wcale z wizytą, bo we trójkę jedziemy zaraz na Pragę.

— Wyrażasz się, droga pani Henrjeto, dość tajemniczo.

— Niema w tem nic tajemniczego. Udajemy się z Janką do ochronki, którą ona utrzymuje, a ty masz nam towarzyszyć. W ochronce święcą jakąś tam uroczystość i Janka, jako protektorka, musi być przy tem obecna.

— Bardzo lubię, generałowu, twą miłą arbitralność, ale mam wątpliwości. Czy jesteś pewna, że towarzystwo moje jest pożądane? Czy to nie twój własny pomysł?

— Mój pomysł? — oburzyła się Grabowska. — Doprawdy, zbyt górne poczynasz mieć o sobie pojęcie i przeceniasz moją życzliwość. Niezaługo będziesz podejrzawać, że jestem w tobie zakochana. Zabieram cię na życzenie Janki i koniec. Powiem ci nawet, że jest zdziwiona brakiem pamięci z twej strony.

— Pochlebia mi to bardzo, — bąknął zmieszany. — Nie sądziłem...

— O, wiem dobrze, co masz na myśli. Wogóle twoje sądy poczynają od dłuższego czasu szwankować. Jeśli chodzi o Janke, to niema nic naturalniejszego, że umie cenić towarzystwo ludzi z kulturą, i że nuży ją na dłuższy dystans otoczenie próżnych światowców.

— Droga przyjaciółko, obawiam się, że projekt ten będzie trudny do urzeczywistnienia. Mam dzisiaj gości.

— Gości masz po szóstej, więc czasu jest aż nadto. Proszę cię, idź i ubieraj się. Dość się już naczekałam.

Łęski, nie oponując już, znikł za drzwiami sypialni.

— Broni się, a ochoty ukryć nawet nie umie! — szepnęła Grabowska.

— Powiedz mi, kochana generałowo, — pytał, siadając z nią do dorożki, Łęski, — co słychać u baronowej. W jakim jest usposobieniu?

— W żadnym. Wciąż jednakowa. Obowiązki towarzyskie i dobroczynność pochłaniają jej czas w zupełności.

— A ów pan... Gintułd? Bywa?

— Bywa.

— No i cóż?

— Mógłbyś mi go nie przypominać. Wiesz, że go nie znoszę i że to moja bolączka.

— U baronowej jednak jest, zdaje się, dobrze widziany?

— Nie wiem. Nie pytałam jej o to. Czy nie masz przypadkiem miłszego tematu do rozmowy?

— Postaram się. Nie powinszowałam ci jeszcze, generałowo, nowej godności. Mówią szeroko, że zostałaś obywatelką ziemską.

— Tak. Kupiłam sobie bardzo ładny majątek.

— Podobno od baronowej? — dorzucił niepewnym głosem Łęski.

— Od Janki. I wyobraź sobie, że nie zapłaciłam ani grosza.

— Co w tem tkwi, czy można wiedzieć, pani Henrjeto?

— Przyobiecaj mi choćby nagrodę Nobla, a i tak nie powiem ci więcej nad to, że nic nie wiem.

— Jakto?

— Janka chce z moich rąk sprzedać majątek komu innemu.

— Więc sprawa zupełnie jasna. Jest to niewątpliwie zawiła, ale dobrze pomyślana operacja finansowa. Nie sądziłem, że baronowa...

— Mylisz się. Niema w tem nic z interesu. Janka chce ten majątek oddać komuś prawie za darmo, ale w jakim celu — nie rozumiem.

— W takim razie, to kaprys?

— Albo kaprys, albo jakaś jej tajemnica.

Oboje umilkli. Łęski zauważył, że Grabowska

mówi o tem niechętnie i nie poruszał więcej tej kwestji, aczkolwiek zaintrygowała go silnie.

— Proszę cię, Łeski, — ocknęła się z zamyślenia stara, — zamierzasz więc konieczne tego domniemanego samobójcę uczynić bohaterem powieści?

— Tak jest. Pracuję nad tem już czas dłuższy.

— Właśnie czytałam początek. Przyznaję, że twój „chłopiec“ zyskał trochę mojej przychylności. W bardzo sympatycznych barwach go tam naszkicowałeś. Tylko, mój drogi, ponieważ to tylko powieść, mógłbyś mu oszczędzić smutnego końca. Wprowadź go w jakieś pomyślne warunki, wylecz z samotniczych skłonności...

— I w końcu ożeń z jaką przystojną i bogatą panną. Nieprawdaż? — uśmiechnął się dobroduszenie.

— Czemużby nie? Byłoby to najlepsze zakończenie. Jeżeli o tem nie wiesz, to powiem ci, że te wszystkie historie z tragicznem rozwiązaniem już się ludziom przejadły. To już nie w modzie. Zwłaszcza teraz, po wojnie, kiedy wszyscy własnymi oczyma patrzyli na tyle okropności.

— Pomyślę nad tem, droga generałowo. Byłeś tylko chciała wytrwać w roli mej Beatrice.

Dorożka skręciła tymczasem w bok i za chwilę stanęła u podjazdu przed pałacikiem baronowej. Powóz jej czekał przed domem i w kilka minut później wszyscy troje ruszyli w stronę kolumny Zygmunta.

Mrok już zapadł. Na ulicach rozbłysły szeregi latarni elektrycznych, zajaśniały wystawy sklepowe Nowego Świata, rojnego zawsze tłumem, w któ-

rym dawny szyk mieszał się z powojenną biedotą wydziedziczonych. Przedewszystkiem rzucały się w oczy mundury licznej braci wojskowej, postawy dziarskie, zamaszyste, pełne młodości i życia. Tu i owdzie z nad gmachów powiewał dumny sztandar, gdzieś widać było dawno na murach tych nieogładane godło. Czuć było falę nowego życia, wartki nurt, splukujący pleśń poniżenia i wiekowej kleski.

Janka i Łeski, niedawni jeszcze przybysze, patrzyli na ten obraz z równem zajęciem. Z pod apatycznie spuszczonej powiek baronowej przedierał się chwilami jakiś błysk, spojrzenie ożywiało skrå, choć milczała. Łeski, który prawie nie spuszczał z niej oka, zauważył te drgnienia i wewnętrzne odruchy.

— Zdaje się, że do nas obojga ulica ta mówi wciąż bardzo wiele?...

— O, tak, — ocknęła się baronowa. — I wie pan, jakie mam dziwne wrażenie? Że śnię. Patrzę, poruszam się, żyje i zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co mię otacza, ale się jeszcze nie zbudziłam. Brak mi w tem wszystkim poczucia konkretnej, dotykanej rzeczywistości.

— Tak. Dla nas wszystkich — to jakby jeszcze wizja.

— W to się poprostu do dzisiaj nie wierzy, choć..

— Choć teraz rozstać się z tem byłoby pewno ponad ludzkie siły.

Baronowa zastanowiła się.

— Wie pan, że ta refleksja nie przyszła mi na myśl, choć jest ogromnie słuszna.

— Sądzi pani?

— O, tak! Gdyby nie to, wydaje mi się, trudno byłoby żyć.

Grabowska mimowoli spojrzała na poetę, a spotkawszy jego wzrok, spuściła zaraz oczy. Janka zaś, ulegając własnej myśli, mówiła dalej:

— Jakże to jednak dziwne. Są rzeczy, napozór zupełnie abstrakcyjne, a jednak umieją nas dla życia zjednać i przekonać. Może to tylko ciekawość, lub atawizm egzaltacji kilku pokoleń, a przecież, zdaje mi się, że gdyby nawet nic z osobistego szczęścia nie zostało, możnaby serce tem jednym uczuciem wypełnić i uleczyć.

Grabowska poruszyła się niespokojnie.

— Mówisz, jak mniszka. Stara jestem, a nigdy nie martwię się, czem mam sobie serce wypełnić. W twoim zaś wieku problemat taki nawet dla mnie nie istniał.

— Jakże to? — uśmiechnęła się blado Janka.

— Jak? Całkiem zwyczajnie. W sprawach sercowych miałam zawsze „embaras de richesse“ i mam wrażenie, że od czasów mojej młodości nic się tak dalece w życiu kobiet nie zmieniło. Przybyły tylko te wasze nastroje, któremi sobie świat przystrajacie według chęci. Raz jesteście za szczęśliwe, a kiedyndziej za tragiczne, bo takie są ramki nastroju. A to wszystko nie ma nic z rzeczywistością i życiem wspólnego.

Inbornowa nie miała snadź ochoty do dyskusji w tej sprawie, uśmiechnęła się bowiem i zwróciła żartem do Łęskiego.

— Dostało nam się, panie Stefanie. Prawda?

— Tak. Generalowa przygania nam nastrojami, a sama daje zły przykład. Zauważyła pani zapewne, że przyjaciółka nasza jest od dłuższego czasu w nieszczególnem usposobieniu.

— Mam swoje kłopoty.

— Ej, czy to nie reforma rolna trapi cię tak, generalowo? — spytał z poważną miną poeta.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Powóz tymczasem przedostał się na Pragę, w dzielnicę ubogą, zabudowaną bezładnie, z wyboistym brukiem i zamarzłymi kałużami błota.

— Wiecie, moi państwo, że tu niebardzo przyjemnie! — szepnęła w mufkę Grabowska.

— Co to właściwie za dzielnica? Nigdy tu nie byłem.

— To jest tak zwana Szmulowizna. Widzi pan tę ciemną masę tam na prawo?

— Owszem. Jakiś monumentalny gmach.

— To jest budujący się kościół Serca Jezusowego. Ma to być w niedalekiej przyszłości najpiękniejsza w Warszawie świątynia. Warto ją nawet dziś zwiedzić. Cudzoziemcy ją podziwiają, a my zupełnie nie znamy. Na serjo, nigdy tu pan nie zabłądził?

— Doprawdy, jestem tu, jak w obcym mieście. Nigdybym nie przypuścił, że Praga jest tak rozległa.

— Ja zaś od pewnego czasu bywam tu dość często i wcale nie znajduję, by tu miało być nieprzyjemnie. Na lewym brzegu mamy dzielnice o wiele

przykrzejsze. Zaraz przejedziemy pod wiaduktem. Tam już będzie Targówek i moja ochronka.

— Ależ to strasznie daleko? — niepokoili się generałowa.

— Istotnie, daleko. Tu jednak znaleźliśmy odpowiednie siedlisko i na to się zdecydowałam, tembardziej, że tu chodzi o dzieci. Jest duży ogród, obszerny dom, a przede wszystkim powietrze.

— Jak widzę, dobroczynność zabiera pani dość dużo czasu? — pytał zaciekawiony Łęski.

— Bardzo niewiele, panie Stefanie. To tylko w łaskawych oczach naszej kochanej generałowej. Nędzę, o ile mogę, ratuję, ale się jej nie poświęcam.

Nie była jednak szczera, bo w ochronce okazało się, że jest tu gościem częstym i z dzieciarnią na stopie serdecznej zażyłości. Uroczystość, o której dość niejasno tłumaczyła generałowej, była w rzeczywistości wigilią św. Mikołaja, z racji czego należało odbyć tajemnicze jakieś narady z panią kierowniczką i wyładować z powozu mnóstwo równie tajemniczych paczek i zawiniątek.

W najobszerniejszej salce ochronki dzieciaki czekały już od godziny na przyjazd opiekunki. Chłopców gromadka była nieliczna. Około dziesięciu krótko ostrzyżonych głów, wszyscy poniżej wieku szkolnego, w niebieskich perkalowych fartuszkach stali w oddzielnej grupce, patrząc z pod oka na gwarne obóz płci słabszej, z którym stykali się tylko w szczególnych okolicznościach. Dziewczynek zato było z górą trzydzieści. Starszych — do lat trzynastu w ochronce wychowywało się zaledwie kilka. Przeważał drobiazg, od maleńkich, może trzyletnich kruszynek.

Były to dzieci uchodźców, pozbierane po różnych szlakach polskiej martyrologii; dzieci rodziców nieznanych, zaginionych, pomordowanych nie-ludzko w czerezwyczajce, dzieci wszelkich sfer, zgarnięte jednym strychnulcem wojny i sieroctwa. Młodsze pogubiły po drodze nawet nazwiska, pozapominały imion, nie pamiętały własnych matek.

Te były najszcześniejsze.

Starsze zachowały wspomnienia. Wspomnienia — zmory, lęk rzucające do oczu i smutkiem gorzkim mrozące kwiat beztroskiego dzieciństwa.

Odwiedziny kochanej opiekunki były dla drobiazgu tego dniem prawdziwego święta. Znała je wszystkie, pamiętała z imienia, wypytywała o małe powszednie troski, dla każdego znalazła właściwe słowo pociechy lub zachęty, a nawet drobną, długo pamiętaną pieszczotę.

Generałowa, która tu była po raz pierwszy, spoglądała na Jankę ze zdumieniem. Z tej strony nie знаła jej zupełnie. Tyle w niej było szczerego przejęcia się tą gromadką, taka serdeczna w każdym ruchu troskliwość, że nikt w tej chwili nie poznałby w tej kobiecie dumnej baronowej Inborn, depcącej bez skrupułu męskie serca i nieczulej na hołdy wielbicieli.

Po konferencji z kierowniczką, na której ustalono, pod czyją poduszeczką ma się znaleźć nad ranem każda zabawka wraz z odpowiednią porcją łakoci, Janka wmieszała się w ów drobny tłumek, który otoczył ją zaraz ze wszystkich stron, czepiając się sukni i wyciągając rączeta. Gawęda, gwarna

i nawet krzykliwa, trwała przeszło pół godziny. Wreszcie dzieciaki pod wodzą dwu ochroniarek zaprezentowały jakiś chóralny śpiew, po którym Jan-ka ze swemi gośćmi poczęła żegnać kierowniczkę i pracujące panie.

Była już we drzwiach, prowadzących do sieni, gdy uczuła, że ktoś z dzieci ciągnie ją ztyłu za suknię. Mała, trzyletnia może dziecina z płową główką i szeroko rozwartemi oczyma uczepliła się fałdów okrycia i spoglądała z ogromną pretensją.

— Pani! — zasepiło maleństwo i dwie małe rączki podniosły się do góry.

— Ach, to ty, maleńka. No, widzisz, zapomnieli o tobie. Chodźże, Zosieńko, daj buziaka!

Podniosła małą do góry i utuliła z troskliwością. Dziewuszką z zadowoleniem zawisła w ramionach baronowej i rączkami „ukochała“ ją mocno za szyję.

— Kocha Zosieńka, kocha? — pytała serdecznie Jan-ka.

— Kocha. Pani... dobra! — odpowiedziało maleństwo i drobne rączki mocniej jeszcze zacisnęły się na szyi baronowej.

I miała chwila ta jakieś dziwne uczuć tajemnicę, bo oczy Janki przymknęły się, jakby cały świat przestał dla niej istnieć, a dziecko w tym serdecznym uścisku czuło tyle ciepła i dobroci, że aż podniosło przytuloną do jej piersi główkę i spoglądało, jak zbudzone ze snu.

— Mama? — szepnęło zdziwione.

— Nie, dziecinko, nie mama.

— Nie mama! — potwórzyła smutnie dzie-

wuszką i, wtuliwszy ponownie główkę w jej ramiona, zapłakała cicho i żałośnie.

— — — — —
W powrotnej drodze Łęski pożegnał panie wcześniej, spiesząc do domu, gdzie oczekiwał gości, generałowa zaś, mając do omówienia pewne sprawy intymne, pojechała z Jan-ką do pałacu.

Baronowa przeszła na chwilę do buduaru, a Grabowska rozsiadła się w gabinecie i paliła papierosa. Tkwiły jej w myśli niedawne wrażenia. Z wizyty w ochronce wyniosła przekonanie, że Jan-ka byłaby naprawdę idealną matką i podświadomie odczuwa tę niepokonaną tęsknotę za macierzyństwem, które jest osią życia kobiety.

Z zamyślenia zbudziło ją wejście przyjaciółki. Trzymała w ręku świeżo otrzymany list i na twarzy jej malowało się żywe zadowolenie.

— Otrzymałam miłą wiadomość, droga generałowo.

— Tak? Któż to do ciebie pisze?

— List jest od Zochy Malewskiej. Pamiętasz ją?

— Doskonale. To ta pianistka. Byłyście z sobą w przyjaźni jeszcze za twych panińskich czasów.

— Zocha jest moją koleżanką z pensji. Ogromnie dobra dziewczyna i dużo miłych wspomnień jej zawdzięczam, ucieszyłam się też niesłychanie wiadomością, że zamierza zamieszkać w Warszawie.

— A wiesz, że to nowina bardzo pomyślna. Zawsze byłam tego zdania, że brak ci prawdziwej przyjaciółki, którą dla kobiety może być tylko rówieśnica, a przytem istota szczerą i dobrą. Gdzież to obecnie bawi panna Malewska?

— Piszę dziś do mnie ze Szwajcarii. Koncertowała ostatnio w Lugano. Swoje tournee powojenne rozpoczęła od Wiednia. Była później w Pradze, w kilku wielkich miastach na południu Francji, a teraz przez Szwajcarię jedzie do Włoch. Na wiosnę wybiera się do Paryża i Brukseli, a od lata osiadzie tutaj. I wyobraź sobie, że, o ile poprzednio życie jej szło po grudzie, o tyle teraz odnosi sukces za sukcesem. Dzienniki francuskie i wiedeńskie piszą o niej prawie z entuzjazmem.

— To tak już zwykle bywa. Zwłaszcza u nas.

— Nie umiem ci powiedzieć, jak mię ten powrót Zochy cieszy.

— No, ale to nastąpi, jak mówisz, nieprędko.

— Za parę miesięcy, raczej za kilka. Myślę jednak, że uda mi się Zochę namówić do wcześniejszego powrotu. Na Wielkanoc musi tu już być. Ona sama myśli o tem zupełnie serjo, bo prosi mię nawet o wynajęcie dla niej kilkupokojowego mieszkania. To dowód, że jej się już nieźle powodzi.

— Z mieszkaniem będziesz miała, kochanko, kłopot. W Warszawie robi się coraz ciśniej.

— To też ani przez chwilę nie traktuję poważnie tego nedorzecznego projektu Zochy. Zamieszka u mnie i za nic jej od siebie nie puszcze.

— Bardzo rozsądnie postąpisz. Masz tak obszerną rezydencję i taka tu u ciebie pustka, że na twem miejscu bałabym się wprost zostać tu samej.

— O bojaźń — mniejsza. Na ten luksus nie mogę sobie pozwolić. Jestem sama przecież od tylu lat. Z Zochą jednak będzie mi naprawdę przyjemnie.

Na chwilę zamilkły. Generałowa przeżuwała jakąś myśl i przyglądała się ożywionej Jance.

— Zdaje się, że miałaś mi coś do powiedzenia, kochana pani Henrjeto.

— Tak moja droga. Chciałam ci powiedzieć, że był u mnie dziś pan Zdzitowiecki.

Żywe rumieńce, jakie przed chwilą wykwitły na policzkach baronowej, nagle znikły. Twarz jej stała się blada, jak kreda, a dłonie kurczowo uchwyciły za poręcz krzesła.

— Który? — wyjaśniła napół przytomnie.

— Jaki? — który? Słyszałam tylko o jednym. Dzierżawca z Rokicin.

— Ach, tak! — odetchnęła z ulgą Inbornowa. — Jakaż ja jestem niemądra. Zupełnie zapomniałam o całej tej sprawie.

— Właśnie o niej chciałam z tobą pomówić. Musisz mi dać jakieś dyspozycje, bo ja przecież nie mam najmniejszego pojęcia, o czem i jak mam z nim mówić.

— A co on właściwie od ciebie chciał? — starała się zebrać myśli.

— Rzeczy zupełnie prostej. Chciał mi się przedewszystkiem, jako nowej właścicielce, przedstawić, a następnie poznać moje intencje i zamiary. Nie zapominaj, że za trzy tygodnie upływa termin kontraktu, który jest wszak podstawą jego egzystencji. Nie można się więc dziwić, że go to nietylko interesuje, ale i trapi.

— Ale go pewno uspokoiłaś, droga generałowo?

— Właśnie, że nie. Nie znam szczegółów twego planu, więc mu się wymykałam, jak mogłam. Zre-

szta, wszelka symulacja ma swoje granice i na jutro już mi dowcipu nie starczy.

— Zaraz, droga moja, pozwól mi zebrać myśli. Czuje się nieco rozstrojona. Mówisz więc, że ma być u ciebie raz jeszcze?

— Jutro w południe.

— To dobrze. Przyjmij go możliwie najuprzejmiej. Jakie na tobie sprawił wrażenie?

— Bardzo sympatyczny staruszek. Zanikający typ starej, ale dobrej daty.

— Postaraj się więc wzbudzić w nim na tyle zaufania, by odjechał bez złych przeczuc.

— Nie, moja Janko. Temu staruszkowi trzeba powiedzieć coś naprawdę jasnego. Już dziś wyraźnie o to nalegał.

— Powiedz mu tedy, że naradzisz się z adwokatem, który da mu odpowiedź w ciągu tygodnia. Ja zaś porozumiem się przez ten czas z panem Rudzińskim i ten przedstawi mu w twoim imieniu szczegółowe warunki kupna.

Baronowa umilkła, ale nie podnosiła oczu. Chciała, zdaje się, o coś pytać i coś ją wstrzymywało.

— Czy... czy ów pan Zdzitowiecki bardzo postarzał? — spytała wreszcie cicho.

— Dobra sobie jesteś. Przecież ja jego nigdy przedtem nie widziałam. Owszem, to człowiek stary i, zdaje się, niezbyt już silny.

— Sądysz, że nie wie o naszej zażyłości? Nie podejrzewa nic?

— Jestem tego pewna.

— Czy nie wspominał ci o swoich stosunkach rodzinnych?

— Nie. Czy cię one obchodzą?

— O tyle, o ile. Radabym jednak wiedzieć, co się dzieje z jego córkami i z... synem. Znałam ich jeszcze dziećmi.

— Zdaje się, że to nie będzie trudne. Staruszek jest gadatliwy. Utnę z nim jutro pogawędkę i wszystko mi wyśpiewa.

— Tylko, pani Henrieto, — spuściła znów oczy Janka, — o mnie ani słowa.

— Tego mi nie potrzebujesz powtarzać.

— Spytaj go mimochodem, co porabia jego syn... Władysław. Możesz powiedzieć, że o nim dawniej słyszałaś. Sprawi mu to napewno przyjemność. Przed pięciu laty syn jego był profesorem uniwersytetu w Krakowie. Staruszek jest napewno z syna dumny i chętnie się jego powodzeniem pochwali.

— Czy ten jego syn to... młody człowiek? — spytała Grabowska, przyczem wzrok jej spoczął na twarzy baronowej w sposób wyjątkowo badawczy.

— Ależ naturalnie! — odparła. — Przecież ojciec nie jest jeszcze takim starcem.

— Pewno jeszcze kawaler? — indagowała dalej stara.

— O, nie. Żonaty i jest ojcem conajmniej dwojga dzieci, — powiedziała z pewnem lekceważeniem baronowa.

Panowała już nad sobą w zupełności.

— Zdziwiłaś mię dziś, kochanko, w tej ochronce. Nie wiedziałam, że tak lubisz dzieci.

Na twarzy Janki nie było już poprzedniego zmieszania, ale padł na nią teraz jakby cień.

— Cóż może być piękniejszego i bardziej kochanego na świecie? — rzekła z powagą. — To jedyne istoty szczerze i proste. A ty, czy ich nie kochasz, przyjaciółko?

— Własnych nie miałam, — odpowiedziała z pewnem zakłopotaniem Grabowska, — a do cudzych nie mogłam się jakoś przywiązać.

— I nie miałaś, droga moja, nigdy odczucia jakby pewnej krzywdy, jaką ci los wyrządził?

Stara spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Krzywdy? Dlaczego?

— Daruj mi, pani Henrjeto, jeśli ci się pytanie to wyda dziwnem lub może niedyskretnem, ale skorośmy już ten temat poruszyły, chcę wiedzieć, co o tem myślisz. Mnie zagadnienie to bardzo interesuje. Mam wrażenie, że dla kobiety jest ono jednym z ważniejszych w życiu.

— Widzisz, kochanie, — odparła z widocznem zaambarasowaniem staruszka, — poruszyłaś tu kwestję, o której w moim wieku mówić trudno. To takie odległe już sprawy. A przytem, jak wiesz dobrze, uważano mię zawsze za istotę tak mało kobiecą. Byłam energiczna, samodzielna, nigdy się po babsku nie roztkliwiałam, więc może... łatwiej mi się było z tem pogodzić.

— W każdym razie przyznasz, że jednak weszła tu w grę pewna rezygnacja.

— Niewątpliwie. Przyznam ci się, że był nawet czas, kiedy się wprost buntowałam. Była w tem mieszanina wielu różnorodnych uczuć, a najwięcej żalu i upokorzenia. Z czasem atoli... do wszystkiego człowiek przywyka.

W pokoju zapanowało znów milczenie i nastrój prawie przykry. Grabowska posmutniała, baronowa zaś oparta o poręcz jej fotela, schyliła twarz nad jej siwą głową i prawie szeptem, jakby chciała powierzyć jej jakąś tajemnicę, poczęła mówić:

— Szczęśliwa jesteś, przyjaciółko. Mogłaś pogodzić się z tem i zapomnieć, bo... boś nic nie zawiła. To nie upokorzenie i nie żal. To... jedna z klątw życia i bodaj, czy nie najstraszniejsza. Tembardziej, że...

— Że co, Janko?

— Że zasłużona.

Obie skłoniły głowy. Staruszka uczuła przenikający ją lęk. Zdało jej się, że ów powiew tragizmu, o którym mówiła Łeskiemu, dotknął jej zoranego czoła i uczyniło jej się strasznie żal Janki. Zrozumiała, że nawet jej samotna starość, ubóstwo i opuszczenie — maleją jej i bledną i że losu swego nie zamieniłaby na majątek i piękność tej kobiety, która nawet zapłakać nie umiała.

U drzwi ozwało się pukanie i do gabinetu wszedł lokaj.

— Co tam?

— Przyjechał książę pan... Czy jaśnie pani przyjmuje?

— Prosić! — rozkazała baronowa.

Grabowska wstała i poczęła ją bardzo pospiesznie żegnać.

VI.

Łeski, rozstawszy się z swemi gośćmi, siedział pochmurny i zamyślony. Niezadowolony był sam z siebie i nie umiał się pozbyć przygnębienia.

Przed chwilą odmówił kilku poważnym ludziom współpracy w jednym ze stronnictw politycznych. Odmowa ta, sama w sobie, byłaby rzeczą zrozumiałą, gdyby przekonał ludzi tych nie podzielał, lub przynajmniej do współdziałania z nimi nie czuł się powołany.

Było jednak całkiem przeciwnie. Nietylko zasady i cele odpowiadały mu w zupełności, ale zdawał sobie też sprawę z spoczywającego na nim obowiązku działania. Rozsądek mówił mu, że powinien był to uczynić. A jednak odmówił. Wiedział, że będzie sobą pogardzać, ale nie umiał pokonać dziwnej apatii i zniechęcenia, jakie ogarniało go dzień za dniem coraz przemożniej. Przez pewien czas usiłował w siebie wmówić, że cofnął się pod wpływem awersji, jaką odczuwa w zetknięciu z wszelkiem partyjniactwem.

Ale powiedział sobie odrazu, że jest to marne

kłamstwo. Więcej prawdy jest w tem, że czuje się moralnie rozbity i do niczego niezdolny. Nie umie już niczego chcieć i o niczem myśleć.

O niczem — po za Janką.

Jaki cel — jaki sens ma to błędne koło?

Kocha ją. Prawda. Ale miłość bez żadnych dalekich choćby perspektyw osobistych nie powinna mieć w sobie tej wszystko przesłaniającej podniety. Dręczy go wielka troska — zagadnienie jej szczęścia. Ale troska ta nie ma dlań w sobie żadnej siły twórczej, żywiącej. Jest całkowicie bezpłodna. Bo rozwiązanie zagadki nie zmieni w niczem tego znaku zapytania, jaki postawił nad własną egzystencją.

Jeżeli Janka zdobędzie sobie szczęście — da mu to wiele zadowolenia. Czy jednak zdoła wypełnić niem pustkę życia? Przypuśćmy. Co jednak będzie, gdy przekona się, że jest inaczej, że szczęście Janki jest bezpowrotnie stracone?

Łeski nie wiedział. Gorzej: lękał się o tem myśleć. Czuł tylko jedno, że ta kobieta tak mu się wżarła w całe jestestwo, iż z myślą o niej nie rozstaje się już ani na chwile. Że stał się myśli tej niewolnikiem, bezwolnem jakimś narzędziem. Że nie może ani pracować, ani tworzyć.

Nawet o swoim „błędym chłopcu“ myślał teraz z niechęcią.

Bo i kimże on był w gruncie rzeczy? Czy postacią oryginalną, zdolną pobudzić jego energię twórczą, zainteresować zmysł estetyczny? Poprzednie wrażenie poety rozwiało się. Zostało tylko politowanie i może — odrobina współczucia. Jego „chłopiec“, ze swoją tak mozolnie zdobytą, a tak kruchą przecie filozofją, był tylko zwykłym schył-

kowcem. Może nad miarę przeciętności, ale to postaci rzeczy nie zmienia. Był dzieckiem wieku — niczem więcej.

Ta ubożuchna duszyczka, strawiona sceptyzmem, rwała się może do jakiejś silnej wiary, ale brakło jej skrzydeł. Jej filozofja, jej entuzjastyczne porywy, nakształt płomiennych rakiet wykwitające nad płaszczyznami smutku — to tylko literatura. Papierowe egzaltacje — nic nadto. Zwarzony trudem pokolenia kwiat duszy nie mógł z nich czerpać soków życia.

Więc, choć naiwnie wierzył w szczerość swego „credo“, wystarczyło jednego ciosu, a cały ten kruchy gmach runął, grzebiąc swego budowniczego. Jedno prawdziwe, silne uczucie, jeden zawód, jeden ból szczery i głęboki — a zbrakło wszelkiego oparcia i przyszła katastrofa.

Cała ta wiara w dobro, w triumf sprawiedliwości, w „własnego“ Boga — nie dała mu nic, bo nie tkwiła w duszy. To, co poczytywał za wymowę serca, było tylko mózgową emanacją.

Gdybyż ten duch miał skrzydła!

Łęski pomyślał, że w takim razie pamiętnik chłopca nie znalazłby się nigdy w jego rękach i treść jego byłaby zgoła odmienna. Najprawdopodobniej zaś nie byłoby go wcale. Autor wyładowałby swą energję niechybnie w czemś bardziej celowym. Stanałby w szrankach pokolenia czynu, staćby go było na jakiś lot ku słońcu, wielkie wypadki stworzyłyby zeń może bohatera. Byłby z tych, których dusze nie łamią się, ale hartują.

Bo serce „chłopca“ było jednak szlachetne. Wychowała go słabość, ale marzył o potędze.

Karmiono go zwątpieniem — ale chciał wierzyć. Zapatrzonego w szarzyznę — szukał piękna.

O, czemuż się urodził w tym posępnym wieku, czemu należał do tych, co, odchodząc, zostawiają po sobie jedynie gorycz lub niepamięć?

Był w tej refleksji Łęskiego żal, ale było i drgnienie nieświadomej jeszcze rozpacz.

Instynktownie unikał zestawień. Lękał się odnajdywania w sobie cech podobnych, bo czuł, że zaprowadziłoby go to zadaleko.

Nie myśleć! Tęsknota do zupełnej myślowej aberacji nachodziła go coraz częściej. Ale pragnieniu temu nie umiał czynić zadość. Wtedy uciekał z domu. Błąkał się długo w noc, w zasadzie bez celu, kroki jednak same zdawały się go prowadzić gdzieś w ciemne opustoszałe aleje, opisując coraz ciaśniej sze kręgi dokoła pałacyku Janki.

Stawał wreszcie opodal, ukryty w gęstwie bezlistnych drzew i patrzył w okna. I miało to wpływ dziwnie kojący. Rozgoryczenia jedno po drugim zapadały się w głęb, nikły w mroku, a w piersi rozlewało się uczucie ciepła i tkliwości.

Oto tam, na piętrze, te dwa ostatnie okna... Buduar Janki. Jeszcze czuwa. W przesycone wilgotną mgłą powietrze cieką dwie strugi światła. Na tle spotniałych szyb rysuje się jakaś sylwetka.

To — ona! Ona — zawsze sama, w tych wielkich, odludnych, przerażająco cichych pokojach. O czem wciąż myśli? Skąd czerpie siły? Na jak długo starczy jej tej niewyczerpanej napozór energii?

Bo Łęski zdawał sobie sprawę, że tak, jak jest, zbyt długo być nie może. W życiu kobiety tej musi

się coś przełamać, wyjaśnić i rozstrzygnąć. Ta egzystencja, którą prowadzi obecnie — zdąża do mety.

Przekonała go o tem zwłaszcza dzisiejsza wycieczka na Pragę. Janka ukazała mu się dziś w zupełnie innem świetle. Odkrycie to napełniało go i lękiem i radością zarazem. Lękiem, bo spostrzegł, że Janka odczuwa pustkę i jałowość swego życia, a więc nie jest szczęśliwa. Radością, — bo odnalazł w niej duszę. Duszę, w której zbudziły się już porywy.

Dokąd ją one zaniosą?

— — — — —
A w piersi baronowej porywy te zmagaly się z sobą coraz boleśniej. Już nie walczyła z nimi: była ich pastwą.

Targały sercem jej, jak igraszka, szarpały siecią rezedrganych nerwów, uczyniły z niej jakąś zamkniętą w matni bezbroną zwierzyne.

Były godziny, że wiła się w męce. Barkami jej wstrząsał konwulsyjny spazm, dumną głowę zginało ku ziemi obłąkanie. Trawiła ją histerja.

Wzgardzone moce, ujarzmione pragnienia, potęgi zapoznane a głodne — stawały teraz noc w noc u jej łoża i mściły się okrutnie.

Trwało to już od kilku lat. Na cierpienia jej patrzył pełnem bólu spojrzeniem zmarły mąż i odgadywał ich przyczynę. Ale nie pytał. Czuł, że część winy była i jego udziałem. Był niewątpliwie winowajcą mimowolnym. Zaślubiając Janke, miał przekonać, że spełnia czyn altruistyczny. Rzeczywistość odtwarla mu oczy, gdy było już zapóźno.

Przekonanie o popełnionej omyłce stało się dla Inborna ciosem, który go złamał. Starzec kochał ją, jak najtkliwszy ojciec i pragnał jej szczęścia. Życie dowiodło mu, że był jedną z przyczyn, które szczęście to uczyniły złudnym mirażem, stracając Janke w otchłań niewypowiedzianego cierpienia.

Innych przyczyn nie znał. Domyślał się, że przeszłość panny Brzeskiej kryje w sobie jakąś zagadkę ale tajemnicę tę uważał za jej wyłączną nietykalną własność i nie chciał jej dociekać.

Zmiana, jaką spostrzegł w usposobieniu żony, datowała się od owego fatalnego wieczora w teatrze San Carlo w Neapolu. Baronowa była wówczas mimowolnym świadkiem rozmowy o pierwszych wypadkach wojennych w Polsce. Zarysowały się one w opowieści tej w barwach tak brutalnie jaskrawych, że wrażenie musiało być silne.

Dla baronowej wieczór ten był atoli punktem zwrotnym życia. Sponiewierane przez nią samą, z lekkomyślnością dziecka zdeptane uczucie — przyszło upomnieć się o swoje prawa.

Było już jednak... zapóźno. Życie, którego praw nie chciała znać Janka Brzeska, odpowiedziało baronowej Inborn — policzkiem.

Rzeczywistość przypomniła jej, że wszystkie mosty są już oddawna spalone i że niema drogi powrotu.

I, jak dla tem dotkliwszej ironji, nigdy natura nie przypominała jej tak boleśnie, że jest kobietą. Nigdy pragnienie miłości, szału, upoięń i oddania się — nie było w niej tak dotykalmem, nie wołało tak głośno i płomiennie.

Zdzitowiecki był już może w pamięci jej obrazem pół abstrakcyjnym. Nie widziała go przecie od tylu lat. Niemniej, postać jego stała się w sferze jej pragnień czemś nakształt symbolu, ucieleśniającego wszystko, co było ideałem jej spragnionego miłości serca i obudzonej krwi.

I szła odtąd przez życie nieodstępnie ze swą tragedją i było jej coraz ciężej.

O cierpieniach jej, prócz zmarłego męża, nie wiedział nikt. Głowę swą niosła zawsze dumnie ponad tłum, wzrok miała zimny, twarz jak w kamieniu wykuta, — ale w duszy pytała coraz częściej, na jak długo starczy jej jeszcze sił. I co będzie później?

— — — — —

Ciężki niespokojny sen skleił powieki baronowej dopiero przed świtem. Ale i we śnie nie opuszczały jej dręczące myśli i widziadła.

Była w Dębnie... Koło niej — Władek. I majaczyło jej się, że cały ten dziesięcioletni okres życia jej wymazany jest z kolei wypadków i... nic się nie zmieniło.

Władek jest przy niej. Kocha go bardziej, niż kiedykolwiek, bo, rzecz szczególna, Janka rozumie, że stracić Władka byłoby czemś nad jej siły. Patrzy mu w oczy. W te oczy dumne, szare o stalowym połysku, oczy błyszczące rozkośnaniem i takie wierne, oddane...

Idą jakąś bezkresną równiną o zachodzie, patrzą w wieczorną zorzę purpurową i tak im jest dziwnie dobrze. Dokoła taki spokój, cisza, pogoda. I tak pogodnie w sercach... tak ufnie...

Władek jest przy niej. Uświadamia sobie tę wielką, wszystko ogarniającą prawdę i w piersi czuje taką radość, że leciałaby gdzieś na skrzydłach, przypadała do tych niw zbożnych i ukwieconych — całować każde źdźbło, pieścić, śpiewać i płaszać.

Skłania głowę na jego piersi, tuli się do oplatających ją ramion, czuje ciepło i miękkość tkliwą pocałunków.

Ale zagnała uścisk ten krzepnie, ramiona oplatają ją coraz silniej, duszą i dławią, a usta czyjeś wpijają się w jej kark żarłocznie... Janke ogarnia lęk. Krzyk zamiera na zbiegających wargach, więc chwytą go kurczowo za przeguby dłoni, patrzy w jego twarz, woła:

— Władku!

Lecz Władka niema już przy niej. To — nie on. Te oczy nieprzytomne, pijane namiętnością, cyniczne i zuchwałe nie są jej obce.

Marzenie niknie, rozprasza się. Mrok padł na pola, blask zórz mętnieje oparem chłodnych mgieł. Zostaje tylko... Gintułd. Nawet jej, Janki, — niema już. Jest tylko... baronowa Inborn — ktoś obcy, daleki i nieznany.

Z boku jeno, opodal gdzieś stoi smutny milczący stary pan Zdzitowiecki. Nie mówi do niej nic. Ale w wzroku jego tyle jest bólu i goryczy, jakby chciał rzec:

— Janko, Janko! Czemuś tak bardzo skrzywdziła mi syna?

— — — — —

Z męczącego snu baronowa zbudziła się dość późno. Głowa ciężyla jej ołowiem, w członkach był bezwład i nieczułość.

Kazała rozsunać żaluzje okien i zapatrzyła się w padający za oknami śnieg.

Białe płaty leciały cicho, jednostajnie z jakąś nieodgadnioną melancholią i beznadziejnością. Atmosfera przygnębienia i śmierci zdawała się przytłaczać i dusić cały świat.

Baronowa patrzyła wciąż bez ruchu i bez myśli. Miała nawet odczucie pewnej błogości spływającego na nią otępienia.

Garderobiana stała u drzwi i nie spuszczała z niej oka. Kilkakrotnie już starała się zwrócić na siebie uwagę pani, ale Janka wpatrzona była wciąż wzrokiem bezmyślnie szklanym w okno.

— Proszę jaśnie pani...

— Ach to ty... — ocknęła się baronowa. — Możesz odejść!

— Czy jaśnie pani rozkaże podać śniadanie?

— Jeszcze nie. Zostaw mię.

Służąca wyszła. Po chwili jednak uchyliła drzwi i spytała:

— Czy pani baronowa czasem nie chora?

Janka zmarszczyła brwi.

— Nie troszcz się o mnie. Gdy będę cię potrzebowała, zadzwonię.

Po wyjściu garderobianej ujęła rękoma za skronie i starała się zebrać myśli.

Jest już późno. Musi wstać. Życie musi iść swoją koleją. Cierpienia jej są i muszą pozostać dla otoczenia tajemnicą. Natarczywie ciekawy wzrok służącej obudził jej dumę. Baronowa wstrząsnęła się obrzydzeniem. Być pośmiewiskiem gawiedzi, doznawać litościwie obłudnych objawów ludzkiego współczucia, — przenigdy!

Chwyciła gwałtownie za dzwonek.

— Każ podać śniadanie i pomóż mi się ubrać!

Apatja pierzchła już. Janka poruszała się znów z dawną energią, wydawała rozkazy, zbierała rozprężone siły.

— Jak mam dziś jaśnie panią uczesać?

— W węzeł, do amazonki. Czy kostjum odprasowany?

— Wszystko w porządku. Pani pojedzie na spacer?

— O jedenastej. Andrzej z Kormoranem niech czeka w Łazienkach przy pałacu myśliwickim. Stąd pojedę otwartym powozem.

— Czy, proszę pani, dzisiaj nie będzie za zimno? Jest sześć stopni mrozu.

— Nic nie szkodzi. Najlepsza pogoda do konnej jazdy.

— A drugie śniadanie jaśnie pani rozkaże na którą?

— O drugiej.

— Na ile osób?

Baronowa spojrzała ze zdziwieniem, a służąca zmieszała się.

— Myślałam, że może po spacerze będzie kto z gości.

— To się okaże. Tymczasem nie daję żadnej dyspozycji, — odparła niechętnie Janka.

Domyśliła się, że przyczyną tego pytania był Gintułd. Nie pierwszy już raz obserwowała, że książę w pojęciu służby i wielu osób z otoczenia uważany był za przyszłego pana jej domu. Podejrzenia te do pewnych granic bawiły ją; teraz jednak poczęły wprawiać w rozdrażnienie.

Swoją drogą, — zastanowiła się, — po co właściwie tak często przyjmuje Gintułda, który ubiega się o jej rękę? Dlaczego dotąd jeszcze nie dała mu stanowczej odprawy? Przecież go chyba nie kocha. Ależ, naturalnie! Ona i Gintułd? Co za myśl! Chociaż...

Baronowa wolałaby się samej sobie do tego nie przyznawać, czuje jednak, że Gintułd na nią... działa. W towarzystwie jego, w rzadkich chwilach rozmowy sam na sam, jest podniecona i traci panowanie... Nie może zaprzeczyć, że książę jest mężczyzną wyjątkowo pięknym i że piękność ta drażni jej zmysły.

— — — — —
W godzinę później baronowa, stojąc przed lustrem, robiła przegląd ukończonych już toalety. Obcisła amazonka uwydatniała przepyszenie jej pełne harmonii kształty, a cały strój do konnej jazdy nadawał postaci jej sprężystość i lekkość linii.

Węzeł bujnych, miedzianozłotych włosów opadał na białą szyję. Interesująca bladość policzków i podkrążone oczy podnosiły jeszcze blask tej niezwykłej urody.

Przez wargi baronowej przewinał się uśmiech zadowolenia. Była przecież kobietą. A widok własnej piękności jest dla kobiety eliksirem życia.

Wciąż uśmiechnięta z szpicrutą w dłoni otworzyła drzwi do salonu.

— Dzień dobry, książę! — zawołała z werwą. — Musisz wybaczyć, że kazałam ci tak długo czekać. Zaraz pojedziemy.

Gintułd zbliżył się i, ujawnszy jej drobną rączkę, złożył na niej przeciągły pocałunek. Oczy ich spotkały się. Wzrok księcia wyrażał zachwyt i udane,

czy rzeczywiste rozmarzenie. W jej oczach igrały jakieś zagadkowe światelka. Dłoni swej jednak nie cofnęła.

— Książę, może mi raczysz odpowiedzieć na powitanie? — rzuciła z żartobliwą kokieterją.

— Jest pani dziś tak piękna, tak nleziemsko piękna, że zapomniałem o wszystkim. Nie jestem w możliwości mówić. Mogę tylko patrzeć i... ubóstwiać cię.

— A tymczasem lady Letycja powie nam coś o polskiej niepunktualności. Jedźmy już, panie! — odpowiedziała z uśmiechem. — Co do hrabiny, jestem o nią spokojna. Spóźni się napewno.

— Będzie więc i hrabina La Montana?

— Specjalnie ją o to wczoraj prosiłam. Co prawda, nie trzeba było na to zużywać wielu argumentów. Ambasadorowa lubi ruch, no i... flirt.

— Flirt? Z kim?

— Dla sportu ze wszystkimi. Pana zresztą wyróżnia pod tym względem, zdaje się, już od dawna.

— Baronowo, jak możesz?...

— No, niema o czym mówić. Nie jestem wcale zazdrosna, a przytem nie mam do tego prawa.

— Zależy to tylko od pani.

— Powtarzasz się, książę, Strzeż się! Jednostajność — to nuda. A nuda — to pospolitość!

— Milczę więc. Będę odtąd prosił tylko oczyma.

— Na to pozwalam. Tylko proszę, nie patrz mi pan w oczy tak zbliżona, bo mnie to... detonuje.

Rozweselona już naprawdę, zbiegła ze schodów do hallu.

VII.

U podjazdu czekał otwarty powóz. Wskoczyła doń lekko, przyczem Gintułd z galanterją podał jej dłoń i troskliwie pledem otulił stopy i kolana. Czynił to bardzo długo i dokładnie, ale Janka nie miała jakoś ochoty protestować. Owszem, miała nawet wrażenie, że jej to sprawia niejaką przyjemność.

Wreszcie księciu podano wierzchowca i powóz baronowej potoczył się rażno po skrzypiącym pokładzie śniegu w aleje.

Gintułd jechał tuż obok.

Baronowa zamieniała z nim od czasu do czasu kilka urywanych słów, niekiedy oddawała z wdziękiem ukłon komuś z rzeszy spacerowiczów i mknęli tak w to mroźne rozsloneczone południe, oboje z uśmiechami na ustach, jak para ludzi szczęśliwych i zakochanych. Gintułd zwłaszcza promieniał. Zdolał pochwycić niejedno spojrzenie zazdrości i podziwu. Warszawa ogląda go u boku tej „niezwycięzonej“ i niewątpliwie dostrzega wyróżnienie, jakie było jego udziałem.

Był z tego dumny. Dumny tem więcej, że czuł się już naprawdę panem sytuacji. Jego małżeństwo z piękną baronową było wszak kwestją czasu. Czy czas ów będzie okresem krótkim, lub dłuższym, zależęć będzie tylko od niego. Miał pod tym względem już pewną rutynę i duże doświadczenie, oparte na znajomości kobiet i umiejętnem operowaniu przewagą mężczyzny.

Baronową zaś tak ożywiło i samo towarzystwo księcia i słońce i słodczy zapomnienia o udrękach nocy, że nie myślała o niczem. Odrzucała pośpiesznie wszelką myśl, mającą posmak refleksji, chwytając tylko wrażenia.

Wrażenia były pogodne, jasne, niefrasobliwe, więc lgnęła w ich atmosferze z lubością. Czuła przytem, że doskonale wygląda, że wszyscy patrzą na nią z podziwem i przejmowało ją to dawno nieodczuwanem zadowoleniem. A w pierwszym rzędzie rada była z tego, co czytała w oczach Gintułda.

Że mu się podoba, wiedziała już oddawna. Niemniej, było jej przyjemnie, że dziś podoba mu się więcej, niż kiedykolwiek.

Wierzchowiec księcia na chwilę wyprzedził jej powóz. Mimowoli zmierzyla wzrokiem zgrabną sylwetkę towarzysza i przymrużyła oczy. Musiała przyznać, że Gintułd wygląda na koniu wyjątkowo spreżyście i zgrabnie. Ubiór do konnej jazdy doskonale uwydatnia jego postać męską, zarysowaną silnie w barach i harmonijną w całości.

Jakaś myśl nieartykułowana przebiegła jej przez główkę, rumieniec stał się żywszy i rzesy opadły jeszcze niżej.

Zjeżdżali już w dół Agrykola, gdy wyminęła ich hałaśliwie wspaniała limuzyna, w której nagle zatrzepotały się wśród okrzyków dwie obciążone rękawiczkami dłonie, zachwiały potrząśnięte pióra damskiego kapelusza i zaszczekał, jak opętany, biały szpic.

— Depechez vous, chere baronne!

— Ach to hrabina La Montana. Zawsze ta sama! — rzuciła z uśmiechem Janka.

— Brak jeszcze lady Letycji i będziemy w komplecie.

— Lady Letycja jest już z pewnością pod pałacem. Słynie z punktualności, chociaż się nią nie chełpi.

Przy pałacyku myśliwskim zastali już istotnie obie damy, stojące przy swych wierzchowcach. Stajenny baronowej czekał również, trzymając cugle Kormorana.

— Będziemy mieli bajeczny, niezrównany spacer! — entuzjazmowała się Włoszka. — Regardez, jak wspaniale wyglądają te drzewa w śniegu. Jak najwspalniejsza dekoracja w teatrze!

— Ależ, hrabino, jak można? — oburzyła się Janka. — Nie ubliżaj naturze.

— Przeciwnie. To wygląda na najpiękniejszą baśń na scenie.

— Nie, chere comtesse! — uśmiechnęła się spokojnie lady Letycja. — Mylisz się. To są poprostu wspaniałe drzewa w śniegu w mroźny słoneczny dzień. Widok zwykły, ale ma tyle uroku, że najpiękniejsza nawet dekoracja rywalizować z nim nie może.

— Na obronę hrabiny należy zauważyć, że w swej słonecznej ojczyźnie mogła oglądać śnieg przeważnie tylko na dekoracji scenicznej, — skłonił się dwornie Gintułd.

Hrabina wybuchnęła serdecznym śmiechem i podała mu obie dłonie do ucałowania.

— Przypomnił mi pan w porę, że jesteśmy w Polsce, gdzie nie tylko śnieg pada, ale nie ginie również tradycja obrońców kobiety. Pasuję pana na dziś na swego rycerza. Będzie mi pan towarzyszył, bo jeźdźce, jak dyletantka.

— Ciekawa rzecz, w czym ona nie jest dyletantką? — przemknęło Jance przez myśl i nagle, niewiadomo czemu, hrabina La Montana wydała jej się prawie niesympatyczną.

Skarciła się jednak corychlej, spostrzegając, że dopuszcza się grubej niesprawiedliwości, której motywów wołała się nie doszukiwać. Zresztą Gintułd zupełnie nie brał do serca swej nowej rycerskiej godności i Włoszka, po paru próbach utrzymania go przy swym boku, dość prędko dała za wygraną.

Dzień był istotnie precudny. Obfity śnieg, który padał przez noc całą, ściśnięty teraz mrozem, zginał ciężką okrywą gałęzie drzew, skrzypiąc razno pod kopytami wierzchowców i skrząc się rozbłyskami wszelkich barw tęczy w słońcu. Zarumienione z zimna twarze amazonek miały wyraz świeżości, pogody i zdrowia. Lady Letycja zwłaszcza w swej północnej urodzie z błękitnymi oczyma i puszystymi splotami jasnozłocistych włosów, na których perlił się teraz strącony z drzew puch śnieżny, wyglądała dziwnie dziewczęco i słodko.

Na tle zimowego krajobrazu przypominała jakąś modrooką skandynawską księżniczkę o bladym smętnym uśmiechu.

Nawet draśnięta wiekiem i rozegzaltowana hrabina zdawała się być młodszą i prostsza.

Zostawiwszy po prawej stronie pałac królewski, skreśli szybko w aleję do konnej jazdy, puszczając konie wskok. Wiatr zaświszczał im w uszach, muskając twarze ostrem swem, ale rzeźwiącem tchnieniem i pędzili tak wyciągniętego kłusa przez kilka minut. Janka była jeźdźcem wytrawnym, lady Letycja trzymała się w siodle według wszelkich prawideł szkoły, hrabina tylko kurczowo, a chwilami z przestachem w oczach unosiła się wciąż w strzemionach, zdzierając raz wraz klacz swą cugłami. Tem niemniej była jazdą zachwycona, a nawet, gdy zwolnili biegu, poczęła triumfować.

— A co, wcale tak źle nie jeżdżę?

— No, jakoś obyło się bez wypadku! — żartował Gintułd.

— Wcale się na żaden wypadek nie zanosz. Może się książę zupełnie mną nie opiekować. Zwalniam pana.

— Dokąd teraz pojedziemy? — zwróciła się baronowa do pań, gdy zatrzymano się na zakręcie.

— Ja sądzę, że wrócimy tą samą drogą, — proponowała lady Letycja.

— Jakto? Już mamy wracać? — zawołała ze zgrozą Włoszka.

— Bynajmniej. Sądzę tylko, że spacer w alei tej jest bardzo miły i najzupełniej bezpieczny, bo droga równa, bez zakrętów i zdala od strumienia.

— A cóż nam mogą szkodzić zakręty lub rzeczka?

— Nam — nic, ale pani, hrabino, jesteś, jak sama twierdzisz, dyletantka, więc należy unikać okazji do wypadku.

Hrabina wzruszyła ramionami zniecierpliwiona.

— Panuję nad tą wierzchówką w zupełności. Zresztą, jest bardzo łagodna.

— Zatem, jedźmy.

— Pojedziemy do końca alei, prawda? Tam jest tak cudownie! U końca parku przez kraty widok roztacza się na taką śliczną dzielnicę — ma się wrażenie jakiejś głuchej prowincji. Nawet kościółek zupełnie, jak wiejski, — entuzjazmowała się zapalczywa amazonka. — Wrócić zaś możemy aleją koło oranżerii. Nie cierpię wracać tą samą drogą. Psuje mi to zawsze cały humor.

Ruszono.

Baronowa spięła Kormorana ostrogami i wysunęła się naprzód. Gintułd pospieszył za nią. Towarzyski ich zostały w krótko daleko poza nimi.

Hrabina przyznała się teraz lady Letycji, że woli wyścigów nie urządzać, bo ma wrażenie, że jej się rozluźnił popręg, a przytem lewa noga ustawicznie wypada ze strzemienia.

Gintułd tymczasem raz po raz musiał przyspieszać biegu, gdyż baronowa oddalała się coraz bardziej. Kormoran, spinany wciąż ostrogami, mknął, jak strzała. Wreszcie na skrócie błysnęła w słońcu jego połyskująca sierć i rozległy się głuche ostre uderzenia podków o przemarzłe belkowania mostu. Naraz Gintułd wydał krótki okrzyk przerażenia i pochy-

liwszy się gwałtownie na siodle, popędził naprzód. Z trwogą zauważył, że koń Janki, spłoszony najwidoczniej echowym odgłosem próżni, rzucił się w bok i poniósł.

Za chwilę na szerokim błonię mignęła mu przed oczyma sylwetka Janki, unoszonej w szalonym galopie. Był pewien, że lada chwila ujrzy ją spadającą z oszalałego wierzchowca i mimowoli powieki przymykał bezradnie, czując swą kompletną bezsilność.

Baronowa jednak nie straciła ani na chwilę równowagi. Ściągnęła jeno silnie cugle, pochyliła się na szyję wystraszonego rumaka i łagodnie, ale nakazująco jęła go uspokajać. Za chwilę zapanowała już nad zwierzęciem całkowicie i, zanim Gintułd zdołał pospieszyć z pomocą, zawróciła na drogę i galopowała z zimną krwią dalej.

— Na miłość Bożą, niech pani się zatrzyma! — rzucił jej Gintułd nad uchem, dopędzając.

— Dlaczego? Przepadam za taką jazdą.

— Ależ ten koń wciąż ponosi.

— Już nie ponosi.

— Pani! Janko! Lada chwila pani spaść może. Jak można się porywać na taką jazdę?

— Ja się niczego nie boję, książę.

— Nawet mnie?

— Nawet pana.

Gintułd obejrzał się raptownie. Byli zupełnie sami. Towarzyszek ich nie przebyły jeszcze ani połowy drogi drugiego etapu spaceru. Jego i Janke otaczał teraz gąszcz drzew.

Błyskawicznie zatoczył koniem i wsparłszy się

o bok Kormorana, ramieniem otoczył mocno jej kibić. Pałające jego wargi przywarły do ust baronowej i poczęły je miażdżyć z namiętną gwałtownością.

— Ty, ty, szalona! Wspaniała! — szeptał półprzytomnie.

Janka, oszołomiona tem, co się stało, straciła na chwilę świadomość czasu i miejsca. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Jakaś mgła przesłoniła jej oczy, dreszcz upojenia przejął wszystkie nerwy, przez jedno mgnienie poczuła we krwi coś, jakby płomień.

— Dość, książę, dość! — szepnęła cicho.

I gdy Gintułd rozluźnił nieco moc krepujących ją uścisków, smagnęła konia szpicrutą i popędziła, jak nieprzytomna, przed siebie.

Kiedy hrabina La Montana z lady Letycją dotarły do ostatniego załamu alei, ujrzały w oddaleniu Janke i księcia, jadących stępą ku nim naprzeciw.

— Jak sądzisz, droga lady? — nie wytrzymała hrabina. — Czy czasem tamci oboje nie wyglądają na zakochanych?

— W każdym razie ładna para, — odrzekła po namyśle ambasadorowa.

— Właściwie już oddawna bacznie im się przyglądam, ale nie umiem dociec. Ona jest taka zagadkowa, ta nasza kochana baronowa.

— Tak, to niezwykła kobieta.

— Bo, że on za nią szaleje, to jest widoczne.

— Tego nie wiem.

— Jakże to, lady? Powątpiewasz, że książę jest zakochany?

— Nie powątpiewam, ale nie wiem. Napewno wiem tylko jedno...

— Mianowicie?

— Że od niedawna jest... zrujnowany bez ratunku.

Włoszka podniosła oczy w bezmiernym zdziwieniu.

— Ach, tak! Sądysz więc, że...

— Że może to być dla niego bajeczna okazja zdźwignięcia się. Zresztą, możliwe, że jest, prócz tego, zakochany. Nie byłoby w tem nic dziwnego.

— O tak. Baronowa jest niepospolicie piękna.

— Jedno mię tylko zastanawia.

— Ciekawam?...

— Mówią powszechnie, że baronowa, poza swą urodą, jest też kobietą nieprzeciętnego umysłu...

Rozmowę przerwał odgłos kopyt zbliżających się wierzchowców.

Hrabina La Montana zmierzyła inkwizytorskim spojrzeniem twarze obojga nadjeżdżających. Z wyrazu Janki nie mogła nic wyczytać. Baronowa była mocno zarumieniona, zapewne od mrozu i szybkiej jazdy, ale też i poważniejsza, niż kiedykolwiek. Gintułd natomiast zastanowił hrabinę dziwnym rozpromienieniem i dumą, wyzierającą mu z oczu i wyjątkowo rozpogodzonego czoła.

Obie panie mimowiednie odgadły, że między temi dwójgiem musiało zajść coś ważnego. W przekonaniu tem utwierdziło je również dalsze zachowanie księcia, który, jakby umyślnie, asystował tym razem hrabinie, przykracał jej u siodła popręgi, bawił rozmową, flirtował nawet.

— Coś tam musiało być! — szeptała do siebie chytra Włoszka. — Widocznie sytuacja się już wyjaśniła. Są po słowie i teraz, rzecz oczywista, nie chcą prowadzić z sobą banalnej rozmowy, bo to psuje nastrój.

Powracano prostą, jak sierpem rzucił, aleją wzdłuż ogrodów Belwederu. Po prawej stronie drzemały uśpione pod zwałem śniegów pomarańczarnie, po lewej z nad strumyka roztaczał się imponujący widok na strome wzgórze Belwederu, uwieńczone pałacem, nad którym powiewała teraz w słońcu dwubarwna chorągiew.

Baronowa z lady Letycją jechały naprzód. Po za nimi rozlegał się raz po raz fajerwerkowy śmiech Włoszki, rozprawiającej z ożywieniem i gestykulacją z Gintułdem.

— Co za niepoprawny flirciarz! — myślała w duchu Janka.

Hrabina La Montana poczęła ją na nowo drażnić, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że tej rywalki może się nie obawiać. Swoją drogą nie o mieszką ukarać księcia. I z półśmiechem na ustach pograżyła się w obmyślanu najbardziej wyrafinowanej i zarazem najsłodszej „kary“, jaką Gintułd u jej stóp będzie musiał odcierpieć.

— Bądź co bądź, ta hrabina jest nieznośna, — uświadomiła sobie po raz wtóry.

I spojrzała na Gintułda serjo, prawie groźnie. Lecz w tejże chwili i on i Janka poczęli się śmiać, jakby się im obojgu udała żakowska jakaś psota.

Przez twarz hrabiny przebiegł cień gniewu. Przerwała w pół zdania rozpoczętą z Gintułdem

dysputę i uderzywszy konia szpicrutą, popędziła wskok.

— Co się stało hrabinie? — spytała z lekkim zdziwieniem lady Letycja.

— Nie wiem. Rozmawiała przed chwilą najspokojniej.

— Ależ ona gotowa spaść z siodła, — zaniepokoiła się Janka. — Uderza wciąż wierzchowca po bokach i klacz lada chwila przejdzie do galopu. Książę, pospiesz-że pan na pomoc.

— Dopędzimy ją wszyscy, — rzekł niechętnie. — Hrabina zwalnia już tempo. Mam wrażenie, iż niesłusznie obawiamy się katastrofy.

Nie dopędzili jej jednak, bo Włoszka cwałowała dalej, nie oglądając się i nie hamując wierzchowca, choć lewe strzemię, osierocone, obijało się już o bok koński i szpilki z nadwreżonej koafiury poczęły się sypać na śnieg. Wkrótce znikła im na zakręcie drogi.

Janka była na serjo niespokojna. Widocznie jednak jakiś duch opiekuńczy otoczył swem ramieniem porywczą amazonkę, bo podjeżdżając do pałacyku, gdzie czekały pojazdy, ujrzeni hrabinę, stojącą w grupce masztalerzy, całą i nienaruszoną. I, co ważniejsze, w złotym humorze.

— Dites donc! Jechałam en carriere i nic mi się nie stało. Merci bien! — roześmiała się serdecznie, odbierając z rąk księcia pogubione szpilki.

Zagniewania, obrazy — nie było już ani śladu. Była tak zachwycona samą sobą, że żadne z innych uczuć w tej atmosferze wewnętrznego zadowolenia ostać się nie mogło.

Pożegnawszy obie ambasadorowe, Janka wskoczyła do powozu i w towarzystwie księcia wracała ku domowi.

Przyszło jej na myśl, jaki przedziwny przewrót nastąpił w jej uczuciach i nastrojach. Jeszcze dziś rano czuła się istotą bezwolną, tragicznie smutną, opuszczoną i nikomu niepotrzebną. A oto w danej chwili czuje się prawie szczęśliwa. Patrzy na świat z pogodą, niemal z humorem i ma wrażenie, że w piersi jej budzi się młodość i życie.

Powóz zatoczył półkole i stanął przed pałacem. Gintułd zeskoczył z konia i podał jej obie dłonie. Wyskoczyła z uśmiechem, zarumieniona, jak podłotek.

Nie zapraszała go wcale. Wbiegli do hallu, Gintułd zrzucił okrycie i podał jej ramię. Oboje uważali za naturalne, że spędzą teraz wspólnie tete a tete parę intymnych godzin. Mieli, a w każdym razie powinni byli mieć sobie wiele do powiedzenia.

Zwłaszcza dziś.

— Antoine! Proszę wprowadzić pana do salonu. Wybacz, książę, muszę się przebrać.

Po drodze zajrzała do jadalni. Oczywiście, wbrew jej zleceniom, na przygotowanym do śniadania stole stały dwa nakrycia. Tym razem jednak brwi baronowej nie ściągnęły się zniecierpliwieniem. Owszem, uśmiech zagrał na jej wargach. Wydała kilka zleceń, wymieniła marki win, jakie należy podać i przeszła do buduaru.

Przebierała się, zrzucając suknie z pośpiechem na ręce panny służącej.

Promień słońca ukośnie wpadł przez okna

i ozłocił cały pokój. Baronowa stanęła przed lustrem i poczęła poprawiać uczesanie. Wyglądała uroczo. Szare tony zmęczenia znikły gdzieś bez śladu. Policzki okrywał rumieniec zdrowia, oczy świeciły, jak klejnoty.

— Jaśnie pani prześlicznie dziś wygląda. Taki spacer bardzo dobrze robi na zdrowie! — szeptała przymilnie garderobiana.

Za chwilę toaleta była już gotowa.

— Możesz odejść, — rzuciła Janka.

Została sama. Stała ciągle przed lustrem i uśmiechała się do siebie rozmarzona.

Jak ona go ukarze? Cha, cha! Ukarze go tym uśmiechem.

I w odbiciu oczy jej przybrały wyraz kusiciel-ski i zniewalający.

Stała tak długą chwilę, otoczona promienną falą marzeń, przeczuć rozkosznych i pokusy.

Garderobiana zapukała lekko i zatrzymała się we drzwiach zdumiona. Baronowa, stojąc przed lustrem, nuciła zcicha jakąś rozlewną piosenkę. Było to zjawisko tak niesłychane, że dziewczyna aż osłupiała.

— Czego chciałaś, Zuzanno? — spytała łagodnie Janka.

— Tu, proszę pani, jest list. Myślę, że pilny, bo to od pani generałowej, a pani generałowa dwa razy już dziś dzwoniła i teraz przysłała list przez posłańca.

— Dobrze, podaj mi tu. Choć można było już po śniadaniu.

Służąca wyszła.

Baronowa trzymała w rękach kopertę i spoglądała na nią w zamyśleniu. Co może od niej chcieć generałowa? Nie przypomina sobie, by ją o coś prosiła. Zresztą, dowie się później. Tam przecież czeka Gintułd. Czeka dość długo...

Janka wyciągnęła już dłoń, by złożyć list na stoliku i... zawahała się. Ten list nieprzeczytany będzie ją trochę intrygował. Woli dowiedzieć się od razu, o co chodzi pani Henrjecie.

Z rozdartej koperty wyjęła szybko arkusik papieru. List był krótki, kończył się już na pierwszej stronie.

Ale baronowa czytała go bardzo długo. Być może, że czytała kilka razy. Z twarzy jej, zarumienionej przed chwilą, krew zbiegła, wargi pobladły i zacisnęły się silnie. Z listem w ręku podeszła do okna, jakby w pokoju zabrakło nagle światła i tam czytała raz jeszcze:

„Był u mnie dziś, chere Jeanne, ów stary pan Zdzitowiecki. Zdaje się, że udało mi się natchnąć go otuchą co do spraw majątkowych. Ma czekać na wiadomości od mecenasa Rudzińskiego. W tem już Twoja rzecz, jak postąpisz.

Jak sobie życzyłaś, uciełam sobie z nim pogawędkę, nawet dość długą, o dawnych i mniej dawnych czasach, no i wybadałam chytrze o sprawy rodzinne. Córkę są w domu, dorosłe już pannice, ale zamąż wydać je trudno, bo nieposażne, a przytem położenie papy pod znakiem zapytania nikogo nie zachęca.

Z syna, zdaje się Władysława, jest istotnie bardzo dumny i sądzę, że nie bez racji. Podobno

ma wciąż sukcesy na polu nauki. Wydaje coraz nowsze prace i śleczy nad badaniami. W Krakowie już nie mieszka. Od dwu lat wykłada tutaj i stary się u niego za każdym razem lokuje.

Szczęście rodzinne młodemu Zdzitowieckiemu chyba niezbyt sprzyja, bo przed trzema laty stracił żonę, gruźliczkę i sam teraz musi myśleć o wychowaniu dwu sierotek. Od czasu do czasu pomaga mu w tem jedna z siostr, ale zmykają stąd, jak mogą, bo miasta żadna nie lubi i wychylenie nosa z Rokicin jest dla każdej tragedją“.

Baronowa przymyka oczy i czoło wspiera na zimnej taflí okna. Trwa tak długo. Nie myśli o niczem. Zapomniała o całym otoczeniu, o świecie, ludziach, wypadkach — o wszystkim.

Kiedy po długim odrętwieniu ocknęła się wreszcie, nie była to już ani dawna złamana życiem kobieta, ani rozbawiona przed chwilą amazonka.

List położyła spokojnie na konsoli, ujęła za klamkę drzwi, prowadzących do salonu i stanęła w progu.

Gintułd z wyrazem niegasnącej dumy i rozpromienienia postąpił ku niej kilka kroków i czekał. Nie zwrócił uwagi na dziwny, kamienny niemal spokój, jaki malował się w jej oczach.

Postąpiła spokojnie w jego stronę, oparła ciężko dłoń o marmurowy inkrustowany stoliczek i zimne, obce zupełnie spojrzenie utkwiała w jego twarzy.

— Monsieur Gintułd! — rzuciła zza ściśniętych warg. — Dzisiaj w Łazienkach pozwolił sobie pan na znieważenie kobiety. Licząc na to, że jestem bezbronna, że nie może się za mną ująć ojciec, brat, lub mąż, posunąłeś się pan poza granice, których nie przekracza nigdy żaden mężczyzna z honorem.

Żrenice księcia rozszerzało zwołna zdumienie. Zrazu był pewien, że to żart, ale głos baronowej miał akcenty twarde i tak zarazem prawdziwe, że uśmiech zastygł mu na wargach; więc słuchał tylko, uszom własnym nie wierząc.

— Jestem sama i, niestety, jestem tylko kobietą. Nie mogę sobie przeto wymierzyć innej satysfakcji nad tę, by pana więcej nigdzie nie spotykać. Spodziewam się, że od człowieka, noszącego pańskie nazwisko, mam prawo tego oczekiwać.

Gintułd zaczynał wreszcie pojmować. U stóp swych ujrzał z nagłą otwierającą się przepaść, w którą staczały się bezpowrotnie wszystkie jego marzenia i rachuby.

— Jeanne! — targnął się rozpaczliwie. — Ty żartujesz?!

Ale Janka była już u drzwi.

W oczach jego obok rozpacz zapalił się błysk wściekłości. Silnem ramieniem starał się pochwycić ją wpół. Ostatnim wysiłkiem rzucił jej w uszy namiętny zduszony szept:

— Janko! Tyś moja! Usta twe...

Baronowa odwróciła się gwałtownie. Niepohamowany gniew, pałający w jej oczach, uderzył go w twarz, jak policzkiem. Ręka jej odnalazła ukryty pod portjerą dzwonek.

Z głębi mieszkania do uszu ich doleciał krótki metaliczny dźwięk.

— Zmuszasz mię pan, bym się powtarzała, — rzekła z naciskiem. — Nie mam przy sobie ojca, brata, ani męża, ale mam jeszcze... służbę.

Do pokoju wszedł lokaj i stanął wyprostowany przy drzwiach.

— Jaśnie pani dzwoniła?

— Tak jest. Księżę... odjeżdża.

I spokojnie wyszła z salonu.

VIII.

Rankiem dnia następnego baronowa wcześniej zadzwoniła na służbę. Kazała podać powóz i zjadłszy naprędce śniadanie, wyjechała na miasto.

Po wczorajszej pogodzie dzień był mglisty, wilgoć działała przejmująco. Zanosilo się na odwilż.

W alejach minęła Łęskiego. Skłonił jej się z szuncunkiem, dziwnie blado uśmiechnięty i jakby smutny. Janka zauważyła, że poeta w ostatnich czasach schudł i zmizerniał. Rychło jednak straciła go z myśli. Uwagę jej zdawał się pochłaniać inny cel. Była podniecona, zdenerwowana, noc spędziła fatalnie. Na policzkach wykwitwały nienaturalne rumieńce, ruchy rąk były nerwowe i niespokojne.

Powóz z Krakowskiego Przedmieścia skręcił w Trebacką i zbliżał się do Placu Teatralnego.

— Jaśnie pani rozkaże pod Operę? — pytał woźnica.

— Nie. Pod ratusz.

Wysiadłszy z powozu, baronowa weszła pospiesznie w bramę, zamieniła parę wyrazów z którymś z woźnych i udała się do biura adresowego.

Zabawiła tam około dziesięciu minut i powróciła, zamykając po drodze torebkę.

— Pojedziemy do domu przez Marszałkowską. Prędko.

Na Marszałkowskiej jednak, gdy już minęli Wspólną, zmieniła zdanie i kazała zatrzymać konie.

— Odjedziesz do domu. Załatwię tu jeszcze kilka sprawunków i wrócę pieszo.

Woźnica skłonił się nisko i odjechał.

Teraz baronowa rozejrzała się wokół bacznie i weszła do pierwszego z brzegu sklepu z galanterią. Za chwilę wyszła stamtąd z twarzą okrytą w gęsty jedwabny woal, upięty na kapeluszu. Idąc w stronę Placu Zbawiciela, przystanęła na rogu, wyjęła z torebki notatkę i porównała z numeracją kamienic. Nie wahając się więcej, skreśliła na prawo w Hożą. Już poza Wielką zatrzymała się w bramie jednej z kamienic i zapukała do drzwi dozorca. Zadała mu kilka pytań krótkich, lakonicznych, treściwych, wcisnęła w dłoń zgiętego wpół draba pokaźny jakiś napiwek i, nie zatrzymując się dłużej, wyszła na ulicę.

Tu zwróciła uwagę na dom, położony naprzeciw i poddała go bacznej obserwacji. Była to budowla dość stara, z przed lat pięćdziesięciu, pomalowana przerażającą żółcią, w której krwawiły się tu i owdzie ceglaste opadłe z tynku plamy. U bramy było kilka szyldów, świadczących, że dom zamieszkany był przez klasę uboższą, rzemieślniczą, nienawykłą do nowoczesnego komfortu.

Skończywszy pobieżny ów przegląd, baronowa przeszła przez ulicę i znikła w bramie starego domu.

Przestronne, drewniane schody, pamiętające

snadź bardziej dostatnią przeszłość, o czem świadczyły okaleczone posążki i potłuczone witraże w oknach, zaprowadziły ją na drugie piętro. Rozejrzawszy się, zatrzymała wzrok na blaszanym sztyklu, przybitym na jednych drzwiach.

Na tabliczce olejną farbą wypisano: „Szwalnia Paryska“.

U drzwi tych baronowa nacisnęła dzwonek. Po długiej chwili oczekiwania uczyniła to powtórnie. Żadnej odpowiedzi. Zniecierpliwiona już, głośno zapukała we drzwi. Odpowiedziały jej ociężałe kroki i poprzez łańcuch ukazała się postać starszej jejmości, lat pod sześćdziesiąt, z pretensjonalną fryzurą i w bardzo brudnym szlafroku.

— Pani do szwalni? Pani pewno dzwoniła?

— Tak jest. Dwukrotnie.

— Franka! — rzuciła krzykliwie jejmość w głąb mieszkania. — Od czego ty tu jesteś? Czy nie mówiłam jeszcze we wtorek: przywieś kartkę. Proszę pani! — zwróciła się ku Jance. — Ten dzwonek jest popsuty już chyba sześć lat. Co się tych kartek nie nawywiesza, że nie dzwoni, ale to próżny trud. Dzieciaki z przeciwka zaraz zerwą. Co to za szubieniczniki, to nie ma pani pojęcia.

Baronowa uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Pani łaskawa ma pewno zamówienie? Proszę bardzo do środka. Tu u nas jeszcze nie posprzątane, skaranie Boże z tą służbą! A może coś gotowego z bielizny? Mam bardzo ładne rzeczy. Jedwabny batyst, jeszcze przedwojenny. Dziewczęta! — krzyknęła znów w stronę pracowni. — Prędko, krzesło dla klientki! Sprzątać ze stołu. Która tam mleko

rozlała? Ach psiakrew, flądry! Przepraszam panią. Ot, tu proszę, niech szanowna pani usiądzie. Będzie wygodnie. Z temi pracownikami, — podjęła tonem poufnym, — ostatnią można stracić cierpliwość. Człowiek się nawet kłąć nauczył.

Janka usiadła. Stara dama, nie kwapiąc się jakoś do przeprowadzania handlowych tranzakcji, puściła upusty swej wymowy. Widocznie wygląd klientki nastroił ją do zwierzeń.

— Tak, proszę pani łaskawej, nawet kłnąć. Bo my, proszę kochanej pani, my osoby z dobrego domu, nie mamy zwykle pojęcia, do czego może doprowadzić taki psi los, jak się na człowieka zawężmie. Bo muszę pani powiedzieć, człowiek się przecież w tej parszywej szwalni nie urodził. Przedtem.. przedtem to miałam pracownię kapeluszy na Złotej, ale to też cholerne zajęcie. Nie tak to było dawniej, droga pani. Człowiek się rodził prawie w karecie, w złożonych kolebkach się chował. Nie zawsze się było kupcową. Mój mąż nieboszczyk, at... czy to pani nie rozumie, dość powiedzieć: był radcą dworu. Na naszym ślubie niosło mi tren sześcioro dzieci. Jak cherubinki. I powiem pani kochanej — to całe szczęście, że pani do mnie trafiła, bo to nasze kupiectwo to przecież zgraja, — zniżyła głos, — wprost, mówiąc między nami, hołota.

Skrzywiła się z niesmakiem, zapieła szpilką rozwierający się szlafrok i odetchnawszy głębiej, prawiała w dalszym ciągu:

— A jak one mnie nienawidzą, te wszystkie moje konkurentki. Wie pani, to jest poprostu opera. Nie mogą tego znieść, że taka, jak ja, jak one mó-

wią: pani z pań — chleb im odbiera. Ale cóż robić, droga pani, cóż robić? My się rozumiemy. Osoby z towarzystwa zawsze się rozumieć umieją. Mój drogi mążus zostawił mi tak skromną emeryturę... Powiem pani, że w tem to była też jakaś malwersacja, bo on przecież był radcą dworu a na pogrzebie... — otarła łzy, — na pogrzebie niesiono przed karawanem aż sześć orderów na czerwonych pluszowych poduszkach. Na jednej do dziś sypia Lolus. To mój piesek. Kochane stworzenie, pamięta jeszcze nieboszczyka męża.

— Proszę pani, otóż w sprawie bielizny, — usiłowała się wypłatać baronowa.

— Właśnie, bielizny, — podchwyciła bynajmniej nie stropiona radczyni, — czy pani sądzi, że to łatwy kawałek chleba? Ale, przyznam się, wolę to już od magazynu kapeluszy. To była dla mnie istna Kalwarja. Tu mi przynajmniej taka szelma klientka, pomietło jakieś z suteryny, nic nie przy mierza i drabów z sobą nie przyprowadza. A w magazynie! Powiadam pani: żółć mi się żywcem co niedziela ulewała, tak mi się nazbierało z tygodnia. Przyjda, na przykład, takie dwie, albo trzy cholery, gachów z niemi także ze trzech i wybierają. Mówię pani kochanej, do służby bym tego dawniej nie przyjęła — i wybierają. Sześćdziesiąt kapeluszy taka szelma o łeb wysmotrucha i powiada, że niegustowne. A jak tłumaczę cholerze, że nie kapelusz, tylko pysk do niczego, to się jeszcze obraża. A jakże, śmie mi jeszcze powiedzieć impertynencję, moja pani. Mnie, osobie lepszego pochodzenia. Strasznie się czasy zmieniły, droga pani. Nie warto mówić poprostu. Ale to długo nie potrwa, o nie!

Niestety, aczkolwiek istotnie mówić było nie warto i mimo niejasnej zapowiedzi, że coś już długo nie potrwa, mówiło się i trwało to wszystko jeszcze bardzo długo.

Dopiero, gdy Janka odważyła się wstać, zdecydowana choćby zupełnie opuścić gadatliwą radczynię i udać się do sąsiadów z przeciwka, gdzie było mnóstwo szubieniczników, — dopiero wówczas zdezonizowana monarchini zreflektowała się nieco i powróciła do roli kupcowej.

Baronowa wyłożyła jej krótko, że do ochrony, którą się opiekuje, potrzeba jej kilka tuzinów białizny na różny wiek i kilkanaście kompletów perkalowych sukienek na gwiazdkę. Z obszernego pokoju, w którym siedziały, a który ongiś w lokalu tym musiał odgrywać rolę jadalni, radczyni zaprowadziła ją do równie przestronnej pracowni z oknami od ulicy. Tu z kilku szuflad jejmość dobyła sztuki perkalu i płócien, z których miały być wykonane ubranka i białizna.

Janka wybierała je z całą starannością, z niekórymi sztukami podchodziła do okna, dysponowała krój, ilość i podawała wiek swych pupilów.

Z kolei z całą solidarnością osoby z towarzysztwa wypytała radczynię o powodzenie pracowni, chwaliła dobre światło w lokalu, warunki higieniczne, a zwłaszcza obfitość powietrza w tych wielkich na starą modłę budowanych pokojach.

— O, tak, proszę kochanej pani, to jest jedna jedyna zaleta tego kąta, dlatego też tutaj mieszkam w tak marnym punkcie. Bo po za tem — to przecież rudera. A jak za to zdzierają, Boże miłosierny!

Ostatnią poduszkę wydarliby człowiekowi z pod głowy.

— Czyżby i dzisiaj?

— Właściwie dziś... raczej od paru lat, to tak, jakby się wcale nie płaciło. Całe szczęście. Ale przed wojną, co to było i co jeszcze będzie! Skóra cierpnie, gdy o tem pomyśle. Tutaj jest cztery pokoje, wszystkie takie duże, jak ten. Cała w tem dogodność. Jeden odnajmuje (czasy teraz takie okropnie ciężkie), w dwu mieszkam sama, a w czwartym jest pracownia i skład. Odnówiły się zdało, ale za co? Gospodarzowi o remoncie ani wspomnieć. Wogóle, wszystko się ma ku gorszemu. Ale to już długo nie potrwa. W tem cała pociecha. Mój Boże, człowiek dawiej sypiał w salonie, a dziś... lepiej nie mówić.

Ostatnie wyrazy kołatały do uszu baronowej już na schodach.

Na ulicy przystanęła i wyprostowała z wysiłkiem ramiona. Bolały ją wszystkie kości.

— Byłam, zdaje się, w maglu, — szepnęła do siebie z uśmiechem.

W rękę trzymała jeszcze kartę gadatliwej jejmości z adresem i „godnością“. Widniała na niej korona, pod nią dwa kolosalne herby i napis:

**z Klimeckich
Feliksa Rutkowska**

radczyni dworu
kawalerowa orderów
po owdowieniu: szwalnia paryska

Janka stłumiła poryw śmiechu i schowała bilecik skrzętnie do torebki.

Przed wieczorem baronowa Inborn siedziała w swym gabinecie pracy w oczekiwaniu na mecenasa Rudzińskiego, którego poleciła prosić telefonicznie dla załatwienia paru spraw pilnych. Stawił się, punktualny, jak zwykle, wymuskany, podczerniony i pachnący.

— Witam cię, mecenasie. Dziękuję, żeś na mnie łaskaw.

— Kłaniam się uniżenie pani baronowej. Cały do usług. Jakże szanowne zdróweczko?

— Zupełnie nieźle. A pan mecenas czerstwy i młody, jak zawsze.

— Czerstwy, łaskawa baronowo, tylko czerstwy. Gdzie mi tam do młodości. Fiut, — poleciała i nie wróci. Trzymam się jeszcze, dzięki Bogu, jako tako. Czem mogę służyć?

— Zbliżamy się, mecenasie, do epilogu naszego spisku. Sprzedamy teraz ten cudzy majątek i to jak najprędzej. Spodziewam się zresztą, że pani generałowa Grabowska nie będzie rościć do nas zbyt wielkich o to pretensji! — uśmiechnęła się filuternie.

— Już powiedziałem, że z pani baronowej jest istny Metternich. Doprawdy, nie wyobrażam sobie, coby to było, gdyby pani sądzono gdzieś na szerszym terenie odgrywać rolę męża stanu.

— Świat przewróciłby się do góry nogami. Nieprawdaż? Wracając jednak do rzeczy: na kiedy, mecenasie, możesz mi przygotować wszystkie potrzebne dokumenty?

— Zaraz po świętach. Trzeba to będzie zrobić przed Nowym Rokiem.

— Tak i ja myślę.

— Czy pani generałowa w tym czasie nie wyjeżdża?

— Nie. Święta spędzamy wspólnie. Jeżeliś łaskaw, mecenasie, zapraszam cię na wilję.

Rudziński rozpromieniał i zgiał się we dwoje.

— A więc cała sprawa niebawem się zakończy?

— Tak jest. Jeżeli pani baronowa sobie tego życzy, za dziesięć dni zamkniemy ostatnią klamrę w tej księdze.

— A teraz, proszę cię, mecenasie, zniżamy ton do półszepotu i zaczynamy mówić o rzeczach nielegalnych.

— Pani baronowa ma taką sprawę? — zdziwił się adwokat.

— Owszem. Muszę przeprowadzić transakcję, przez prawo zabronioną i ściganą bardzo surowo.

— Pani raczy żartować. Chyba, że chodzi tu o kupno walut zagranicznych.

— Dziękuję ci za nie, mecenasie. Moje kapitały są w bankach angielskich.

— Cóż to więc być może?

— Monsieur Rudziński! — zaczęła pompatycznie baronowa. — Muszę kupić mieszkanie. Mam nadzieję, że wskażesz mi hienę pośredniczącą.

— Ależ to nic groźnego! — rozpogodził się. — Jeżeli w grę wchodzi tylko odpowiedni ekwiwalent pieniężny, mieszkań jest bez liku. Mogę pani to nawet ułatwić, bo zetknięcie z podobnymi indywiduami nie należy do przyjemności.

— Przysługę pańską przyjmuję bardzo chętnie, ale uprzedzam, że sprawa jest nieco zawikłana.

— Dlaczego?

— Chodzi mi o lokal, który sobie upatrzyłam, a którego mieszkańcy nic jeszcze o moich zamiarach nie wiedzą.

— Hm! — mruknął mecenas. — Czy to ludzie zamożni?

— Przeciwnie.

— A więc pieniędzmi...

— Można będzie ich skusić. Takie jest i moje wrażenie.

— Lecz droga baronowo, to cię może bardzo drogo kosztować. Czy ten lokal ma jakieś specjalne zalety?

— Jest brudny, odrapany, bez elektryczności i w starej ruderze.

Brwi Rudzińskiego wykreśliły wymowny znak zapytania.

— Wstrzymaj się, mecenasie. Wyliczyłam ci dotąd same wady, ale są tam też i zalety. Przede wszystkim, mieszkanie to potrzebne mi jest dla przyjaciółki mej, pianistki, panny Zofii Malewskiej, osoby chorej trochę na płuca. W budowlach nowoczesnych mamy dziś nie pokoje, lecz klatki, a więc brak powietrza, brak światła, ciasnotę, no i taką cudowną akustyczność, że gdy kto ma katar w suterenie, na poddaszu wciąż powtarzają „na zdrowie“. W tej zaś mojej ruderze pokoje są obszerne, wysokie i bardzo dużo słońca.

— Może to i racja. Jakiż tedy adres tego gniazdka i kto tam mieszka?

— Zaraz ci służy dokumentem, który ci wiele wyjaśni. Mieszka ta... osobistość, — rzekła Janka, kładąc przed nim bilecik madame Rutkowskiej.

Rudziński ujął „dokument“ i przez okulary przestudjował najdokładniej. Pomarszczona twarz skurczyła mu się w długim wewnętrznym ataku śmiechu i oczy zaszyły łzami.

— Kiedy pani baronowa rozkaże zająć się tą „kawalerową orderów“?

— Mecenasie kochany — niezwłocznie. Za każdy dzień pośpiechu wyznacz jej premię. To będzie skuteczne. Tylko, radzę, weź pan do uszu bardzo dużo waty, albo najlepiej udawaj, że nie dosłyszysz, bo to niewiasta ogromnie wymowna.

— Mam przekonanie, że rozstaniemy się z nią bardzo prędko. Jestem tego tak pewien, że już za tydzień przyślę pani przedsiębiorcę do omówienia szczegółów koniecznego remontu.

Baronowa powstała i wyciągnęła doń rękę.

— Ma pan we mnie osobę, bardzo mu wdzięczną i oddaną.

IX.

Wigilię baronowa Inborn spędzała w ścisłym kółku.

Do stołu zasiadła z nią jedynie generałowa, mecenas Rudziński i Łęski, osobiście przez Jankę zaproszony.

Nastrój był pogodny, niefrasobliwy i prosty. Janka od szeregu dni miała najlepszy humor i roztaaczała na swych gości promieniowanie wyjątkowej jakiejś równowagi ducha i szczerości.

Rozmowa biegła potoczyście, przetykana iskrami humoru Janki i generałowej. Mecenas rozplywał się w grzecznościach, prawil stare szarmanckie dla dam komplementy i anegdoty, a nawet Łęski ożywił się i wypogodniał.

Dobrze już po północy przy księżycu i silnym przymrozku poeta odprowadzał utykającą nieco Grabowską.

— Za dużo wypilał wina, wiesz, smarkaczu?

— Żartujesz, przyjaciółko. Nie tak dawno pijałaś znacznie więcej.

— Kalumnje pleciesz. Trzymaj mię mocno, bo ślisko.

— Nie tak to łatwo, cherie. Zapominasz, że jesteś niewiastą w leciech i „w tuszy“.

— Zawsześ taki sam głupty! Wybacz, że prawie ci impertynencje, ale sam widziałeś, ile wypilałam wina. Ten szampan był doskonały. Lubiłam to dawniej, o! lubiłam.

— A teraz straciłaś przekonanie? — śmiał się Łęski.

— Przekonanie jest, tylko niema szampana. W tem rzecz, — skrzywiła się. — A wiesz, — podjęła po chwili z zadowoleniem, — że Janka wyglądała dzisiaj przemile. Od pewnego czasu poweselała znacznie.

— Może sukcesy sercowe?

— Właśnie, że się mylisz. Nic się temu nie dziwię, bo ty się zawsze tylko myliłeś.

— A ówże Gintułd?

— Ho, ho! Już za granicą.

— Jakto, wyjechał?

— Wyjechał.

— No, to jeszcze nic nie znaczy.

— Myślałam to i ja, choć wiadomość o jego wyjeździe pękła w tutejszem towarzystwie, jak bomba. Wszyscy byli już przekonani, że lada dzień Janka i on będą po słowie.

— Cokolwiek na to się zanosilo.

— A właśnie. I, o ile pamiętasz, wprawiało mię to w formalną pasję, tembardziej że Janka przybierała przedemną pozy tajemnicze i drażniła mię umyślnie. Tymczasem to — zuch-kobieta, wszystkich wywiodła w pole, a najbardziej Gintułda.

— Więc jednakże miał jakieś zamiary?

— Jeszczeby też?! Ale dostał po łapach. Pokazano mu, że baronowa Inborn nie dla takiego trutnia.

— Zaciekawiasz mię, generałowo. Skądże wiesz o tem? Z jakiego źródła?

— Z najlepszego, bo od samej Janki.

— Czy pytałaś ją o to?

— No, tak. Strasznie jesteś ciekawy. Naturalnie, że pytałam, bo mię to przecież obchodzi.

— Cóż na to baronowa?

— Powiedziała, że Gintułd deklarował niedawno o jej rękę i dostał stanowczą odprawę. Wkrótce też wyjechał, jak zmyty. Całe szczęście, że się tak stało, bo już się zaczynałam obawiać. I wyobraź sobie, co to za ptaszek! Teraz dopiero okazuje się, że on jest zupełnie zrujnowany i polował na baronowej majątek. Że mu się podobała, nie przeczę (ona się wszystkim podoba), ale osiłą całej historii był głównie interes. Prowadź-że mię, jak się należy, bo się znów poślizgnęłam.

— — — — —

Wiadomość o rekuzie, otrzymanej przez księcia Gintułda, wywołała w Łęskim, niewiedzieć czemu, bardzo głębokie zadowolenie. Może dlatego, że ideał, jakim była dlań ta kobieta, nie schodził przez to z piedestału w pospolitość, może... Dość, że odprowadziwszy generałową, wrócił do domu rozmarzony, jak uczeń, jak w owych czasach, gdy bujał wyobraźnią idealisty w sferze optymistycznej baśni i mrzonek kryształowych.

W domu, nie rozbierając się, bez światła, siadł

w półleżącej pozie na kozetce i patrzył w wyiskrzone mrozem gwiazdy, mrugające zza okien.

O sobie nie myślał. Marzenia jego snuły się dokoła Janki, pogodnej i szczęśliwej, poczem poczęły nieświadomie szerszą ramą obejmować dziedziny coraz rozleglejsze, ludzkość, świat, bezmiar...

Było mu dziwnie dobrze. Więc i myśli, do wtóru tej wewnętrznej harmonii, układały się prosto i promiennie, wygładzając szarżyzny życia, tocząc ku niepamięci dawne, niebaczenie wchłonięte w duszę przewartościowanie, czczość zamieniając porywem, nieczułość wiarą...

Myśl nawykniem poety przeszła w sferę twórczą. Przypomniał mu się jego „smutny chłopiec“.

— Czemu on umarł? — pytał znów.

Kiedyś w gorzkiej godzinie rzucił wyrazem *nieporozumienie*. Dziś wyraz ten przybrał zgoła odmienną barwę. Przecież ten chłopiec stworzył sobie świat ducha. Był sam, życiem siedł, jak pustynią, ale Łęski czuje teraz, że ów świat ducha, wśmiany entuzjazm i miłość piękna — mogą, powinny starczyć... Z tych uczuć niepochwytłych, z niekonkretnych, bezcielesnych zupełnie abstrakcji, można uczynić przyjaciół swych i domowników. Można się z nimi związać ślubem serc, wziąć w pierś, napić krwią, ucieleśnić.

Ten chłopiec to rozumiał. Łęski czuje to instynktownie. Więcej nawet: wie o tem z pewnością z jego słów, z tych zdań, wyrwanych z duszy, prostych i gorących.

A więc? Tak, było to tylko nieporozumienie

słabości, depresja chwili, wrażenie ciosu, który był może oszalamiający, ale daleki niewątpliwie od tej wagi, która ma prawo decydować... Cóż bowiem tkwi w psychologii samobójstwa? Omyłka... błąd... chwila — nic więcej.

Nie żyje wszak bez celu, kto tak wierzył.

Łęski zapalił światło, wziął do rąk zeszyt i czytał. Mówił tu „chłopiec“ o triumfie dobra. Nie brawurował, lecz ufał...

— „Jeśli sądzono światu ery takiej doczekać, — pisał, — to w każdym razie jest ona od nas jeszcze bardzo odległa. Odległa w czasie tak, że gdybyśmy przestrzeń tę chcieli odmierzyć miarą nie — życia ludzi i nie pokoleń nawet, lecz żywotami oddzielnych narodów, może i wtedy droga ta wydałaby się nam do zmierzenia wręcz beznadziejną.

Rozum współczesny, gorycz doświadczeń historycznych, smutna znajomość człowieka wreszcie — mówią nam, że jest to piękna utopia jedynie. Nie ziści się ona i nie stworzy Arkadii z tej ziemi, którą nieprawość ludzka przepoiła do głębi, wyciskając na czole jej stygmat przekleństwa.

Tak twierdzi rozum.

Ma jednak mowę swą i siła wiary. Nie religijnej nawet, ale ludzkiej, ludzkiej nawskroś, przejawiającej się w najczystszych sercach całej ziemi. Ma je lud każdy, każda kultura, rasa i ideologia. Gołębie są i kryształowe, nie potępiają, nie ferują wyroków kruczych,

nie chcą znać słów: Mane, Thekel... lecz wierzą. W co? W jaką prawdę? W triumf idei człowieczeństwa. W zwycięstwo pierwiastków wyższych, pielęgnowanych w duchu i czyniących swe mrówcze, niedostrzegalne prawie, ale przez to może skuteczne dzieło uszlachetnienia człowieka. Dzieło trudne, niewdzięczne i wielkiej wymagające mocy, aby pokonać i ubezwładnić człowieka - zwierzę, popędami, instynktem, zaborczością, nieokiełznaniem — na jotę nawet od innych zwierząt nie różne i nie doskonalsze — i oddać go we władanie człowieka - ducha. Wiara ta mówi, że skoro człowiek i tylko człowiek wyniesion jest ponad wszelkie istoty darem tajemnic duszy, to stało się to snadź po to, że ów pierwiastek światła ma w nim, siłą przeznaczeń, wielką i wszystko przesłaniającą do odegrania rolę.

Serca te na świadectwo, naiwnie może i dziecięco, pesymizmowi rozumów stawiają przed oczy wszystko to, co przemawia na korzyść ich tęsknot, co wiarę ich ma potwierdzać i upowszechniać. Cichym, prostym, pogodnym swym językiem tłumaczą się, że nie błądzą, że to, co pragnieniem dziś tylko i abstrakcją — ziści się. Ziścić się musi, bo... Bo przecież na to tylko stał się świat i człowiek. I nie masz innej racji istnienia — jeno ta. A chcąc pokonać rozum jego własną bronią i jego własnym mówić doń językiem, wskazują mu radośnie na zdobycze, których duch ludzki, mimo wszystko, do dziś wszak dokonał, na ducha tego rozwój

i ekspansję, poczętą i wyczarowaną z tęsknoty. Na to, że świat w kierunku tej ewolucji jednakoż idzie i iść będzie. Może się w drodze wstrzyma i może cofnie o jeden krok wstecz, rychło atoli podda się znów nieodpartemu ciążeniu ku słońcu swych przeznaczeń.

Że nie stanie u celu ani dziś, ani jutro — nie przeczą. Postaci rzeczy to nie zmienia. Serca gołębie i tym razem wierne są gołębiej swej naturze. Nie zniechęceniem je karmi ta powolność, ani też owa niedostrzegalność w ewolucji ducha, która, acz może w sferę swych wpływów zagarnia niejedną nową placówkę, ale czyni to ruchem tak nieuchwytnym, że pokolenie jedno za krótko żyje, by zmianę tę uchwycić. W sercach tych owa powolność, któraby do rozpacz przywiodła ludzi czynu i intensywnego działania, odbija się inaczej. Ona je cieszy i otuchą napawa nieklamana. W powolności tej widzą nieodwołalność. Jest ona im rękojmią, że wznoszony tak roztropnie i dokładnie zrab wesprze budowlę trwałą, imponującą i wieczystą. I że zmieści ona pod swym stropem wszystkie ludy, ogrzeje je u swego ogniska, i stanie się dla wszystkich domem równie własnym i równie umiłowanym.

To mówi nam przedziwna ewangelja serc, czystością jasnych i wiarą gorejących. Liczba ich nikła, żadna nie łączy ich organizacja, najczęściej nawet nie znają się i wręcz o sobie nie wiedzą. Nie mają też u współziomków ani powagi ani wpływów. Nie są żadnym autoryte-

tem dla świata, który albo nie słucha ich wcale, albo też z pobłażaniem, jak nieszkodliwych marzycieli — przy poznaniu ciekawych, ale na dłużej nudnych i jednostajnych.

Oni jednak nie naprzykrzają się zbyt społeczeństwom. Nieliczni bardzo, nie mogą być plagą nagminną. Lecz, choć to ród mało-plenny, jest w nim przecież żywotność bujna i uporczywa. Niebogato się rodzą, ale i nie chcą jakoś wygasnąć doszczętnie. Jak kwiat łagodnej barwy i woni nieznanej, wyrastają pogodnym swym czołem nad każdym pokoleniem i w każdym świata zakątku, by świecić.

Przedziwne serca! Dzieli je nieraz tak wiele, takie są różne w nacji, pochodzeniu, wierze, — tyle odległe krajem, krwią, nawet epoką i społeczeństw ojczystych znamionami, a jednak tak ogromnie do siebie podobne i takie przez to braterskie. Jest w ich istocie, w podobieństwie i tak stałej regeneracji coś niezwykłego. Wyrastają nieraz na gruncie, z którym brak im cech wspólnych do tego stopnia, że egzystencja ich jest wprost anomalją i nie daje się napozór niczem usprawiedliwić. Niepodejrzanie prości i bezwinni, wbrew niemowlęctwu swych żrenic, urastają nam jednak na istoty tajemnicze. Gotowiśmy zapytać, skąd przychodzą i po co? Czyja dłoń lepić może taki niezwykły kształt duszy i zamyka niekiedy w piersi śmiertelnika, czyniąc zeń, gwoźli czemuś, nową odmianę błędnego rycerstwa?

— Że dłoń ta nie jest dłonią żadnego z demonów, czyż wątpić można? —

Lęski ukrył twarz w dłoniach i szepnął:

— Szkoda chłopca. On też był z tego bractwa serc, tylko... zbrakło mu siły. Za kruchy kształt.

On miał słuszość. Te iskry serc, rozkwitające tu i owdzie, rozsiane są, niczem ziarenka różańca, po drodze ludzkości. Nieuświadomione tkwią w piersi tysięcy i żywią je swem ciepłem dobroczynnem. Wbrew logice współczesnej cywilizacji, wbrew przemądrym przesłankom rozumu, który wytrawia życie, jak w retorcji chemicznej, z wszelkich soków rodzajnych i twórczych, iskry te, niby błędne ogniki, unoszą się ponad całą nsvchiką współczesności, wskazując drogę na chłonnem trzęsawisku bytu.

Czy je nazwać instynktem, czy przywiązaniem do życia zwierzęcem, czy miłością, czy wiarą skrytą, — ale są.

— Tak jest, — uśmiechnął się sarkastycznie. — Mędrca szkiełko i oko rzadzi nami wciąż niepodzielnie. Bardziej, niż kiedykolwiek. Z mikroskopem u oka i lancetem w dłoni słuchamy tylko ziemnych kanonów wiedzy, ale prowadzą nas przez życie siły zupełnie nieznane. I nawet nie wiemy o tem. Czyż to nie humorystyczne?

Cywilizacja współczesna uczyniła wybór nieodwołalny. Na stos ofiarny, na śmietnisko — odrzucono wszelkie odpadki duchowości, zerwano pęta, strzaskano śmieszne kolorowe okulary. Tłum synów epoki nie śmie wejść w kolizję z wyssanymi

z jej piersi pryncypjami. Opowiada się też gremjalnie za wyrokami mózgu, po jego stronie kupi się w większości przytłaczającej i nie zadrza w nim ani jedna struna żalu za tą zgaszoną gwiazdą na swem niebie. Idzie w przyszłość bez wiary w jakąś słoneczną ideę, bez perspektywy. Odsądziwszy kolebkę swą, ziemię, od wszelkich górnych przeznaczeń, nie podtrzymuje w sobie w zasadzie przywiązania do świata. Degradując swe życie do przymusowej jeno kwarantanny w pustej oberży na potępieńcem jakowemś rozstaju — dla konsekwencji nie powinienby nawet dążyć do pozostawienia po sobie żadnej nowej wartości. Czyż warto?

Tymczasem, cóż się dzieje? Te pogrzebowe przesłanki nie dają wcale plonu tak groteskowo nihilistycznego. Rzeczywistość poucza, że ludzkość z ziemnych dociekań i mrocznych tez nie zwykła wysnuwać daleko posuniętych wniosków. Tragedji z nich nie czyni. Szczególnie jest to cechą społeczeństw kultury łacińskiej. Tragizuje dopiero fatalistyczny wschód, od rosyjskiego niesprzeciwiania się złu poczynając. Uwypukla to jeno i potwierdza obserwację zjawiska zgoła odmiennej natury.

Pogoda kultur łacińskich czyni z jej dzieci bardzo niekonsekwentne zazwyczaj osobniki. Niekonsekwentne — na szczęście.

Historja śmieszna i bardzo pospolita.

Dzieje się zwykle tak. Pocznie sobie, ot, naraz kulturalny ów latyn materialistycznie filozofować — i tak mu się to zagnęła spodoba, że ani wie, na jakie się szerokie i głębokie wody zdążył już dostać. Nawiasem mówiąc, bodziec, który mu zrazu kon-

cept filozofowania podsunął, nie był najczęściej poważny. Latyn, filozofując, czyni to często dla wprawy, dla osobistej satysfakcji, że stać go na żonglerkę w sferze wiedzy tak dostojnej, jak filozofja. Albo też, najprościej w świecie, uprawia coś w rodzaju gimnastyki umysłowej, by nie utracić pewnej elastyczności i sprawności w tym najcenniejszym narzędziu. Najmniej atoli jest szans na to, że w dociekaniu wkroczył z istotnej potrzeby.

Europejczyk zachodni, gdy już chodzi o szczerość, przedziwnie słabe zdradza ku temu dziś skłonności. Brak mu poprostu bodźca psychicznego, któryby w tym kierunku popychał, a który w innych nacjach jest cechą nieraz jaskrawą. Europejczyk nie wkłada duszy w rzetelną i poważnie pojmowaną kontemplacyjność, nie umie długo milczeć i myśleć przykuć trwalej do jakiejś tezy, a przedewszystkiem nie daje żadnej idei, poza najbliższą narodową, (dawniej chrześcijańską), zapanować nad sobą i porwać w przypływie entuzjazmu za daleko. Patriotą bywa zwykle, zwłaszcza w potrzebie, bez zarzutu. Tej zapory nie zmyła jeszcze fala wieku. Stając przed zagadnieniami, bardziej od sfery jego zainteresowań odległymi, umie się nimi zająć, nawet przejąć. Uczyni to szczerze i serdecznie z sporą dozą zapału, zbudzonego słusnością sprawy, albo nowością wniosków, błyskotliwie ujętych i fascynujących laika niezwykłością i blichtrzem dalekich horyzontów. Łatwiej od innych ludzi daje się wtedy przekonać. Europejski laik nie jest nieufny z natury. Dla każdej słusznej sprawy zapali błyskiem oko, rzuci gestem, nie pohamuje nawet odru-

chowego okrzyku potępienia lub aplauzu. Lecz więcej, lub wiele więcej, nie oczekujemy. Dużo uwielbi platonicznie, wiele potępi zasadniczo, ale żołnierzem nowych idei nie zostanie. Zawsze się wczas powstrzyma, rozumiejąc, że, jak dla niego, byłoby to posunięciem za dalekiem i anormalnem. Przy egzaminie na adepta fanatyzmu najpobłażliwszy bodaj profos azjatycki nie zaszczyliłby go stopniem choćby niedostatecznym.

W ramach tych możliwości rozwija się zazwyczaj i filozoficzna latynów ekwilibrystyka.

Filozofuje zrazu na żart. Później, porwany kunsztem własnej logiki, już na serio. I stopniowo, przez bezkrytyczną dufność w geniusz własnej myśli, przez autosuggestję, wmawiającą mu oryginalność jego intelektu, — tak się pograża w fałszu sofizmatów, tak się umie uwikłać, spętać i uniewolić konsekwentnym w bezsensie łamańcom z kretesem obalamuconej już logiki, że do furty z tych labiryntów trafić nie jest w stanie.

Nie należy jednak do tych, co łatwo kapitulują. Podnieca się więc tem goręcej, sam się już spiera ostrogą i rwie naprzód. Żadne „być albo nie być“, żadna z najwyższych zagadek bytu — nie jest wtedy już ani za wielką, ani nierozwiązalną. W ten sposób wkracza na karkołomną ścieżkę niebezpieczeństw, z której wycofać się trudno, a zająć nią można tylko na krawędź przepaści i stoczyć się w nią, lub zasiać w lęku nad bezednią pomiędzy życiem i śmiercią, z prawem wyboru... drugiej tylko możliwości.

Do tej duchowej matni wabia go zwykle akrobatyczne skoki dociekań celów bytu, ludzkich prze-

znaczeń, wszelkich zagadek i tajni, dla których już zawczasu przygotował cały arsenał przeczeń.

Gdy raz, drugi i trzeci w orłowym takim rai-dzie nadłamię skrzydeł i, eo ipso, da się ogarnąć de-presji, idzie wówczas po linii najmniejszego oporu i stwarza tę, po tylekroć „stwarzaną“ już filozofię zupełnej bezcelowości istnienia. Stąd płyną zwykle już wnioski finalne: nie warto... nie warto...

Człowiek o duszy wschodniej, gdyby tak war-tość życia zgilotynował, tyle temperamentu w to włożył i z równą miarą powagi całą rzecz potrak-tował, — uwięczyłby to dzieło konsekwencją krańcową i palnął sobie w łeb.

Latyn uzna ów finał również za najwłaściwsze przypieczętowanie całości, z najsilniejszym akcen-tem zaznaczy, że to uczynić musi, bo żyć nie war-to i... pójdzie spać. Dnia następnego zbudzi się w świetnym humorze, jeszcze lepszy mieć będzie ape-tyt, a pamiętając, że wczoraj nastrój miał fatalny, nie zechce nawet myśleć, o co właściwie chodziło.

Błędny ogień ukazał mu przepaść i wstrzymał na krawędzi.

Radość życia, równoznaczna z nieujętą w sło-wa wiarą w promiennność jego celów — okazała się silniejszą ponad rozum i trwalszą nad jego z łód- wykute bożyszcza.

Po długiej nocy grudniowej wstał świt słonecz-ny w lekkich mgłach, zabarwionych błękitnie i ró-żowo. Gdzieś w dali biły wesoło świąteczne dźwięny.

W rozwartych drzwiach balkonu Łęski stał i wchłaniał w płuca rzeźwość mroźnego poranka...

X.

Osierocone przez panią radczynię dworu i „ka-walerową orderów“ apartamenty zmieniły się do niepoznania. Zdarto tandetne obicia, nadpróchniale posadzki, zaprowadzono światło elektryczne i no-woczesne urządzenia, a do obszernych pokoi wnie-siono wytworne sprzęty.

Z umeblowaniem siedziby, przeznaczonej dla panny Zofji Malewskiej, trud był najmniejszy. Ba-ronowa, wracając do kraju, przywiozła z sobą mnó-stwo ulubionych sprzętów ze swej rezydencji w Pa-ryżu i w Nizy. Niektóre przywędrowały nawet ze Szkocji, gdzie stary Inborn miał odwieczne, śred-niowiecza jeszcze sięgające gniazdo rodowe.

W Warszawie zastała pałac swój wyjątkowo nienaruszony i uszanowany przez okupantów... z ko-nieczności, dzięki bowiem stosunkom męża, tutejsze posiadłości ich zaraz z początkiem wojny znalazły się pod opieką duńskiego konsulatu. Inborn, rozpo-rządzający, jak wiadomo, olbrzymią fortuną, rozrzu-coną po różnych krajach Europy, legalnie czy niele-galnie, był w posiadaniu kilku poddaństw i obywa-

telstw, co mu też świetne podczas wojny oddawało usługi. W ten sposób pałac w Warszawie uniknął pruskich kwater i grabieży i baronowa zastała wszystko we względnym porządku. Po powrocie już sprowadziła nadto złożone na składzie w Kielcach pozostałości z urzędnictwa dębińskiego dworu. Ongiś, przed dziesięciu laty, zabezpieczył je tam stary pan Zdzitowiecki po sprzedaniu przez licytację jej rodzinnego majątku.

Tą drogą jedna z oficyn pałacyku w alejach zamieniła się wkrótce w jakiś lamus, czy skład, w którym znalazły schronienie przeróżne wybrakowane lub niemieszczące się w apartamentach głównych garnitury bardzo szacownych zresztą i pięknych mebelków.

Lamusa tego starczyłoby na obdzielenie nie jednej, ale kilku takich siedzib, jak mieszkanko na Hożej.

Z nowych mebli nabyła jedynie kosztowny koncertowy fortepian dla Zochy i ze szczególną pieczołowitością zajęła się urządzeniem przytulnej i zacisznej sypialni. Troskliwość jej była tem większa, że wobec panny Malewskiej czuła się do pewnego stopnia winną. Miała wyrzuty sumienia. Czyż to istotnie dla Zochy, tylko dla Zochy, urządza całą tę maskaradę? Wszakże sama i to niedawno, upewniała generałową, że panny Malewskiej z pod swego dachu nie wypuści, że będzie ona dla niej najmiłszym gościem i pożądaną towarzyszką.

A dziś?

Dziś musiała ze wstydem i niezręcznością tłumaczyć się Grabowskiej i... kłamać, tak jest — kła-

mać, że Malewska marzy o jakimś stalszem osiedleniu się tutaj i usilnie ją o zdobycie mieszkania prosiła.

Sprawami, związanymi z możliwie najszybszym urządzeniem nowego lokalu, baronowa zajmowała się bardzo pilnie. Sama jeździła do składu fortepianów, wybrała w pierwszorzędnym magazynie meblowym pokój sypialny, czyniła przegląd dywanów, portjer, przesłała nawet ze swych piwnic do kredensu Zochy wina, konserwy i konfitury. Przy każdym takim szczególe miała wrażenie, że istotnie myśli o przyjaciółce.

Na Hożej była dotąd tylko dwa razy i bardzo krótko. Pilnował tam spraw wszelkich dzielny pomocnik i wyřeczyciel, mecenas Rudziński.

On to uporał się przede wszystkim z usunięciem szwalni, a raczej okazałej jej właścicielki, madame Rutkowskiej i szczyił się tem niepomiernie, dodając, że był to w jego karierze adwokackiej bodaj najcięższy orzech do zgryzienia.

Sprawa z radczynią dworu szła ciągle napozór gładko, ale co dnia, a nawet co parę godzin wypływały wciąż takie komplikacje i komplikacyjki, że Rudzińskiemu pot spływał z czoła i ręce opadały bezradnie.

W poczuciu niepospolitych swoich zasług i towarzyskiej pozycji, „kawalerowa orderów“ za wyniesienie swych larów i penatów zadysponowała cenę dostatnią i do swej fidjaszowej piersi dostosowaną. Z niemałą zaradnością, mając na uwadze premję za „szybkość jazdy“, wyszukała sobie prawie zaraz równorzędne mieszkanko na Mokotow-

skiej, zaoszczędzając przytem na czarną godzinę co najmniej trzecią część otrzymanego honorarjum. Gdy najważniejszy ten szkopuł spadł już z porządku dziennego i Rudziński nastawał na ustalenie daty wyprowadzki, radczyni najniespodzianie zdradziła się, że ma „trudności“. Mieszkanie na Mokotowskiej nie miało elektryczności. Rzec jasna, że instalacje należy zaprowadzić kosztem owej mitycznej panny Malewskiej, w której imieniu cały układ był przeprowadzony.

— Przecież pani łaskawa tutaj także nie miała światła elektrycznego, — tłumaczył jej Rudziński.

— No, tak, ale od czegoż jest nowe mieszkanie? Panie drogi...

I z tą przygrywką rozwijała takie zasoby logiki, że mecenas aż uszy zasłaniał.

Okazało się później, że „tam“, na Mokotowskiej, niezbędny jest telefon, którym radczyni po całych dniach zawiadamiać będzie odbiorców o przeniesieniu siedziby znanej i cenionej swej firmy.

Rudziński zapłacił i telefon.

Wyasygnował z kolei pokązną kwotę na koszty przeprowadzki, co było wprawdzie brane w rachubę przy ustaleniu wysokości odstepnego, ale radczyni zupełnie o tem nie pamiętała.

Później okazało się, że u szanownej komody, która spadła na nią po babce nieboszczyka męża, trzeba dorobić nowe nogi, bo w starych są robaki.

Rudziński oczy wytrzeszczył.

— Moja mościa pani, czy to ja pani posiałem tam te robaki?

Radczyni obraziła się.

— Proszę pana! — powiedziała wyniosłe. — Jak ...dzieści lat żyję, jeszcze mi nikt „mościa pani“ nie powiedział. Gdyby panu było wiadomo, kto był mój mąż, nigdyby się pan na coś podobnego...

— O mężu pani, owszem, słyszałem — bardzo wiele.

— Przepraszam, a od kogo?

— Od pani, naturalnie.

— No, więc? — spojrzała z dumą.

— No, więc powróćmy, jeśli łaska, do owych pani nóg.

— Zanotuj sobie pan w pamięci, — zaperzyła się stara, — że od moich nóg radzę zdaleka. Nie tacy próbowali!

— Ależ, Boże mię broń. Przecież mówimy o komodzie.

— Nogi trzeba dorobić i basta. Komoda stoi od tylu lat, stałaby i dalej, a jak ją ruszą ci ordynarni drągale, Bóg wie, co się stać może. Pan nie wie, co potrafią zrobić takie chamy.

Rudziński kupił nogi, zapłacił za robaki, sprawił radczyni dworu nowe buciki, odświeżył mantyle, dał broszkę do reparacji i — milczał. Bał się tylko jednego. Wogóle od czasu poznania czupurnej damy wpadł w przesady. W dręczących snach majaczył, że radczyni zażąda odeń wreszcie orderu Odrodzenia Polski i uroczystej dekoracji na placu Saskim. Zdawało mu się, że baba zmierza już w tym kierunku. Nasłuchiwał się przecież, ile to Polska jej zawdzięcza.

Wdzięczność, jaka przysługiwała różnym osobistościom ze strony tej bezimiennej Polski, była

teraz w modzie. Aby zaś Polska owa nie miała czasem zbyt krótkiej pamięci, zapisywano jej to zewsząd par force w podręcznym notatniku.

Zwróciła na to uwagę i radczyni. Przypominała więc teraz wszem wobec i każdemu z osobna, ile to ona, Polski cierpiącej westalka i Niobe, dawnych jej cnót i zasad w własnej swej piersi, tuż pod staniem, w stanie niestęchłym umiała przechować i uchronić. Ale to mało. W rejestrze zasług jej jest jeszcze czyn, czyn niepośledni. Już po zgaśnięciu lampki radcy nieboszczyka miała starającego Moskala i odrzuciła jego rękę z odrazą i oburzeniem. Coprawda był to pijak i brzydko się nazywał i nie podobał jej się zupełnie; coprawda, przestałaby być przez to radczynią i straciłaby emeryturę, — ale proszę osądzić, która kobieta nie radaby mieć męża.

Rudziński przytakiwał, ale potniał, jak mysz i w wyobraźni stawało mu ciągle widmo Saskiego placu i pani „kawalerowej“ orderów z jeszcze jednym orderem na butnie kołyszającej się piersi.

Ostatecznie wszystko ma swój koniec, a urojeńnia pozostają urojeniami. Więc i złowroga kometa z biustem radczyni znikła wreszcie z horyzontów mecenasa.

Jeszcze Loluś dostał nową poduszkę na imieniny i ostatni furgon z betami potoczył się w stronę ulicy Mokotowskiej.

— — — — —
Dawno już baronowa Inborn nie odczuwała takiego wewnętrznego wzruszenia, jak w chwili, gdy coś około połowy stycznia mecenas Rudziński wrę-

czył jej osobiście klucze od ostatecznie we wszelkich szczegółach wykończonego mieszkania przy ulicy Hożej.

Tego dnia nie mogła się doczekać zmroku.

Nareszcie około piątej, nie opowiadając się służbie, nie dysponując żadnego pojazdu, ubrana skromnie, w obcisłym zawołowanym kapelusiku i angielskiej sukni, wymknęła się na miasto.

Szła cicho, trwożnie, jakby skradając się. Przechodząc przez ulicę na przeciwległy trotuar, wpadła po kostki w błoto, jakiś samochód ją obryzgał od stóp do głów, ale nie zwróciła na to uwagi.

Jest już na Marszałkowskiej. Mija kilka ulic, czytając w mętnej świetle deszczowego wieczora tabliczki z napisami.

— Tak, to już Hoża.

Skreca szybko i prawie teraz biegnie. Za chwilę staje przed bramą, jest już na drugim piętrze. No-woodmalowane drzwi, świeży zatrzask francuski. Z pęku kluczy stara się dobrać właściwy, ręce jej drżą. Znalazła wreszcie.

Za chwilę baronową ogarnia ciemność. Jest już wewnątrz, drzwi zamknęła za sobą skrupulatnie. Usiłuje sobie teraz uprzytomnić plan sytuacyjny mieszkania.

— Zaraz. Tak: tu po lewej stronie są dwa pokoje frontowe. Najbliższy — salon z wejściem z przedpokoju. Naprzeciw od podwórza sypialnia. Wprost pokój stołowy, a stąd wejście do buduaru z oknami na ulicę.

Baronowa nie zamierza zaświecać elektryczności. Z torebki wyjmuje mały srebrny futerałik z zapalnikami. Pociera jedną.

Z mroku patrzą w nią tajemniczo fragmentaryczne kształty sprzętów, zegar cyka miarowo w jadalni. Baronowa wchodzi do tego pokoju, składa na stole torebkę, zrzuca nerwowym ruchem woal z kapelusza i krokiem już pewniejszym przechodzi do buduaru.

Staje przy oknie. Wie dobrze, że stąd... widać. Przekonała się o tem jeszcze podczas swej wizyty u radczyni, gdy podchodziła do okna z sztuką płótna. Teraz przesuwając tu miękki buduarowy „puff“, otwiera zimową parę okien i wsparta rękoma o parapet, patrzy w rozścielający się nad ulicą mrok. Zastyga w tej nieruchomej pozycji i zdaje się o całym świecie nie pamiętać.

Baronowa wpatruje się w sylwetkę przeciwległej czynszowej kamienicy. Nowoczesny, kilkipiętrowy dom rysuje się potężną ciemną masą, w której, wzdłuż poszczególnych pięter, niczem pszczelne komórki, odcinają się drobne prostokąty okien. Okna te na mrocznym tle budowli tworzą albo jeszcze ciemniejsze plamy, albo rozbłyskują jaśnią jaszkrawo oświetlonych wnętrz. Na parterze światła owe sączą się z poza szyb, przez zapuszczone żaluzje, mętne i rozpierzchłe, wyżej jednak malują się w ich drganiu drobne kolorowe obrazki mieszkań ludzkich.

Wzrok baronowej pada na szereg okien pierwszego piętra po prawej stronie od bramy.

— To będzie tam!

Z brzozy — trzy okna ciemne. W jednym maleńka smuga światła, padającego zza drzwi, uchylonych od sąsiedniego pokoju. Spogląda dalej. Wi-

dać pokój dwuokienny, oświetlony rzęsiście. Można rozróżnić w nim dokładnie sprzęty i jakieś drobne postacie, uwijające się dokoła okrągłego stołu.

Baronowa powstaje spiesźnie, wraca do jadalni i z torebki swej dobywa oprawną w emalję maleńką lornetkę. Jest znów u okna. Teraz widać doskonale. Dla łatwiejszej obserwacji otwiera nawet drugą parę okien. Fala wilgotnego powietrza uderza w jej zgorączkowane policzki, ale nie zważa na to: zатуla jeno szczelniej futrzany kołnierz pod szyją i z lornetką u oczu zastyga znów nieruchomo.

Dokoła okrągłego stołu biegają, goniąc się i swawoląc, dwie drobne istotki. To — dzieci. Chłopczyk i dziewczynka. Dziewczynka ma włoski ciemne, jest wyższa, pewno starsza. Chłopczak blondas — może ma szósty roczek.

— Jakie to ładne dzieciaki! — szepcze do siebie baronowa i jakiś serdeczny uśmiech i wzruszenie świeci w jej dumnych oczach.

Mija godzina, dwie — dzieciaki bawią się.

Sterna zabawek z kąta wędruje na środek pokoju. Malec jest ogromnie zamaszysty, ustawia szeregiem jakiś potworny zastęp z pajaców, blaszanych żołnierzy, osiołków, krów, słoni i siostrzanych wyczupierzonych lalek. Odbywa groźną musztwę, później piłką wali w sam środek tak pracowicie zmobilizowanej armii i zawadającą rączyną rozmiata wszystko na cztery wiatry. Dziewuszką, porządną, układa inwalidów bez protestu znowu do kąta, bierze do rąk stos jakichś książeczek obrazkowych i nakłania czupurnego braciśzka do zajęć bardziej intelektualnych.

Siadają teraz rzędem na dwu krzesłkach i mały z zaciekawieniem siostrze pod łokieć gapi się w rozłożoną na jej kolanach książeczkę. Siostra z powagą wodzi paluszkami po mocno kolorowych bohomażach, sylabizuje i z namaszczeniem coś tłumaczy. Trwa to czas pewien. Ale skarby uwagi blondasa są już na wyczerpaniu. Majda zaciekle nogami, pacnął z rozmachem nieobecna muchę na stole i rozwiązał siostrze sznurowadło.

Do pokoju wkracza nareszcie podżyła jakaś niewiasta o gosposiowym zakroju i stawia ostentacyjnie tacę z filiżankami. Dzieci kwapią się ku bułeczkom, piją mleko i wszystko zapowiada, że niezadługo trzeba będzie pójść spać. Gospośia daje im to do zrozumienia w sposób bardzo pogładowy, strzepując szerokim gestem dwa białe, ustawione wzdłuż ściany łóżeczka z siatkami, podobne do dużych kojców dla kurcząt.

Malec, zdaje się, coś grymasi i blaguje, ale buzia mu rzednie, bo widzi, że „święty Boże“ nie pomoże.

Naraz w pokoju czyni się mała zawierucha, kołderki furczą w powietrzu i oba bączki w długich białych koszulinach wydzierają się z po za siatek solidarnie. Drobne bosciki biegną „puc“, „puc“ przez pokój ku drzwiom, w których stanął w tej chwili wysoki barczysty mężczyzna.

Baronowa przeciera szybko lornetkę i patrzy ze zdwojoną uwagą.

Twarzy dokładnie nie widzi. Mężczyzna pochylił się ku malcom, coś z nimi gwarzy i gawędzi, potem podnosi oboje oburącz jednocześnie do góry

i bardzo mocno przyciska do piersi. Drobne rączyny obwijają mu się dokoła szyi, usteczka całują okrutnie po twarzy i oczach, mierzwią ojcu szarą czuprynę. Wreszcie mężczyzna z swym gaworzącym ciężarem zbliża się do łóżeczek i po kolei zgóry, śmiejąc się, ciska je w otchłań pierzyn i poduszeczek.

Światło gaśnie. Już basta: baki muszą spać.

W oknach już dawno ciemno. Dzieci śpią. Ojciec znikł gdzieś w głębi mieszkania.

Piękną twarz baronowej wykrzywia jakiś skurcz, usta jej drgają. Czy płacze? Nie. Gorączka pożera łyzy. Gorycz je spija.

Nie rzuca jednak jeszcze swego smutnego posterunku. Może go jeszcze zobaczy. Jest dość wcześnie. Pewno — ósma. Zresztą... czy jej gdzieś spieszno? Czy ją tam w pustym domu czekają takie drobne główiny, czy do jej ramion wyciągną się małe ukochane czyjeś rączki?

Baronowa czeka. Czeką bardzo długo.

Z jadalni dobiega ją miarowe bicie zegara. Dzieciata. Na szarem niebie przeblyskują powoli gwiazdy. Czyni się mroźno. Ramiona przenika dojmujący chłód.

Wreszcie naprzeciw błyska światło. Płonie zieloną muszlą od strony ulicy osłonięta lampka na biurku. Obszerne biurko w przyległym do dzieciennej sypialni pokoju stoi tuż pod oknem. W głębi widnieją szafy, pełne masywnych ksiąg. Gabinet pracy uczonego, może biblioteka.

Janka patrzy z gorączkowym zajęciem. Przed biurkiem, twarzą zwrócony do okna zasiadł ten sam

mężczyzna. Nie można jeszcze rozpoznać jego rysów, bo twarz zasłonił dłońmi obu opartych ciężko rąk i trwa tak w zamyśleniu, czy w trosce. Po chwili jednak dłonie te rozplatają się i w pełni światła zarysowywa się głowa siedzącego. Rysy poważne, nieco zakrzepłe, wysoko sklepione czoło, dwa łuki ciemnych brwi, szara puszysta na bok bezładnie rozczesana czupryna i ramiona rozrosłe a silne.

— To on! On! On! — łopoce, jak ptak skrzydłami, serce Janki. — On, Władek!

To jego oczy głębokie, rozumne. Oczy stalowo szare. Ileż je razy wzrokiem duszy widziała w ciągu lat, jak spoglądały na nią zimno, nieubłagane i szydersko. To jego oczy kochane, jego brwi dumne, jego czoło wyniosłe, przecięte dwiema błękitnymi smugami zrośniętych żył. To — Władek! Jej Władek! Jej — ukochany nadewszystko, wymodlony tęsknotą, taki bliski, a taki zawsze daleki... To on, rzucony przez nią przez pychę, przez zaślepienie bezpamiętne, niebaczne i nierozumne.

Patrzy w tę twarz, wpija się w nią oczyma, wzrokiem bolesnym tuli i obejmuje postokroć i szuka... szuka zmian.

Czy postarzał? O, nie! Jej Władek, on — miałby postarzeć? Przeciwnie. Jest w pełni męskich lat, w rozkwicie męskiego uroku, siły, pewności ujarzmiającego powagą spojrzenia, jest... wyżej wszelkich porównań.

I ona go rzuciła? Nie może wprost w to uwierzyć, nie pojmuje, jak się to stać mogło.

Patrzy. Mężczyzna rozłożył dokoła siebie kilka książek, niektóre świeżo rozcina, kreśli jakieś uwagi

na marginesach — pracuje. Brwi chwilami ściągają mu się jakby wysiłkiem myśli, zapisuje w zeszycie jakieś zdania, czy wnioski, a niekiedy odkłada pióro, prostuje schylone ramiona i wzrokiem jasnym patrzy gdzieś w przestrzeń przed siebie.

Baronowej wydaje się wtedy, że oczy ich spotykają się w mroku nocy, że łączy je przedziwna nie promieniowania i... drży, drży całym ciałem w lęku, by z żreń tych nie wyczytać wyrazu potępienia i nienawiści.

Czy on ją jeszcze pamięta? Czy czuje teraz, że niedaleko, oddzielone od niego jedynie wąską przestrzenią ulicy bije dlań ukochaniem gorące jej serce? Że wyciągają się ku niemu ramiona, z tęsknoty bezsilne już i wpół omdlałe.

— Władku! Czy ty mnie słyszysz? Władku, kocham cię! Tęsknię, ust twoich pragnę, na twojej piersi chcę oprzeć skroń swą gorącą, umęczoną. Posłuchaj, jak bije moje serce. To serce twojej Janki... Bo tyś jej nie zapomniał, prawda, Władku?

Tyś też nie był szczęśliwy. Jesteś sam, ale o ileż szczęśliwszy odemnie! Masz swoją wiedzę, cel życia, jego gwiazdę i zapomnienie zarazem. A ja? Z czymże się da porównać mój los, samotność moja okrutna, nienasycony głód i rozpacz. Jestem piękna, mam w ręku prawie potęgę, mam u swych stóp schylone czoła pochlebców i tych, którzy mnie pożądają, ale... Z wielkości tej twoja Janka niema nic dla swej duszy. Chyba... Gintułów. A choćby jej pod stopy rzucono nawet tysiące serc wiernych, oddanych i kochających, czymże są one dla niej? Ona chce tylko... twego serca, Władku!

— — — — —

Późną już nocą skończył pracę profesor Zdzitowiecki.

Ciemność już dawno zaległa jego bibliotekę, lecz tam, po drugiej stronie, przez półotwarte okno w noc pochylona widniała wciąż nieruchoma sylwetka baronowej, a usta jej w gorączce długo jeszcze szeptały niezrozumiałe wyrazy.

XI.

Niesamowite jakieś życie rozpoczęła baronowa Inborn.

W pałacu służba szeptała po kątach o dziwnych tajemniczych jej wycieczkach, które powtarzały się parę razy w tygodniu, trwając do późna w noc. W towarzystwie komentowano szeroko i na przeróżny sposób nagłą jej mizantropję i nieuchwytność. Nie oddawała wizyt, na przyjęciach karnawałowych i wielkopostnych świeciła nieobecnością, sama nie przyjmowała nikogo.

Wstęp do jej buduaru miała tylko generałowa Grabowska, ta jednak na wszelkie nagabywania była głucha i niewzruszona.

— Nie wiem nic! — odpowiadała zwykle. — Baronowa Inborn jest zdrowa, tylko nie ma ochoty się bawić. Chwilowo przesyciła się zgiełkiem i chce odpocząć. Przecież to całkiem naturalne.

Znać było jednak, że staruszka sama za naturalne tego nie uważa i jest mocno zgnębiona. Za-uważała w Jance niepokojącą nierówność usposobienia. Niekiedy przyjmowała ją ożywiona, miała

wybuchy gorączkowego nieusprawiedliwionego niczem humoru — a w chwilę później humor ów ustępował już miejsca bezgranicznej apatii i zniechęceniu.

Grabowska zauważyła też, że Janka ogromnie zmizerniała. Miała wprawdzie rumieńce ale niezdrowe. Oczy ciskały płomieniami, lecz znać w nich było nienaturalne podniecenie. Niekiedy zaczynała coś mówić i urynała w pół zdania, innej snadź myśli oddana całkowicie.

Czasem zdawało się generałowej, że Janka chce jej coś ważnego powiedzieć. Poczynała mówić z wylaniem o sobie, o swem życiu, zastanawiała się nad horoskopami przyszłości, — zdało się, że już, już za chwilę, z półsłówek i niejasności przejdzie do jakichś zwierzeń, rychło jednak serdeczny tembr głosu jej stygł, martwił chłodem i milkła.

Generałowa za każdym razem wychodziła od Janki z ciężkiem westchnieniem.

— Coś ją trawi, coś gnębi... co to jest? Jeśli tak dłużej potrwa.. Nie, to niepodobieństwo. Taka kobieta, jak ona, miałażby się zmarnować? Czy ona czasem nie tęskni za tym ...błaznem Gintułem?

Wzruszyła ramionami.

— Co za myśl niedorzeczna! Gdyby mi o tem nawet sama Janka powiedziała, jeszczebym w to nie uwierzyła.

Myśli o Gintułdzie Grabowska nie wysnuła zresztą sama z siebie. Domniemanie to obijało się o jej uszy niejednokrotnie, nagle bowiem zniknięcie księcia łączono często w domysłach ze zmianą w usposobieniu baronowej. Oba wydarzenia zbyt bezpośred-

dnio następowały po sobie, by się nie miała ich czeptać wszystkowiedząca i natrętna plotka.

Ciekawych jednak, którzy odważyli się na ten temat ją indagować, zbyła staruszka tak ciętą i niepolityczną odprawą, że już więcej tej kwestji w obecności jej nie poruszano.

Po długich deliberacjach i skrupułach Grabowska przyszła do przekonania, że dłużej nawału tych utrapień nie zniesie. Gdyby je mogła z kimś podzielić, byłoby jej stanowczo lżej. Z kim jednak?

O Jance mogła mówić z jednym tylko Łęskim. Ale co ona mu właściwie powie? I czy ma do tego prawo? W tym punkcie wahania generałowej były dość przewlekłe. Jakże ma wreszcie postąpić? Ostatecznie, nie zdradziłaby tem przecież żadnej powierzonej sobie tajemnicy, bo jej, Bogiem a prawdą, nikt niczego nie powierzał. A jeśli się naradzi z Łęskim, szczerym prawdziwym przyjacielem Janki, to uczyni to przecież tylko i wyłącznie dla jej dobra.

Tak, czy inaczej, Łęski jest wszak mężczyzną, a o jego roztropności i doświadczeniu generałowa, mimo lekceważących wycieczek, miała bardzo wysokie mniemanie.

Poeta wynurzeń jej wysłuchiwał bardzo uważnie i spochmurniał. Widać było, że rewelację starej przejęły go głębokim smutkiem. Zrozumiał, że to, czego obawiał się od tak dawna, poczyna się oblekać w złowrogi ale konkretny kształt. Jeszcze do dziś pod złudnem wrażeniem ostatniego widzenia z Janką wierzył, że obawy jego były płonne, że baronowa odgadła tajemnicę życia i pozostaje z niem w pełnej harmonji. Teraz widzi, jak gorzko się mylił.

Zagadka przeszłości nie przestaje ciążyć nad losem tej kobiety i nie straciła snadź nic ze swego znaczenia. Owszem, spostrzeżenia generałowej zdają się wróżyć, że zbliża się już jej rozwiązanie. Tragedja baronowej Inborn kończy się już i kończy fatalnie.

Rozłożył ręce bezradnie i ze współczuciem spoglądał w strapioną twarz Grabowskiej.

— Cóż my możemy, droga moja przyjaciółko? — rzekł smutnie. — W gruncie rzeczy orjentujemy się wszak tylko poomacku. Nie wiemy nic...

— Tak. Niestety, Janka jest tak skryta...

— A gdyby nie była skryta, czy i wówczas, sądzisz, moglibyśmy jej w czemś dopomóc? Baronowa jest istotą zbyt głęboką, zbyt inteligentną, by nasze głowy mogły tu coś poradzić. Jeśli ona sama nie rozetnie tego zagadkowego węzła, który jej życie oplątał, nie pomoże jej nikt.

Grabowską zgnębiło to jeszcze bardziej.

— Może nie jest jeszcze tak źle, — zaczęła nieśmiało. — Czy nie przypuszczasz, że ona może być w kimś zakochana? Pozornie, bardzo na to wygląda.

— Nie wiem, nie wiem, — szepnął.

— No więc, cóż to jest, u kaduka?! — wybuchnęła z rozpaczą staruszka. — Coś przecie musi być. Niepodobna, żebyś nie miał jakiejś swej hipotezy, mówże wyraźnie, Łęski!

— Być może, iż jest istotnie zakochana...

— Ale w kim? Przecież nie w Gintułdzie, — spoglądała nań z przerażeniem.

— Nie obawiaj się, przyjaciółko. O Gintułda

nie chodzi tu wcale. Byłoby to, nawiasem mówiąc, może i pożądané. Baronowa może go każdej chwili poślubić i kwestja byłaby przez to rozwiązana.

— Któż tedy? Nikogo takiego nie znam.

— Masz rację, generałowo. Nie znasz i znać go nie możesz. Mam wrażenie, że to historia bardzo dawna i że miała ona ogromny wpływ na całe późniejsze życie panny Brzeskiej.

— A więc to ktoś z przeszłości? Poczekaj. No, przecież to nie może być ten dawny jej narzeczony, z którym zerwała, wychodząc za Inborna. Myślę, że go pamiętasz: jakiś bankier Barchwitz z Krakowa. Odwiedzał Jankę kilkakrotnie jeszcze w pensjonacie u Młockiej. Niebardzo nobliwy.

— Pamiętam. Rzecz naturalna, że to nie on. Barchwitz był w tym wypadku jedynie poprzednikiem Inborna, lecz nie wybrańcem serca.

— Twojem więc zdaniem, tkwi w tem nie-szczęśliwa miłość?

— Tak się to zwykło nazywać.

— Ale dlaczego? Chybaby ów ktoś oczu nie miał.

— Daruj, generałowo, nie jestem odgadywaczem przeszłości. Coś się tam stać musiało, ale co? — wzruszył ramionami. — Zważ dobrze, przyjaciółko, — podjął po chwili, — że życie ma niekiedy i swoją ironję. Bywa tak, że stawia naprzeciw dwie istoty, bardzo od siebie dalekie i daje im tylko cierpienie. Zważ również, że panna Brzeska była zawsze kobietą bezgranicznie ambitną. Może teraz za to pokutuje.

— Boże, Boże drogi, nie może mi się to w

głowie pomieścić, — załamała ręce staruszka. —
Daj pokój, nie mów więcej. Kraczesz, jak krak.

— — — — —
A dla baronowej Inborn dzień, w którym nie mogła podjąć swej wycieczki na Hożę, był dniem, czarnymi głoskami zapisanym w kalendarzu.

Te, z wzrokiem utkwionym nieruchomie w jeden punkt, w ciemności spędzane wieczory stały się dla niej snem i pokarmem i potrzebą zmęczonego ducha. Już od rana, gdy rzeczy układały się w ten sposób, że mogła się o zmroku wyrwać z domu i zginać wśród mrocznych ulic miasta, czuła w żyłach ożywczy prąd, niczem dreszcz drażniącego narkotyku, który nęci i porywa.

Odgadywała teraz w domu Zdzitowieckiego każdy ruch, znała porządek godzin, zapisala w pamięci zarysy sprzętów, barwę obić na ścianach i domowników najdrobniejsze zwyczaje. Do dzieciaków uśmiechała się zdala, jak do dobrych znajomych, wynajdywała dla nich zdrobniałe wyrazy, pieśszcoty nieme, opowieści i psoty. W szczególnie sposób upodobała sobie chłoptasia. Zaśmiewała się, jak dziecko, z jego min, kaprysów i rozbajającego urwisostwa.

Jednem z największych teraz jej zmartwień było to, że nie znała imion obojga maleństw.

Kiedyindziej usiłowała staczać dysputy z Władkiem. Czyniła to nieśmiało i prosząco, a zawsze z beżmiernem oddaniem. Zdarzało się to jednak dość rzadko. Janka nie miała odwagi. Czuła się względem niego tak winna, wobec jego wartości tak mała, że tylko oczyma błagała o przebaczenie.

A przedewszystkiem chłoneła w siebie błogie odczucie jego obecności.

Czasami stawiała się troskliwą i trwożną. Skarżyła się, że jej Władek pracuje dziś nad miarę, że pod oczyma zarysował mu się w ostatnich dniach silny złowieszczy cień. Gotowa była staczać walki z gospożą za tę tak mocną kawę, którą stawiała mu do pracy.

— Władku, nie pal tyle papierosów, — powiedziała kiedyś prawie głośno, tonem lęklivej wymówki.

Były wieczory, że w podnieceniu zatracala zupełnie poczucie rzeczywistości. Miała wrażenie, że ona, Janka, jest zdawna żoną Zdzitowieckiego.

Czyjażby mogła być żoną?

Siedzi oto tu, w mrocznym jakimś pokoju, siedzi cichutko, bo tam... jej Władek pracuje.

Słyszv spokojny miarowy szmer oddechów i nie porusza się, by nie zbudzić... bo to śpią jej maleństwa. Dwoje rozkosznych jej i Władka dzieciaków.

Janka czeka, czeka długo, cierpliwie i wyrozumiale. Władkowi nie można przeszkadzać. To jego świat, jego nauka, sława, wielkość zasług i nazwiska. O ten świat wszakże nie jest zazdrosna, bo wie — o, wie aż nadto dobrze, że jej Władek ma też świat inny, na którym mu niemniej, a może bardziej jeszcze zależy. A tym światem jest... Janka, żona jego umiłowana.

Późno już. Jeszcze chwil parę, a praca na dziś będzie skończona. Jeszcze moment, a znajdzie się w jego ramionach. Poczujv słodycz jego ust mocnych, gorących. Osłabnie w jego rękach ze stali, obwinie

mu ramiona miękko wokół głowy, ustami zacałuje te szare kochane oczy.

— Władek, Władek mój! — powie mu cicho, bo i cóż więcej mogłaby rzec w tej godzinie?

W pierwszych dniach marca zaszła w życiu baronowej Inborn zmiana, która poważnie wpłynęła na tryb jej życia.

Samotne siesty w mieszkaniu na Hożej stały się znacznie rzadsze, była w lepszym humorze, poweselała, wróciła do pewnej równowagi.

Codzień w południe wychodziła teraz na spacer, po których czuła się znacznie rześwieższą i zdrowszą. Wiosenne słońce nadało zmizerowanej jej twarzy jakiś złotawy ton, oczy z wycieczek do parku zdawały się przynosić z sobą nieco błękitu i rozmarzenia.

Przyczyną tej dobroczynej odmiany był fakt zupełnie w naturze swej drobny i prosty.

Kiedyś, jadąc z rana powozem do swej ochronki, zwróciła uwagę na starszą jakąś jejmość w parafiańskiej kapotce na czubku głowy, prowadzącą za rączki dwa maleństwa. Buziaki malców uderzyły ją, jak coś bardzo jej znajomego.

Dziewczynka i chłopiec.

Janka o mało nie krzyknęła w głos. Były to dzieci Zdzitowieckiego.

Poznała je w mgnieniu oka. To one! Chłopiec niesie w siatce siostrzaną piłkę i wymachuje nią tak zaciekle, że aż gospośia musi go mitygować. Oczywiście, idą na ranny spacer. Dokąd? Musi dowiedzieć się za wszelką cenę. Pochyliła się ku woźnicy.

— Proszę zawrócić do domu. Zapomniałam pieniędzy, — rozkazuje krótko.

Powóz powoli zawraca. Janka ściga wzrokiem dzieci, które skręciły w Piękną. Minęły już wrota parku Ujazdowskiego, idą wdół. Tak, niewątpliwie: chodzą z pewnością do Agrykoli.

Teraz już jej nie ujdą. Baronowa postanawia zaraz od jutra rozpocząć kuracyjne spacer i naturalnie wyłącznie do parku sportowego.

W kilka dni później Janka z łakociami w torebce na przynętę gawędzi już w parku z rozbawioną dwójką. Jest w życzliwych stosunkach z gospośią, której wielce pochlebia przychyłność „prawdziwej” damy, przepadającej w sposób widoczny za jej małymi pupilami.

— Czyżże ty jesteś, maleńki? — pyta Janka chłopczyka, który już spałaszował sporą porcję szwajcarskiej czekolady.

— Ja, plosę pani, jezdem Staś tatusiów, a to jezd moja siostrzyczka, tyż tatusiowa.

— Biedactwa, matkę już zapomniały, — pochyliła się ku baronowej z ubolewaniem gospośia.

— A ja jestem Janusia, a to jest mój braciszek, tylko on jest bardzo roztrzepany i ja się muszę nim opiekować, bo jestem starsza, — dyga grzecznie dziewczuszka.

— Ty się wcale mną nie opiekujes, bo ja jezdem chłopiec. A jak ja urosnem, to bedem taki duzy, jak tatuś, a ty bedzies taka figa, o!

I pokazał tak małą figę, że ledwo koniuszeczek różowego paznokcia wyjrzał mu z piąstki.

— A, ty mały niegodziwcze! — roześmiała się

serdecznie baronowa. — Jak to można tak siostrzyczce przymawiać? Janusia też będzie duża, zobaczysz.

— Ale ja będę większy, pławda? — i zawczasu już mruga oczkami, żeby, broń Boże, nie było innej odpowiedzi.

Janka porwała go w objęcia i ucałowała gorąco w oba policzki.

— Będziesz większy, będziesz, mały spryciarzu. Będziesz taki, jak tatuś. A kochasz tatusia?

— Staś tatusia kocha, bardzo kocha. Tatuś doły, przynosi nam cukielki.

— Proszę pani, on tylko za cukierki.

Malec obraził się niesłuchanie, postawił okrutnego marsa i tupnął nóżką popędlawie.

— Nie mów tak! — krzyknął napół już z płaczem do siostry. — Staś tatusia kocha nie za cukielki.

— Jakiż to ojciec! — szepce do siebie w zdumieniu baronowa. — W każdym drgnieniu — tamten. Stasiu, nie trzeba płakać, — uspokaja chłopca. — Fe, wstyd, przecież ty jesteś mężczyzna.

Z buzi malca podkówka znika powoli, ale na siostrę patrzy jeszcze z pod oka.

— Bo ona tak na mnie mówi, — mruczy naburmuszony.

— No, widzisz, ale to twoja siostrzyczka. Nie powinienes się na nią gniewać. Ona nie chciała ci zrobić przykrości. Dajcie sobie buzi i niech będzie zgoda.

Mały już bez namysłu pada w objęcia siostrzyczki, całuje ją zamasyście aż do utraty tchu, a do-

konawszy wreszcie tego aktu pojednania, wraca ku Jance.

Jest teraz pompatyczny i szasta nogami.

— Ale ona jest dziewczucha, — zaznacza z lekceważeniem.

— — — — —
Z biegiem czasu przyjaźń baronowej z dziećmi zacieśnia się coraz bardziej. Spotykają się teraz codziennie, z chmarą innych dzieciaków bawią się z nią w budowanie mostu, w piłkę, w ciuciubabkę, w najniemożliwsze gry i tytułują poufale „ciocią“, co pozwala im już bez skrupułu sprzątać podwójne porcje czekolady i pierników.

Pewnego dnia dziewczuszka, powitawszy ją, — jak zazwyczaj, mocnem zawisnięciem na szyi, zerknęła na braciszka i wyrecytowała podstępnie.

— A tatuś to się kazał cioci Jani kłaniać i prosić, żeby ciocia nie dawała Stasiowi tyle pierników, bo on jest łakomy i wczoraj go brzusek bardzo bolał.

Staś wydał wargi z pogardą.

— O, ciociu, jak ona kłamie! To ją bzuch bolał. Ksycała tak, że nie wiem. Mnie nic nie bolało, ani tloche. Ona nawet piła olejek, a ja tylko stłonki. Taką helbatke bez cukru.

— Widzisz, jak się zdradziłeś. Twój brzusek był też nie w porządku.

— Ale to tylko tlosecke, — uniewinniał się, jak mógł.

— No, dobrze. Powiedzcie tatusiowi, że pierniczków już więcej nie będzie. Conajwyżej cukierki, takie ślazowe, na kaszel, — śmiała się baronowa.

— A cokolada tyz? — spytał przymilnie malec i zawstydzoną buzię ukrył czempredzej na kolanach Janki.

Baronowa przygarnęła go do piersi. Drugą dłonią w serdecznym uścisku przytuliła kędzierzawą główkę dziewczynki. Uczuła dziwną błogość macierzyńskiej jakiejś pociechy i łzy rozczulenia zaświeciły w jej oku. Miała wrażenie, że oto pomiędzy nią a Władkiem nawiązuje się jakiś niewidzialny węzeł...

Zrozumiała, że te maleńkie główki droższe jej teraz są ponad wszystko.

— — — — —
Pewnego dnia zatroskana Grabowska szczególnym jakimś zbiegiem okoliczności wstąpiła do pałacyku Janki w samo południe. Z przykrością dowiedziała się, że baronowej niema w domu.

— Jaśnie pani nigdyby teraz pani baronowej o tej porze nie zastała, — tłumaczyli jej garderobiana do spółki z kamerdynerem.

— A to dlaczego? Czy pani ma teraz tyle interesów zrana na mieście?

— O nie, pani baronowa chodzi stale o tej godzinie na spacer. Widocznie doktor to pani zalecił i bardzo, proszę pani generałowej, dobrze zrobił, bo nasza pani zupełnie już teraz inaczej wygląda.

— Zauważyłam, że jest teraz zdrowsza.

— Tak, proszę jaśnie pani. To wszystko było z tego, że nasza pani za wiele się poświęca, — strzygła chytrze biegającymi oczkami służąca.

— Wiem o tem. Pewno znów za dużo czasu pochłaniały jej te sieroty na Pradze.

— Ach, żeby to tylko sieroty, proszę pani, ale... mnie to aż serce pękało przez te dwa miesiące. Pani baronowa co drugi dzień regularnie całe wieczory się zapracowywała i wracała tak późno, a taka zmęczona!... Żal było patrzeć. Pewno znów to szukanie nędzy wyjątkowej po różnych norach, albo też jakie posiedzenia komitetowe. Na co to pani baronowej? Tylko choroba z tego i zmartwienie, nawet zarazę jaką można przynieść do domu.

— Hm, tak. Te komitety, — mruknęła niewyraźnie Grabowska. — Pewno znów ta zwarjowana hrabina coś wymyśliła.

— Ach, proszę jaśnie pani, — jęknęła boleściwie służąca. — Albo to my wiemy, gdzie i u kogo? Pani baronowa zawsze wychodzi sama i na piechotę, na taką flagę i błoto. Inne jaśnie panie tylko radzą, a od roboty to — zdaleka. Nasza pani baronowa stanowczo za dobre ma serce.

— Ale teraz, mówisz, pani już mniej pracuje?

— O, teraz to całkiem co innego. I wieczorami rzadko już pani baronowa wychodzi. Ja myślę, że to pewno doktor... Bo też i zmizerniała, biedaczka, aż myślałam: suchoty, czy co? Boże chroń, żeby w złą godzinę nie wymówić.

Od Janki generałowa, zamyślona głęboko, po-telepała się ostrożnie do Łęskiego.

Poeta, zauważywszy odrazu jej wyjątkowo posępna minę, powitał ją możliwie najpogodniej.

— Cóż to? Beatrice ma dziś, widzę, pochmurną. Wstyd, przyjaciółko, czy ci tak żal straconego tytułu ziemianki?

— Jakiej ziemianki? — zdziwiła się stara. — Co ty znów wygadujesz?

— To, co zaobserwowałem już oddawna. Straciłaś, generałowo, całą werwę, odkąd sprzedałaś swój majątek. Czyżby ceny znów poszły w górę?

— Dajże mi spokój. Zapomniałam już o tej całej historii. Kontenta jestem, że się to już skończyło.

— Nie mówiłaś mi jeszcze, przyjaciółko, w jakie ręce przeszły twoje dobra. Kto to kupił?

— Kto kupił, to kupił. W ręce bardzo przyzwoite i czyste — co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

— Czy to ktoś z bliskich znajomych baronowej?

— Nawet i tego nie umiałabym ci wytłumaczyć. Kupił niejaki pan Zdzitowiecki, dotychczasowy wieloletni dzierżawca. Janka go, zdaje się, знаła, ale musiało to być bardzo dawno. W każdym razie stosunków żadnych z sobą nie utrzymują i ten stary pan nie ma nawet pojęcia, od kogo i w jaki sposób dostał do rąk na własność taki szmat ziemi.

— Wiesz, chere amie, że to ciekawe, — zastanowił się Łęski.

— Takie sobie. Zapewne, czyni to ze strony Janki bardzo piękny, ale wygląda na jakiś nerwowy odruch. Tak, ni stąd ni zowąd, podarować komuś półtora tysiąca morgów ziemi tylko dlatego, że bardzoby mu się to przydało, — wyznam ci, nie widzę w tem nic mądrego. W ten sposób bardzo łatwo można rozdać cały majątek.

— Mnie się ta sprawa tak prosta i nielogiczna nie wydaje.

— Cóż ty w tem widzisz?

— Widzę jedynie to, że nie obyło się tu bez jakiejś głębszej, rzeczywistej przyczyny. Baronowa jest kobietą nadto rozsądną, by miała popełniać takie płaskie niedorzeczności.

— Nie rozumiem, jaka mogłaby tu być głębsza przyczyna?

— Nie wiemy tego oboje i wątpię, czy dowiedziemy się kiedykolwiek, droga moja. Według mnie, jest to jedna z nici, mających łączność z zagadką jej życia.

— Czy jesteś tego pewien?

— Opierając się na teorii prawdopodobieństwa, — najzupełniej.

— Przecież baronowa nie mogła się kochać w tym starym hreczkosieju. Tego we mnie nie wmówisz.

— A może przy tym starym był kiedyś i ktoś młody? Czy możesz ręczyć, przyjaciółko, że tak nie było?

Generałowa umilkła. Kojarzyła w swej starej głowie jakieś myśli, ale się z niemi nie zdradzała przed Łęskim.

— A jednak, to jest sprytny chłopak, — spojrzała nań z uznaniem. — Że też mnie, starej, która tyle w życiu widziałam, nic podobnego nie przyszło do głowy. Tępieję widać, tępieję coraz bardziej.

— Cóż tak dumas, generałowo? Niewesoło się bawisz u mnie, jak widzę.

— At, byłam dzisiaj u Janki, — machnęła ręką niechętnie.

— Skądże to rozgoryczenie?

— Nie zastałam jej. Była podobno w parku. Mimo to, zmartwiłam się ogromnie. Służba plotkuje, że Janka nadszarpnęła sobie zdrowie i nerwy zbytnią dobroczynnością. Podobno przez parę miesięcy po kilka razy w tygodniu znikwała z domu na całe wieczory. Garderobiana twierdzi, że to były z pewnością jakieś samarytańskie wędrówki lub posiedzenia, ale zastrzega się, że to tylko jej przypuszczenie. Ze słów jej wnoszę, iż Janka otacza się pewną tajemniczością, jakby coś ukrywała. Nic z tego nie rozumiem, — wzruszyła ramionami.

Łęski milczał. Między brwiami zarysowała mu się lekka zmarszczka.

— Co ty o tem sądzisz?

— Nic, kochana generałowo, — odparł wymijająco, unikając jej spojrzenia. — Przypuszczam, że służba ma rację. Baronowa istotnie wiele czyni dobrego, po cichu, unikając reklamy. W tym wypadku nie mamy prawa o niczem powątpiewać.

— Ja też dobrego serca jej nie odmawiam, tylko mi się to dziwnem wydało. Może zresztą masz rację. Przeczuliłam się w ostatnich czasach nie na żarty i najzwyczajniejsze rzeczy wyolbrzymiam. Całe szczęście, że się już te wędrówki podobno skończyły, bo to Janke niesłychanie wyczerpywało. Nikła wprost w oczach.

Łęski spoglądał przez okno, jakby się lękał wzroku Grabowskiej. Nie chciał się zdradzić, nie chciał w większy jeszcze niepokój pogrążyć swojej starej przyjaciółki.

Cóżby jej rzekł?

Czy to, że nie jedna tylko baronowa odbywała

samotne swe pielgrzymki w stronę ulicy Hożej? Czy miał wyznać, że od szeregu tygodni, gnębiony troską o Janke, stał się jej cieniem? Że od rozmowy z generałową, kiedy mu się wdarł w serce ów lęk bezgraniczny, myśl jego wciąż krążyła dokoła jej tragedji, wypędzając go z domu, tam — pod jej okna, na których jeno zrzadka ułoić mógł zarys nikły, odbicie głowy jej, głowy dumnej, głowy dzisiaj tak nisko schylonej boleścią.

Cóżby mu z tego przyszło, gdyby ból swój przeszczepił w serce tej dobrej staruszki? Czyby mniej przez to cierpiał?

XII.

Generalowa postanowiła nieodwołalnie zobaczyć się z Janką.

Utrapienia jej po rozmowie z Łęskim straciły wprawdzie na ostrości, lecz rozegrała się za to wyobraźnia. Polegając na zdaniu poety, gotowa była zgodzić się na zupełnie naturalne podłoże tajemniczych wycieczek baronowej. Natomiast myśl, że przeszłość Janki mogła okrywać sobą niewygasłe jeszcze uczucie do młodego Zdzitowieckiego, ekscytowała ją coraz silniej.

Cała historia z kupnem i sprzedażą Rokicin przedstawiała się teraz generalowej w zupełnie innym oświetleniu. Przypominała sobie obecnie różne, rzucane przez baronową, niewyraźne napozór półsłówka, jej maskowane zainteresowanie rodziną Zdzitowieckich — i hipoteza Łęskiego nabierała w jej oczach coraz więcej cech prawdopodobieństwa.

Stary pan Zdzitowiecki musiał być kiedyś bardzo pięknym mężczyzną. Jeżeli syn odziedziczył po nim tę samą postawę i wyrazistość spojrzenia, okraszona urokiem bujnej młodości, cóżby w tem było

dziwnego, jeśliby podbił serce Janki, młodej wówczas i niewątpliwie wrażliwej dziewczyny. Czyżby atoli sam nie umiał jej ocenić?

Grabowskiej trudno jest w to uwierzyć. Jest to dla niej jedyny i najważniejszy zarazem ciemny punkt w całym zagadnieniu.

I dlatego udaje się do Janki. Indagować jej, rzecz naturalna, nie będzie. Za wiele ma subtelności i kultury, by wydzierać tajemnicę, której sama Janka nie uważała za właściwe jej zawierzyć. Ma jednak to przeświadczenie, że od dziś patrzeć już będzie na baronową innem spojrzeniem. Wydaje jej się, że zdjęto jej z oczu jakąś przepaskę, że wzrok jej odzyska teraz dawną życiową przenikliwość i jasność widzenia. A może... może zreczniejszem słowem, sztuką, wiadomą tylko kobiecie, potrafi w duszy jej jakąś strunę, która odpowie dźwiękiem szczerego zwierzenia?

Grabowska jest prawie pewna, że zdołałaby jej zdjąć z serca niejedno gniotące brzemie, natchnąć otuchą, pokrzepić i dopomóc.

Przed pałacem baronowej stoi samochód.

— Doskonale! — myśli staruszka. — Przyszłam w samą porę. Jeszcze nie odjechała.

Spiesznie wchodzi na piętro. Ale w pół drogi widzi zbiegającą z góry Jankę, gotową już do wyjazdu, rozpromienioną, wesołą i jakby młodszą.

— Pani Henrjeto! A witajże mi! Jakże się cieśzę! Jak to przemiło z twojej strony, że sobie o mnie przypomniałaś.

— Ale ty, Jeanne, wyjeżdżasz? Ja ci może przeszkadzam?

— Ty, mnie? Generałowo, skąd ta ceremonjalność? Właśnie, dobrze się składa, dzień śliczny, wiosna już, słońce! Pojedziesz ze mną na spacer, prawda? Nie chcę słyszeć o żadnej opozycji. Potem wrócimy razem na śniadanie. Nie masz pojęcia, jak cudownie jest w Agrykoli. Drzewa w pąkach, moc kwiatów, ptactwo. Człowiek czuje się młodszy, zdrowszy. Chodź, droga moja, siadamy. Już jest późno, — spojrzała na zegarek. — Antoni, czy paczki są na dole? To doskonale, proszę je zanieść szoferowi.

Grabowska była zdumiona i zachwycona. Nie mogła poznać baronowej. To stanowczo nie było zgorączkowanie istoty chorej; z całej postaci Janki tryskała miękłamana radość życia i zwycięstwo niezużytej młodości.

Siadły do samochodu.

— Pojedziemy najpierw do Agrykoli na małą chwilę, a potem za miasto. Albo może do parku Skaryszewskiego? Tam jest też precudownie. To jeden z najpiękniejszych w Warszawie zakątków. Na szczęście — mało znany i dlatego jest tam jeszcze tak przyjemnie.

— Cóż to? Sprawunki wieszysz z sobą?

— Ach, Boże drogi! Tylko nie śmieć się ze mnie, moja droga. Wyobraź sobie, dziecinnieję. Doprawdy. Zaprzyjaźniłam się z parą przemiłych malców i chce im dzisiaj sprawić uciechę. To są zabawki. Dla dziewczynki angielska laleczka z warkoczami do splewania, a dla chłopca pajac. Żebyś wiedziała, jaki zabawny!

— Chłopiec? — spytała generałowa.

— Nie, pajac. Śmieszny ogromnie i cały obszyty dzwonekami. O, słyszysz, nawet przez papier brzęczą. Ale i chłopcu nic nie brak. Urwis niesłychany, a przytem — przylepka jednocześnie. Ma szósty roczek. Zaraz go poznasz. Poprostu, dumna jestem z tego baka.

Samochód zatrzymał się przed bramą parku. Wsiadły i spadziłą aleją podążyły w głąb. Jance spieszyło się w sposób oczywisty. Przynaglała generałową, zachwycając się naprzemiany młodą zielenią rozwijających się pąków na krzewach.

— O, widzisz! — zwracała uwagę staruszki. — Tam, nieco dalej, na tamtych ławeczkach zwykle siadują. Przychodzą tu codziennie ze starą gospożą. Są, są! Bawią się maleństwa, chodźmy prędzej. Staś znów biega bez czapeczki. Co za nieusłuchany chłopiec!

Tymczasem dzieci zauważyły ją już zdaleka i rozpoczęły wyścigową gonitwę na powitanie.

— Ciocia! Ciocia! — dzwoniły radosne głosiki.

— Stasiu! Pomału, przewrócisz się! Nie biegajże tak prędko, bo guza sobie, biedaku, nabijesz! — wołała, śmiejąc się, baronowa i otworzyła ramiona, w które malec wpadł, jak kula armatnia, zadyszany i triumfujący. Był pierwszy! Ale dziewczuszka była także już u mety i przyciskała teraz mocno buzię swą do policzków „cioci“.

— Pobrudzą ją smarkacze. Głowę urwą! — mamrotała zgorzonna generałowa.

Swoją drogą, by nie zrobić Jance przykrości, przywitała dzieci bardzo uprzejmie i pochwaliła każde z osobna.

— A to kto jest, ta pani? — pytał malec, wskazując palcem prosto w nos generałowej.

— To też ciocia! — uśmiechnęła się Janka.

— Ee... nie! — potrząsnął główką chłopczyk. — To nie jest żadna ciocia. To chyba babcia. Taka stara...

— A to dopiero mały niegodziwiec! — obruszyła się Grabowska. — Babcią mnie zrobił. Któż ci to mówił, że ja jestem stara?

Mały przyjrzał się jej uważnie.

— A bo jesteś! — potwierdził z przekonaniem.

— Ale powiedzże, dlaczego? Co ty we mnie widzisz starego? Właśnie, że jestem młoda.

— A nie! — nasrożył się, — bo ty... ty (szukał w myśli), bo ty mas siwe włosy i ...i duży nos i głuba jesteś... taka, o!

Wsparł się w bok łapiętami i pokazał pękaty „samowarek“.

— Dziecko! A cóż z ciebie za impertynent, na co ty wyrośniesz? — przeraziła się generałowa.

Widząc jednak, że Janka zaśmiewa się, dała pokój oburzeniu i pogłaskała malca po główce.

— Masz rację, bąku, babcia już ze mnie i stary grat. Ale usiądźmy gdzie, bo mnie już nogi bołą. Zmęczyłam się tem leceniem na złamanie karku od bramy.

Wkrótce na ławce rozsiadło się całe towarzystwo. Janka, zapomniawszy narazie o przygotowanych prezentach, położyła je obok siebie, ale dzieci z nich oczu nie spuszczały.

Wreszcie Staś nie wytrzymał.

— Ciociu, a co tam jest?

— Jak będziesz grzeczny, to ci powiem.

— Cy ja byłem niegrzeczny?

— Naturalnie! Powiedziałeś tej pani, że jest gruba i że ma duży nos, a to nieładnie. Przyjrzyj się jeszcze raz i przeproś!

Chłopiec spojrzał najpierw raz jeszcze na tajemnicze pakunki, potem na generałową, potem znów na paczki i uśmiechnął się do Janki porozumiewawczo.

— Nie, ciociu. Ta babcia wcale nie jest głuba. Ona jest tylko taka... tłusta. I noska nie ma dużego. Ma taki, jak u Stasia.

— Świat się kończy! — zawołała staruszka. — Co to za sprytny bąk. A chodźże tu, mały dyplomato, niech cię ucałuje.

Staś uściskał ją zamasyście, włożył na kolana i, zezując ku ławce, z tajemniczą minką szepnął do ucha:

— Babciu, a co tam jest?

Kiedy wreszcie zawartość pudełek w całej świetności swej ukazała się oczom ciekawskich, uczynił się taki pisk i zamieszanie, że generałowa musiała zasłonić uszy w obawie, że do reszty ogłuchnie.

— O, Boże! Dziękuję Ci, że nie mam dzieci! — westchnęła z komicznym patosem.

Szczęściem, nikt tego głosu serca nie posłyszał, bo Janka biegła już z dziećmi w głąb parku na zabawę. Staś chciał koniecznie nauczyć pajaca chodzić, a tymczasem trząsł nim i jego dzwonekami, jak opętany.

„Krótka“ zabawa przeciągnęła się przeszło go-

dzinę. Grabowska zziębła już i przysięgała w duchu, że dostanie kataru i chrypki, gdy wreszcie spostrzegła powracającą z dziećmi Jankę, zarumienioną, z potarganymi włosami i piaskiem na kostjumie.

— Co za przyjemność, doprawdy? — pomrukiwała stara. — Za złote góry nigdybym się na taką zabawę nie zgodziła. No, chyba już pojedziemy? — zwróciła się do baronowej.

— Już, już. Nie gniewaj się na mnie, kochana. Pewno się wynudziłaś, ale tu przecież tak ładnie, a przytem od tych utrapieńców nie sposób się oderwać.

Lecz, zamiast się „odrywać“, sama utrapieńców przygarniała, jakby jej trudno było rozstać się z niemi.

Jadąc przez miasto w drodze do parku Skaryszewskiego, generałowa ani na chwilę nie spuszczała oka ze swej towarzyszki. Widziała w twarzy jej nigdy jeszcze nieogładane rozpromienienie i taką pogodę, jakby z Agrykoli zabrała z sobą blask słońca i dzieciaków słodką beztroskę.

Nie mówiły do siebie prawie przez całą drogę. Janka bujała myślą gdzieś bardzo daleko, a Grabowska nie przerywała obserwacji. Dopiero na Pradze, gdy samochód skręcił już w aleje parkowe, stara zdecydowała się przerwać milczenie.

— Powiedz mi, Jeanne, — patrzyła w nią pilnie, — czyje to dzieci?

Można było pomyśleć, że baronową ktoś nie spodzianie obudził ze snu. Pobladła lekko, ale głosem równym odpowiedziała:

— To są dzieci... profesora Zdzitowieckiego.

Grabowska spoważniała.

— Czy ty się z nim widzisz? — rzuciła ciszej.

— Nie. Nie widziałam go lata całe.

— A więc znajomość twoja z dziećmi jest tylko... przypadkowa?

— Prawie.

— Czy on wie o tem?

— Nie. Dzieci nie znają mego nazwiska.

Umilkły. Pojazd toczył się wzdłuż wspaniałych szpalerów świerków srebrzystych. W parku była cisza i spokój pogodnej wiosny.

Myśl Grabowskiej pracowała ciężko. Widziała zgaszoną teraz twarz Janki i nie wiedziała, co począć.

— Janko, — spytała wreszcie ze drżeniem, — czy ty go bardzo kochałaś?

— Kogo? — podniosła oczy niespokojnie baronowa.

— Wiesz przecie: młodego pana Zdzitowieckiego.

Z ust baronowej wyrwał się suchy urywany śmiech.

— Przyjaciółko! — rzuciła nienaturalnie. — Jakże dziwne zadajesz mi pytanie...

— Dlaczego — dziwne?

Janka zwróciła się ku niej i spojrzała staruszce prosto w oczy.

— Żyłas długo, pani Henrjeto, ale zdaje mi się, że nie znasz życia zupełnie.

— Ja? Nie znam życia? Skąd ta myśl?

— Zaraz się dowiesz, ale powiedz mi wpraw, co ty nazywasz miłością?

— No, miłość, to jest... miłość! — zakłopotana się stara.

— Tak, miłość! — podjęła z ogniem baronowa. — Określiłaś to dziwnie trafnie, nad wyraz trafnie. Ani wiesz, jaką prawdę ujęłaś w te słowa mimowoli. Miłość — to miłość. I nic więcej. To nie obłuda, nie omamienie zmysłów, nie sugestia, nie podłe namietnostki i kompromisy, to tylko i tylko miłość. Czy miłość taka, zdaniem twojem, umiera kiedykolwiek?

— Bo ja wiem? — zmieszała się staruszka. — To dla mnie rzeczy nazbyt karkołomne. Nie zastanawiałam się nad tem nigdy.

— Nie znasz więc życia, przyjaciółko, a raczej oszczędziło ci ono poznawania tej prawdy. Miłości zabić nie można. Przez całe lata można walczyć z nią, można wyrzucać ją za nawias swego życia, deptać nieodwołalnie i szaleńczo, a ona... zawsze zwycięży. Powróci znów, jeno inna: okrutna i mściwa.

— Boże drogi! — krzyknęła z przerażeniem staruszka. — Janko, ty cierpisz?!

Baronowa przymknęła oczy, opadła bezwładnie na poduszki oparcia i pobladłemi wargami wyszeptała niewyraźnie:

— Cierpię... cierpię okrutnie. Już mi sił nie staje.

XIII.

Z początkiem czerwca baronową spotkała wielka przykrość. Poczuli się znów, jak dawniej, samotną i opuszczoną. Dzieci wyjechały na wieś.

Skończyły się więc jej spacer, jej radość dnia i trosk wszelkich dziecięce zapomnienie. Przestała się duchem kapać w tej wartkiej fali młodości i swawoli, w tem słodkiem omamieniu uczuć matki, przytulającej do piersi małe kochane główki.

Wyjechały niedaleko wprawdzie, nie do Rokicin, jak zamierzano pierwotnie, lecz na jedno z podwarszawskich lotnisk, ale Janka nie miała odwagi ich tam odwiedzać. Zdawała sobie dobrze sprawę, że byłoby to szaleństwem. Tak łatwo przecie mogła tam spotkać Władka, a wtedy...

Spotkania tego w gruncie rzeczy pragnęła, bo wyrwała jej się doń przecie cała dusza, ale nie czuła się jeszcze na nie przygotowaną. Wiedziała, że w takiej chwili musi być silną, bo inaczej... serceby w niej pękło, nakształt strun, uderzonych zbyt silnie ręką czyjaś niewprawną i brutalną.

Dzieci nie pojechały w tym roku do dziadka.

Zmiana ustalonego oddawna projektu nastąpiła pod wpływem wypadków politycznych. Zbyt duża odległość rozdziału pomiędzy ojcem a dziećmi stawiała się ryzykowną.

Atmosfera poczyniała być duszna i niepokojąca. U wschodnich granic państwa gromadziły się chmury groźne, złowrogie. Nad Polską biegły z nich pierwsze, niewyraźne jeszcze pomruki burzy dziejowej, brzemiennej grozą wojny i zniszczenia, nieprzewidzianej w skutkach, nieodgadnionej w obrocie wydarzeń.

Wiosna roku 1920-go, po szeregu olśniewających zwycięstw, po brawurowym raidzie polskim na Kijów i Ukrainę, odwróciła koło fortuny. Wadliwa organizacja, brak rezerw, nieprzygotowanie stanowisk obronnych, niedostateczny wywiad o sile i zamiarach nieprzyjaciela — wszystko złożyło się na to, by wykazać lekkomyślność wojennych koncepcji, niestety, po niewczasie.

Front polski załamał się. Na młode, z wiarą i entuzjazmem, ale w trudnych warunkach budujące się państwo, runęły półdzikie, głodne krwi hordy, posypało się azjatyckie robactwo zniszczenia, zegnane z wielkich równin dawnego imperjum, pozbierane z dziesiątka rozlicznych narodów, pod jednym hasłem:

— Naprzód! Na Polskę, na Warszawę!

Nieprzeliczone te szeregi ożywiał duch wyjątkowo zgodny i jednaki. Nie hasło patriotyzmu, obce im od kolebki, nie idea sowiecka, znienawidzona lub niezrozumiała, — ale duch zła i ciemnoty, hasło rabunku i mordowania, wszechogarniające pragnienie dawno nieodczuwanej sytości.

To walczył, zmagał się i parł naprzód. Wielki Cham, szło, jak lawina, przez wojnę długotrwałą z pięć wyjarzmione zwierzę ludzkie, szalał szatan zniszczenia i ruiny.

I rozpoczął się ów tragiczny, mało znajdujący w dziejach przykładów — odwrót polski. Odwrót bolesny, niekiedy beznadziejny, chwilami bohaterski w odporze, przenoszącym wielokroć miarę sił i prawdopodobieństwa.

Błędy mściły się, oparcia brakło. Ale ustępowano krok po kroku, broniąc się bezładowi ucieczki i pogromu, wysiłek dając z siebie nadludzki i ścieląc pola trupem rzesistym, nieodżałowanym.

Przez kraj — od krańców aż po krańce — przebiegł dreszcz wstrząsu. Głoszone i zacierane starannie echa szły z ust do ust, podawano je sobie szeptem, z niedowierzaniem i trwogą. Jeszcze wieściom tym nie dawano wiary. Jeszcze chciano w tem widzieć manewr strategiczny, przemijający epizod niepowodzeń. Jeszcze prasa tu i tam uderzała w fałszywą strunę źle nastrojonej lutni... aż wreszcie:

— Chcemy prawdy! — zawołał powszechny głos.

I jakby po zbudzeniu z złudnych snów, jak na znak, dawno czekany, ze wszystkich piersi bucha jeden i ten sam głośny, okrutny krzyk grozy:

— Do broni! Wróg u proga!

Biją dzwony na trwogę, grają pobudki, zaciśkają się pięście żyłaste, z rozognionych oczu chłopiat nieletnich padają błyskawice, usta w gorące zapалу wołają:

— Nie damy!

— — — — —
Niema i pewno nie będzie wśród ludzkich porównań wartości równie świętej i równie promiennej, jak owa tak radośnie i tak bohatersko na stos ofiarny rzucona dzieci polskich hekatomba.
— — — — —

Jankę ogarniał lęk.

Nie telegramy z placu boju przerażały ją, nie plotki nawet, skwapliwie znoszone przez służbę. Lęk jej rodził się z wewnętrznej nieodgadnionej fali złych przeczuć. Intuicją kobiecą wyczuwała w otaczającej ją atmosferze niepokojące drgania i wstrząsy. Siecią napiętych nerwów czekała nadejścia jakiejś fatalnej w skutkach nawałnicy, nie umiając sobie dokładnie uprzytomnić, jaka będzie istota tej katastrofy i czy uderzy ona ciosem tylko w nią, czy też będzie kataklizmem powszechnym.

Nerwowość jej dosięgła stanu takiego przeczulenia, że żyła w ustawicznej trwodze, pytając samą siebie każdego dnia, co ją dziś spotka, drżąc na każdy niespodziany ruch i odgłos. To wyczekiwanie złej wieści i ciągle czyhającego niebezpieczeństwa wytworzyło w umyśle jej istną psychozę.

Były dnie, że lękała się wyjść z swego pokoju, były inne, że ledwo miała czas na posiłek, cały dzień spędzając na mieście, lub w mieszkaniu Zochy Malewskiej.

Wolałaby postokroć znać oblicze zawieszanej nad nią nieznanego gróźby. Była pewna, że staćby ją było na stawienie jej czoła. Zawsze od-

ważna i dzielna, nie lękała się nigdy niczego. Niezwiązana ze światem żadną trwalszą nicią, chełpiła się wszak nieraz, że byłaby napewno mężnym żołnierzem, bo śmierci w oczy umiałaby spojrzeć bez żalu. Niepewność jednak, nieuświadomienie o tem, co przyjdzie ma i przyjdzie z pewnością, strawiły w niej hart i odporność.

Pewnego wieczora o dość późnej godzinie, prawdopodobnie koło dziewiątej, gdy już zmrok pozwalał na obserwację mieszkania Zdzitowieckiego, Janka była na swoim stanowisku.

Wiedziała, że o tej porze Władek zazwyczaj rozpoczyna pracę. Nie widziała go już pięć dni. Widok jego uspakajał ją teraz. Rozdygotane nerwy przychodziły do względnej równowagi w poczuciu obecności tej silnej, skoncentrowanej w wyrazie oczu woli męskiej.

Baronowej wydawało się w takich chwilach, że, oto, jest z nim razem, że przy Władku nic jej przecież nie grozi, bo on zawsze będzie ją umiał obronić. On — taki silny, mocny.

W mieszkaniu naprzeciw — cisza. Okna otwarte, ale ciemne, bez światła. Pokój dziecienny opustoszał. Niema w nim tego ruchu i krzątania wesołej, jak poprzednio. Jest tylko stara gosposia. Dzieci są na wsi pod inną opieką.

Władka długo dziś nie widać. Czemu się tak opóźnia? Może go zatrzymały jakie egzaminy lub kollokwja? Wszak to już koniec roku.

Zaraz! Już przyszedł! Nie, — to gosposia; zapala w gabinecie światło i kładzie mu na biurko ga-

zety. Ależ jest, jest i Władek! Widzi dokładnie jego głowę. Rozmawia. Teraz już zbliża się do okna.

Jaki on dziwny... Boże, co to jest?!

Z ręk baronowej lornetka pada na parapet okienny i z hałasem toczy się na podłogę. Nie ma nawet siły jej podnieść. Przemyka oczy, nie patrzy już, błędnie i ślania się.

Nie omyliła się. Widziała aż nadto dobrze. Władek... jej Władek stoi tam... w uniformie wojskowym.

Więc... stało się. Z nieodgadnionej chmury padł grom.

Czy ją złamał?

Nie. Otrząsa czoło jakby z dręczącego ją kosmaru i mówi sobie wyraźnie, że ...będzie silna. Czuje nadto, że jej godzina — fatalna, czy błogosławiona — wybiła już, a ona się jej nie uleknie. Nie jest wszak lalką z wosku. Będzie walczyć. Może zwycięży, może się zmęć pozwoli, ale się nie cofnie.

Po raz ostatni spogląda w jego okna.

— Zobaczymy się, Władku, — mówi cicho.

— — — — —
Tego jeszcze wieczora baronowa, zamknawszy się w swym gabinecie, telefonowała po wielokroć i wciąż bezskutecznie do uniwersytetu, do szeregu szpitali wojskowych, a nawet do władz ministerjalnych. Nigdzie nie umiano jej poinformować.

Wczesnym rankiem, jeszcze przed ósmą, wyszła już na miasto. Zdecydowała się bodaj wypytać stróża, przekupić go, byle tylko stłumić drażniący ją niepokój niepewności.

Na Hożej, tuż koło celu swej wycieczki, ba-

ronowa przystała nagle, jakby je siły odmówiły posłuszeństwa i słabą dłonią oparła się o balustradę sklepowej wystawy. Zauważyła ruszającą z przed kamienicy dorożkę, w której siedział profesor Zdzitowiecki.

Poznała go odrazu. Był jakby podniecony, czy przejęty pracą nowego pola działalności.

Dorożka minęła ją szybko i znikła u zakrętu w ulicę Marszałkowską. Baronowej starczyło ledwo czasu, by się przekonać, że w dorożce nie było żadnych pakunków.

— A więc nie wyjeżdża, — odetchnęła z ulgą głęboko.

Odzyskała znów utraconą energję. Idzie dalej. Nie zastanawiając się dłużej, mija sieni kamienicy, w której mieszka Zdzitowiecki i krokiem pewnym wchodzi na pierwsze piętro. Czyta kartę na drzwiach.

— To tu!

Czuje lekki dreszcz w całym ciele, lecz dzwoni. Drzwi uchylają się zwolna i poprzez łańcuch spogląda znajoma twarz gospośi.

— Boże, toż to pani! I o tej porze. Zaraz otwieram, proszę. Czy czasem nie stało się coś złego?

— Nie, moja dobra gospośiu! — stara się mówić możliwie najspokojniej baronowa. — Przechodzę tedy i wstąpiłam zapytać się, co porabiają dzieciaki. Proszę się ze mnie nie śmiać, ale pani wie, jak bardzo się do nich przywiązałam. Przytem czasy tak niespokojne... Niech mi pani powie o nich cokolwiek.

— Mój Boże! — rozrzewniła się na serjo gospośia. — To aż przyjemnie słuchać! Ludzi z sercem,

jak pani, mało już na świecie. Ale też i dzieciaki, ludzkie przechodzi pojęcie, jak są do pani przywiązane. Nic, tylko: ciocia i ciocia. Wciąż się o panią pytają.

— Czy aby zdrowe?

— Chwalić Boga, jak najzdrowsze. Stasiowi pysie urosły, Jania opalona, jak kozak. Byłam u nich we czwartek. To przecież niedaleko — w Skolimowie. Ojciec też do nich wpada, jak tylko może, choć teraz taki jest zapracowany, że nie wiem, skąd się w nim to wytrwanie bierze. Ale my tak — w przedpokoju, niechże pani pozwoli choćby do gabinetu. Pana niema, wyjechał przed chwileczką.

— Pewno do kliniki? — sonduje Janka.

— Gdzie tam, paniusieczku! — wstrząsnęła głową stara. — Gdzie tam już klinika. Pan profesor, jak się na co urweźmie, to darmo, niczem nie wytłumaczy. Jak postanowił pójść do wojska, tak już od poniedziałku jest w mundurze, oficerem niby, doktorem — i teraz wciąż od rana aż do nocy tylko w szpitalu i w szpitalu. Rannych zwożą podobno całe po-ciagi, to i nie dziwota.

— Ale na front nie wyjeżdża?

— Mówi, że, jak go wyślą, to pojedzie. Bo to jest, proszę pani, chirurg, a taki na pozycji przecie najpotrzebniejszy. Boże, nie daj tylko nieszczęścia, bo toby była szkoda, że nie opowiedzieć. To wyjątkowy pan. Co za ojciec, co za człowiek! Mało mówi, ale bardzo dobry. A i dzieci by żał, bo to i tak... sierotki.

Janka milczy. Pogubiła gdzieś w myśli wszy-

stkie słowa, rozpierzchły jej się, nie umie ich odnaleźć i powiązać.

Stara czeka końca wizyty, a tymczasem przygląda jej się z uwagą i głową trzęsie.

— Ale co paniusieczka podobna, to podobna. Tylko, za przeproszeniem, może starsza, a może poważniejsza. Dzieci to wciąż, tylko wcisną się do gabinetu ojca, zaraz, żeby im ciocię pokazać.

— Podobna jestem? — ocknęła się baronowa. — Do kogóż to, gospośiu?

— A tu jest, proszę pani, taka fotografia, co leży zawsze w teczce panowej między papierami. Pan jej nie trzyma w albumie, bo często widać ogląda.

— Fotografia? Czyja? — pyta Janka z niejasnym jeszcze niepokojem.

— Kuzynki naszego pana, czy znajomej. Muszę to nawet paniusi pokazać, bo aż dziw, jakie podobieństwo.

Gospośia szpera w papierach, odnajduje karton z fotografią i podaje gościowi.

Janka stara się, by jej palce nie drżały. Ogląda własną fotografię z przed lat siedmiu, jeszcze z czasów panieńskich. Zdjęcie, wykonane na krótko przed jej małżeństwem z Inbornem, a więc w kilka lat po zerwaniu z Władkiem.

W kilka lat... Wówczas, gdy nie istniała już między nimi żadna nić wspólna, gdy dzieliła ich przepaść krzywdy i niepamięci.

Skąd tu... ta fotografia? Co to znaczy?

Baronowa lęka się hipotez i boi się myśleć o tem. Ale pierś jej ogarnia wzruszenie. Nieśmiały błysk nadziei przenika nawskroś.

— Podobna?! — mówi półgłosem. — Rzeczywiście, ogromne podobieństwo. Ale to osoba, znacznie ode mnie młodsza.

— O, tak, proszę pani. Ona tak młodo umarła!

— Umarła?

— O, już dawno umarła, biedaczka.

— Kto to powiedział!?! — porywa się Janka.
— Dlaczego?

— Bo ja wiem, proszę pani. Pewno już takie było przeznaczenie. Boży dopust. Ale paniusi coś jest? Czy nie słabo?

— Nie, nie! — uśmiecha się baronowa z przymusem. — Zdaje się pani. Jestem zupełnie zdrowa.

— — — — —

Obszerna poczekalnia jednego z szpitali miejskich, oddanych na potrzeby armii, wypełniona jest szczelnie.

Pełno tu osób z różnych sfer, różnego wieku i płci, choć przeważają kobiety. Na twarzach — wyraz zgnębienia, powagi i ciszy. Wiele osób przyszło dowiedzieć się o stan zdrowia rannego, który im jest bliski, wiele, by zgłosić swoją gotowość współpracy, niejedna z matek tuła się u tych progów w nadziei, że może... może zrzadzeniem cudu dowie się coś o swym chłopcu.... Może przywiezie go nowy transport rannych... Bodajby! Z radością powitałaby go nawet krwią zbroczonego, z oczyma mdlejącymi cierpieniem, bo... Tyle tygodni, jak przepadł bez wieści...

Wiele pań czeka kolejki przyjąć u dyżurnego lekarza. Należą do stowarzyszeń kobiecych, pełniących służbę sanitarną na dworcach. Odbierają tu dy-

rektywy wyjazdów, nowe zlecenia i wskazówki. Inne zgłaszają się samorzutnie, jako pielęgnarki, kładą w ofierze skromne godziny odpoczynku po zmudnej pracy na chleb powszedni.

Z gabinetu lekarza wychodzi właśnie delegacja grupy niewiast, które własnymi środkami zorganizowały mały lazaret i oddały go przed chwilą do dyspozycji władz wojskowych.

Kobieta polska w miarę sił i środków, wielokrotnie ponad miarę, składa swój egzamin przed społeczeństwem.

W sali zaległ już mrok. Zapalono światła.

Do pokoju pełniącego służbę lekarza wciskają się raz wraz jakieś postacie, zapraszane milczącym skinieniem sanitariusza. Siedzący mówią do siebie szeptem, dzieląc się z rezygnacją chlebem swych trosk różnorodnych.

Z otwartych na korytarz drzwi dobiega nowy zgiełk, odgłos pośpiesznych kroków....

Znów transport rannych przywieziono z dworca wschodniego.

Kilka osób podnosi się z krzeseł i zbliża ciekawie ku drzwiom.

Na małych noszach polowych sanitariusze i siostry miłosierdzia dźwigają sprawnie długim milczącym szeregiem ludzkie skurczone jakieś kształty. Z pod szarej derki wyziera tu i owdzie w bandaż spowinięta bezwładna głowa, sztywny kikut związanej pierwszym opatrunkiem nogi lub ramienia, albo twarz blada i bezsilna, wyssana, zda się, z wszystkiej krwi i zastygła w omdleniu.

Pod ścianą, zgaszona i apatyczna, od trzech już

godzin siedzi Janka. Kilkakroć już ustępowała miejsca innym, rezygnując z nadchodzącej kolei, jakby w ostatniej chwili zabrakło jej sił, by wstać z miejsca.

Na długi korowód niesionych korytarzem żołnierzy nie patrzy już. W ciągu spędzonych tu paru godzin widziała to już sześć razy.

Czuje, że z każdą chwilą coraz słabnie, że odwaga i siła stanowczości, z jaką tu szła, kruszy się w niej nieodwołalnie. Prostuje się jednak. Tak być nie może. Trzeba z tem raz już skończyć. Jeśli się cofnie dziś, wróci napewno jutro. Więc?...

Żołnierz pochyla się nad nią i mówi półgłosem:

— Teraz znów pani kolej. Niech pani nie czeka — tamtym paniom nie pilno.

— Dziękuję! — odpowiedziała machinalnie, powstając.

Widocznie podniecenie nerwowe ożywiło ją znowu, bo śmiało ujmując za kłamekę i wchodzi do gabinetu lekarza.

W dużym pokoju był półmrok. Nad stojącym w głębi biurkiem płonęła jedna lampa z zielonym szklanym kloszem i mały tylko krąg światła padał na głowę siedzącego nad stołem papierów profesora Zdzitowieckiego. Czytał coś. Prawdopodobnie jeden z licznych, dopiero co złożonych memoriałów, lub prośbę domorosłej sanitariuszki.

Szelest kobiecych sukien zwrócił jego uwagę na obecną. Odłożył na bok papiery i spojrzał na rysującą się przed nim postać.

— Czem mogę służyć? — padło stereotypowe pytanie.

Baronowa z wolna podniosła woal i patrzyła w milczeniu w jego oczy.

Zdzitowiecki poznał ją. Twarz mu pobladła, wstał i dłonią przesunął po czole.

— Pani tu? — powiedział prawie szeptem.

Milczała.

Twarz lekarza zmartwiała jeszcze bardziej. Rysy skrzepły, głos stał się suchy i świszczący.

— Czy to... spotkanie przypadkowe? — zapytał.

— Nie!

Zdzitowiecki znów przesunął ręką po skroniach.

— Myślałem... — szepnął, — myślałem, że... oszczędzimy sobie tej obustronnej przykrości.

Janka spuściła oczy. W piersi poczuła drgnienie bólu.

Długą chwilę trwało ciężkie, drepczące milczenie.

— Czy... czy pani ma mi coś do powiedzenia?

— powiedział ledwie dosłyszalnym głosem Zdzitowiecki.

Baronowa podniosła nań oczy ciche i pełne łez. Rece jej odruchowo wyciągnęły się, nieśmiało i drżące.

— Władku!... — zadrgały jej wargi. — Władku!

Uderzył ją wzrok pytający i zdumiony.

— Przebacz!... — wyłkała.

Zdzitowiecki zachwiał się i oparł o biurko.

— Doprawdy.. — nie wiem, w jakim celu... Po co to wszystko?

— Przebacz mi, Władku! — poczęła rzucać zduszonym, urywanym głosem. — Wyrządziłam ci krzywdę, popełniłam błąd straszny, który się na mnie mści wciąż... bez przerwy. Siebie samą ukara-

łam już najboleśniej. Przyszłam ci powiedzieć, że...
dłużej tak żyć już nie mogę, że....

— I co więcej?

— Że ciebie zawsze, zawsze nad wszystko kochałam....

— A... kiedy się pani o tem... dowiedziała?

— O, nie mów, — tego nie mów! — rzuciła z bólem. — Ja wiem, co chcesz mi powiedzieć. Powiesz mi, że przekonałam się o tem zapóźno. Władku! tego wyrazu nie wymawiajmy nigdy. To straszne słowo, szatańskie... Przebac mi i zapomnij. Ty przecież... ty nie mogłeś wyrzucić mnie z serca na zawsze.

Twarz jego blada, jak płótno, zadrgała dziwną mieszaniną uczuć. Przebiegały ją jakieś błyski, przez pierś szły szamotania wewnętrzne, krótkie, dławione siłą nadludzka.

Przez moment zdało się, że go zmoęły. Spojrzał w jej oczy i źrenice przesłoniła mu mgła, rzewna jakaś i miękka. Powieki opadły mu bezsilne i zastygły tak w bezruchu.

Po twarzy Janki ciekły łzy. Upragnienie szczęścia, przeżyte piekło tęsknoty i udręczeń, drgnienia nadziei wstrząsały całym jej ciałem. Z dłońmi wyciągniętymi stała przed nim pokorna i prosząca.

Zdzitowiecki podniósł wreszcie spuszczone powieki. Wzrok jego padł na tych dwoje rąk błagających i... cały drgnął z nagłą, jakby dotknięty galwanicznym prądem. Wyprostował się. Zły, nawskroś gorzki uśmiech wykrzywił mu usta.

— Czy dlatego... ażeby mi to powiedzieć, włożyła pani na palce te przebogie klejnoty? Czy to

już wszystkie, czy... czy ma ich pani jeszcze znacznie więcej w swym pałacu? — roześmiał się szyderczo.

Baronowa zachwiała się.

— Władku, co mówisz?! — krzyknęła z trwogą. — Władku!

On jednak nie mógł już pohamować tłumionego od lat rozgoryczenia. Poprzez leżące na biurku papiery pochylił się ku jej złamanej bólem postaci i słowa, jak kamienie, padały z jego ust z zapamiętaniem.

— Wzgardziłaś mną, rzuciłaś precz, bom był nędzarz... Bo dla twej pychy robak byłem, za marny, za przyziemny. Bo wiedziałaś, że nie dam ci królowania, zaszczytów... A teraz przyszłaś tu — poco? Aby mi duszę skrwawić znów, bogactwem swem zaimponować, kupić może, jak sprzęt, — tak, jak ciebie kupiono? Pogardzam tobą, pogardzam! Słyszysz!

Janka jednak nie słyszała reszty tych słów okrutnych. Uderzyły w nią, jak obuchem, zmiażdżyły duszę i serce. Wstrząsana jakąś konwulsją grozy, padła na fotel.

— Litości, litości...

Zmitygował się. Gniew, ból i popędliwość wrodzona miotały nim jeszcze, ale górę brało opamiętanie.

— Przepraszam! — szepnął łagodnie. -- Przepraszam bardzo. Zapomniałem się. Proszę mi wybaczyć. Niechaj się pani uspokoi. Ja pani... przyślę lekarza. Dla mnie też... było to... nazbyt bolesne.

Krokiem ciężkim, zgaszony, jakby mu wiele lat

przybyło, profesor Zdzitowiecki skierował się ku wyjściu.

— — — — —
Ocknęła się w chwili, gdy ktoś ją trzymał za rękę, badając puls. Pochyliła się nad nią twarz starszego już mężczyzny, najwidoczniej lekarza.

Z pod zlekka otwartych powiek obserwowała twarz tę dość długo i nawet z zajęciem, właściwem u osoby zupełnie niezainteresowanej, lub nieorientującej się w położeniu. Dopiero znacznie później wróciła jej świadomość czasu i miejsca. Dźwignęła się ciężko, dłonią chwyciła za poręcz fotela i usiłowała wstać.

— Zaraz. Pomału, pomału! — usłyszała cichy troskliwy głos. — Niech pani jeszcze odpocznie.

Janka siada ponownie, ale pojmuje już całą kłopotliwość swej sytuacji.

— Dziękuję panu serdecznie. Już mi lepiej, — szepce.

— Nie należy przeceniać swoich nerwów, łaskawa pani, — mówi stary lekarz.

— Tak jest. Przeceniłam je widocznie. Pierwszy raz mi się to zdarza, — usiłuje się uśmiechnąć baronowa. — Widziałam dziś tylu rannych, tyle ludzkiego nieszczęścia i cierpienia... Oszło mi to. Pan wybaczy, — lepiej mi już...

— Niech pani jeszcze odpocznie, to konieczne.

— Dobrze, ale niech pan się już mem zdrowiem nie zajmuje. Czy pan może zastąpić doktora Zdzitowieckiego?

— W czym? — pyta zdziwiony.

— Przyszłam tu, panie doktorze, rozmówić się w sprawie... rannych.

— Słucham panią, ale może byłoby lepiej to odłożyć?

— Nie, nie, przecież ja jestem zupełnie zdrowa. Chyba nie wyglądam na pacjentkę? To było tylko chwilowe i już minęło.

— Co więc pani rozkaże?

— Doktorze szanowny, przyszłam z prośbą. Mam dość obszerne mieszkanie i... odpowiednie środki. Chciałam zgłosić swą pomoc, o ile zechcecie ją panowie przyjąć. Nie potrzeba mi wiele, wskazówek tylko, pewnych instrukcji... Dajcie mi lekarzy i pokierujcie. W domu moim przeznaczam w oficynach dziesięć pokoi, widnych i zdrowych, a ponadto główną salę przyjąć, na szpital. Całe urządzenie biorę na siebie. Dam służbę, opiekę znajomych pań, wynajmę pielęgniarki, tylko... przyjmijcie.

— Pani! — ujmuje ją za rękę lekarz.

— To wszystko. Niewiele, ale wszystko, czem mogę służyć. Nazywam się Imbornowa. Może pan zapisze. Jutro przyślę po szczegółowy rejestr potrzebnych urządzeń. Za parę dni możecie już mną rozporządzać.

Doktor przygląda jej się z uwagą. Stare doświadczone jego oczy widzą jasno, że tuż pod powierzchnią kłamanego spokoju tej kobiety wre jeszcze ból jakiejś ukrytej tragedji. Wykwint i olśniewająca uroda hojnej ofiarodawczyni zniewalają jego uwagę, budzą współczucie, rozbijają.

Ujmuje znowu jej dłoń i składa na niej pełen szacunku pocałunek.

— Niech mi pani pozwoli... złożyć sobie chociaż ten wyraz hołdu i podzięk. Dziękuję, dziękuję stokroć... w imieniu biednych cierpiących naszych chłopców. Bóg pani to zapłaci, — ojczyzna zapamięta...

XIV.

Generałowa Grabowska, która dłuższy czas nie była u Janki, nie mogła poznać jej pałacu. Biedaczka musiała się legitymować, tłumaczyć i powoływać na świadectwo służby, zanim uznano w niej prywatnego gościa pani domu.

Pałac baronowej Inborn zmienił do gruntu swoją postać wewnętrzną. Nie była to już wielkopañska rezydencja, lecz jeden z licznych szpitali wojskowych, pełen zaduchu środków dezynfekcyjnych, krzątający żołnierstwa i służby szpitalnej, cichego szeptu pielęgniarek i jęku cierpiących.

Ledwo gdzieś w głębi apartamentów pierwszego piętra staruszka odnalazła drzwi, prowadzące do kilku pokoi osobistego azylu baronowej. Janka siedziała w buduarze zmieniona bardzo, blada i milcząca. Wyciągnęła dłoń do Grabowskiej i wskazała miejsce obok siebie.

— Wielkie zmiany zastałam u ciebie, kochanie, — szepnęła stara. — Ledwo mię tu wpuszczono. Podziwiam cię, ma chere, ale uchylam czoła. Tak, tak... Okropne czasy nastały, niesłychane. Ktoby się to był spodziewał...

— Byle to tylko pomogło, byle choć mniej cierpieć... Ach, jak oni cierpią... Droga ma, gdybyś słyszała! — zakryła dłońmi twarz. — Te jęki w nocy, te straszne jęki ich! Oczu zmruzzyć nie mogę.

— To okropne! — wzdygnęła się Grabowska.

— Usiłowałam im sama pomagać, ale... Gdy pomyślę, że kiedyś... Gdy mi się śni w majaczeniach, że i on... Boże, Boże, czyż mogłaby być większa męka?

— Janko! — odezwała się po namyśle generałowa, — a gdybyś tak wyjechała? Nie mówię, by ci doradzać jakąś ucieczkę. Niebezpieczeństwo jest zbyt daleko i wierzę, że nas nie dosięgnie, lecz... twoja obecność tutaj rujnuje ci zdrowie. Postąpiłaś bardzo szlachetnie, ale w tej atmosferze wytrwać ci będzie trudno. Jak widzę, nie masz tu ani chwili spokoju i wypoczynku. A z twemi starganemi nerwami należałoby się obchodzić z większą uwagą. Posłuchaj mnie, wyjedź gdzie, choćby na parę dni. Gdzieś niedaleko, na wieś. Chętnie pojedę z tobą.

Baronowa z wzróżkiem, zapatrzonym w niewiadomy punkt, wstrząsnęła jeno głową.

— Nie, nie, nie! — zaprotestowała pośpiesznie. — Nie wyjadę. Ja tu być muszę. Ja tu jestem potrzebna.

— Komu, na Boga? Przecież ty, droga moja, nie pielęgnujesz rannych. Komu ty możesz być potrzebna?

— Nie wiem, — tłumaczy się Janka, — ale nie mogę. Tu może się coś stać. Boję się... Muszę być przy tem. Nie, nie wyjadę. Jam tu — potrzebna.

Generałowa spojrzała jej w oczy z obawą. Zda-

ło jej się, że oczy te były niezupełnie przytomne. Ujęła jej dłoń; była zimna i drżała, jak w febrze.

— Janko, ty jesteś chora! — powiedziała poważnie staruszka.

— Nie, nie, generałowo! Nie mów tego. Zdrowa jestem, zdrowa zupełnie. Mnie dziś chorować niewolno. Cóż znaczą, pomyśl tylko, niedomagania moje, drobny ubytek sił, wobec tych, co tam cierpią. Oni — tacy młodzi. A ja? Ja żyłam już. Może źle, może marnie i czczo, ale to tylko moja, moja własna wina jedynie. Przed nimi zaś jest wszystko — cały świat marzeń, spodziewań, nadziei. Cała młodość, promienna i wyczekująca, którą porzucać każe mus. Czy ty wiesz? — pochyliła się ku staruszce, — czy wiesz o tem, że tu... po domu moim chodzi śmierć?! Zbiera swe żniwo, bielmem zasnuwa oczy młode, gorejące, nienapoczętą czarę życia wytrąca z rąk osłabłych i gasi... gasi... Co chwila, co godzina ostatnim błyskiem rozświeca się pełgający płomynek, a potem mrok... mrok śmierci zalega całunem...

— Janko! — starała się ją ocucić stara przyjaciółka. — Przerażasz mię. Mówisz, jak w gorączce. Zdenerwowanie twoje w tem otoczeniu dosięgło już zenitu. Protestuj, ile chcesz, ale twoja Grabowska nie może na to pozwolić. Wybacz, najdroższa, ale tobie potrzebny jest lekarz. Tyś jest naprawdę chora, chora bardzo ciężko. Zastanów się, że może zdrowie twoje potrzebniejsze jest, niż ci się to dzisiaj wydaje. Może jest ktoś, komu będziesz się jeszcze mogła przydać, Janeczko!

Baronowa uspokoiła się nieco, spojrzała na Grabowską i oczy zaszczyły jej łzami.

— Moja ty droga, przepocziwa, kochana. Daj mi swą dłoń. O, tak. Tak mi jest lepiej. Dobra jest twoja przyjacielska ręka. Krzepi, wspiera. Dziękuję ci. Może masz rację. Może jeszcze na świecie... Janka Brzeska... będzie komu potrzebna. Boże daj, pozwól... tak mi źle...

— To nerwy, moje dziecko. Trudno się temu dziwić. Z twoją wrażliwą na ból ludzki naturą, otoczyć się nim tak, jak to ty uczyniłaś, toż to szaleństwo. Wiesz? Przenieś się do mnie. Dobrze? Choć na dwa dni. Zrób mi tę przyjemność. Nie masz pojęcia, jak mię to ucieszy. Ostatecznie, będziesz i tak przecież w Warszawie, więc nic to położenia nie zmieni, a przynajmniej nieco odetchniesz. Będziemy przez te dwa dni żyły, jak u Młockiej, pamiętasz? To będzie nawet zabawne. No, zgódź się, odmłódź twoją starą przyjaciółkę.

Baronowa uśmiechnęła się przez łzy.

— Dobrze, kochana, — wyciągnęła do niej obie ręce. — Jesteś prawdziwą czarodziejką. Ożywiłaś mię znów i dodałaś odwagi. Nie wiem jeszcze, czy na serjo do ciebie się przeniosę, ale jeżeli mię zachęcisz do spaceru, wyjadę chętnie. Tu tak duszno. Czy wiesz, że ja od kilku dni nie wychodzę z tego pokoju?

— No i jak się tu dziwić, żeś się tak rozstroiła? Mnie już głowa tu rozbolała. Ten przebrzydły jodoform! Głowę daję, że to działa, jak jakiś paszkodny narkotyk.

W chwilę później automobil baronowej stał już przed pałacem i obie panie schodziły po schodach.

Generałowa upolowała jeszcze w hallu garderobianą i szepnęła na boku:

— Niech Zuzia zawiezie do mnie trochę najpotrzebniejszych drobiazgów pani. Baronowa zatrzyma się pewno u mnie do jutra.

Po spacerze Janka, orzeźwiona nieco wieczornym chłodem, zgodziła się odwiedzić staruszkę w jej skromnem mieszkanku na Wilczej. Zjadły kolację z apetytem, poczem Grabowska dobyła z jakiejś skrytki sędziwą butelczynę węgryna i napełniła kieliszki.

— Napij się ze mną, kochanie. To bardzo dobre i stare wino. Brat przysłał mi kilkanaście takich butelek ze swoich piwnic w Kijowszczyźnie. To już ostatnia Mohikanka, więc musimy ją uczcić.

— Owszem, mam nawet pragnienie. Rzeczywiście, doskonałe wino! — przyznała Janka.

Wino było istotnie stare i baronowa po kilku kieliszkach uczuła ogarniającą ją senność.

— Strasznie jestem znużona, przyjaciółko. Czas mi do domu. Mam nadzieję, że może dziś wreszcie zasnę. Tobie to będę zawdzięczać. Spacer mi dobrze zrobił i twoja obecność. Przytem to wino... Wiesz, zdrajczyni z ciebie, — uśmiechnęła się, usiłując powstać.

Generałowa jednak z szelmowskim uśmiechem ujęła ją za rękę i posadziła znowu.

— Ocho! kochanko, nie uda ci się uciec od Grabowskiej. Jesteś w zasadzce i nie wydostaniesz się stąd tak łatwo. Musisz pierwszej odpocząć. Dawno

już w moim saloniku rozpakowałam twe drobiazgi i przygotowałam wszystko do snu.

— Jakie drobiazgi? Żartujesz sobie ze mnie.

— Jeszcze przed naszym powrotem ze spaceru były tu. Zuzia przyniosła całe pudło z penioarem etc.

Baronowa musiała ustąpić. Uczyniła to nawet z widocznym zadowoleniem. Powieki same przy-
mykały jej się do snu i z ulgą myślała o czekającym ją spoczynku.

U generałowej było dość ciasno, ale bardzo przytulnie. Dla Janki przytem świadomość, że tuż przy sobie będzie mieć szczerze oddane sobie serce Grabowskiej, miała dziwny urok spokoju i zapomnienia.

W kwadrans później generałowa krokiem cichym, na palcach, wychodziła z świeżo zaadaptowanej sypialni swego gościa. Baronowa spała już równym pokrzepiającym snem. Zmęczony organizm dawno snadź domagał się tego wypoczynku, bo następnego ranka Grabowska po kilkakroć zaglądała przez próg do śpiącej i za każdym razem odraczała misterjum przyrządzania wybornej kawy ze śmietanką, baronowa bowiem pogrążona była wciąż w głębokim śnie.

Dopiero około jedenastej otworzyła powieki i ze zdziwieniem rozejrzała się po pokoju. Grabowska jednak nie zostawiła jej zbyt wiele czasu na refleksję. Za małą chwilę wkroczyła do saloniku z dumną miną i tacą z dwiema filiżankami w dłoniach.

— Spałaś wybornie, Jeanne! Cieszę się z tego

bardzo, bo ci się to należało. A teraz spróbuj mojej kawki. Sama dziś przyrządzałam na twoją intencję. Śmietanka doskonała, różki świeże, maselko, pałaszujmy, co Bóg dał, bo jestem głodna.

— Jakto, nie jadłaś jeszcze śniadania? To chyba już po dziewiątej?

— O, tak i to grubo. Maluczko, a będziemy miały południe! — śmiała się zadowolona staruszka, rozlewając kawę do filiżanek.

— Nie może być! — zawstydziła się szczerze Janka.

— Tak, tak, leniuszek z jejmości. Pijże tę kawę! Zaraz ci posmaruję bułeczkę.

— Bajeczna kawa. Cóż za nektary produkujesz, generałowo! I różek pyszny. Mam wilczy apetyt.

— A widzisz! U twojej przyjaciółki jeszcze nie jest tak źle. No, ale za ten nocleg należy mi się ładny spacer. Nie odmówisz mi, prawda? Byłam tego tak pewna, że telefonowałam nawet do ciebie, żeby nam tu przysłano auto. Mam ochotę na jakąś dalszą wycieczkę, gdzieś za Wilanów, może do Konstancina. Mogłybyśmy nawet zjeść tam obiad, jak na majówce.

— Z toba, kochana, pojedę wszędzie i z wielką chęcią.

— No, to ubieraj się. Zuzia przysłała przed chwilą szary kostium spacerowy, bo dzisiaj wietrzno.

W pół godziny później były już za rogatkami. Samochód pędził z dużą szybkością, bo generałowa upominała się o prędką jazdę, utrzymując, że przepada za rzeźwiącym prądem powietrza.

— Gdzie zatrzymamy się na obiad? W Konstancinie, czy pojedziemy do Skolimowa?

— Do Skolimowa? Dobrze. Jedźmy i do Skolimowa, — zgodziła się skwapliwie baronowa.

Przyszło jej na myśl, że w Skolimowie są „jej” dzieciaki. Jakże bardzo chciałaby je tam spotkać!

Po obiedzie w jednym z pensjonatów, gdzie miała stosunki Grabowska, zostawiły samochód przed willą i poszły na spacer nad rzekę. Stara dobywała z siebie wszelkie zasoby sił i upewniała, że się wcale nie męczy. Myślała tylko o jednym, by rozerwać i ożywić Jankę.

Jakoż udało jej się to w znacznej mierze. Baronowa była spokojna, pogodna i rozmawiała z ożywieniem. Znać było, że wypoczynek pod dachem Grabowskiej uczynił swoje.

— Byle tylko nie wracała do domu, — martwiła się generałowa. — To nowe otoczenie jest dla niej zabójcze.

Miało się już pod wieczór, gdy obie panie ruszyły w drogę powrotną.

— Nie mamy się co spieszyć, — tłumaczyła stara, — powietrze jest tu tak balsamiczne, że z przyjemnością oddycham. Swoją drogą, to nie to, co miasto. Na starość coraz więcej tęsknię za ciszą i spokojem. Warszawa mię męczy.

Janka nie odpowiadała. Zajęta właśnie była obserwacją zdążających ku stacyji wycieczkowiczów i upatrywała dzieciaków.

Dzieci jednak nigdzie nie było.

— Pewno już śpią, — westchnęła.

— Paniusiu, paniusiu! Toż to pani! — obudził ją znienacka znajomy głos.

Odwróciła się żywo i spostrzegła nadbiegającą gosposię Zdzitowieckiego.

— Ach, to gosposia! — ożywiła się niezwykle. — Cóż tam słyhać u dzieci? Gosposia pewno w odwiedzinach?

— Tak, proszę pani. U małych wszystko dobrze, dzięki Bogu, ale pozatem, to.. nie wesoło. Smutek u nas ogromny, paniusiu, źle.

— Co się stało? — rzuca Janka.

Cała martwieje aż z przerażenia.

— A to, proszę pani, nasz pan był tu dziś z dziećmi się... pożegnać. Jedzie na front. I nawet go nie wysyłali, proszę pani, ale jedzie tak, na własne żądanie. Wyjeżdża dziś wieczorem... Ach, jakież to zmartwienie, paniusiu, dla nas wszystkich.

Janka zaciska silnie rozdygotane szczęki i gestem zatrzymuje szofera.

— Gosposia jedzie do Warszawy? Proszę usiąść z nami. Podwiozę. To będzie prędzej. Jedź! — woła rozkazująco.

Pomknęli.

Obie panie nie mówiły do siebie ani słowa. Generałowa nie wiedziała, co począć. Zrozumiała, że pocziwe jej plany zupełnie nieoczekiwanie rozprzegają się i że Janka dostaje się znów w swoje błędne kolisko.

Pod miastem już baronowa pochyla się ku gosposi i zadaje jej kilka pytań. Grabowska słyszy jedynie, że Janka pyta o godzinę odjazdu profesora Zdzitowieckiego. Gosposia jednak nie umie jej objaśnić dokładnie. Nie wie też, z którego dworca pan doktor ma wyjechać.

Janka wrywa nerwowo kartkę z notatnika i coś kreśli na kolanie.

— Gosposiu, proszę na wszystko, tu jest numer mego telefonu. Niech to gospościa zachowa. Dziś wieczór, gdy tylko pan profesor z domu wyjedzie, proszę do mnie koniecznie zadzwonić. Muszę wiedzieć, na który dworzec... Bardzo mi na tem zależy. Panu tymczasem nic o tem mówić nie trzeba. Ja sama to uczynię. To sprawa ważna.

Gospościa jest trochę zdziwiona, ale nic nie mówi i chowa karteczkę do olbrzymiej torby. Na pożegnanie całuje baronową z szacunkiem w rękę i wystada w alejach.

Samochód skręca w Wilczą i staje przed domem generałowej. Janka w milczeniu żegna staruszkę i mocno ściska jej obie dłonie.

— Nie mogą dziś zostać z tobą, — uniewinnia się. — Mam ważne sprawy dziś wieczorem. Zobaczmy się niezapowiedzianego. Może jutro...

— Nic ci nie powiem, moje dziecko, — mówi ze smutkiem Grabowska. — Niechaj cię tylko... Bóg chroni i wspomaga.

XV.

Późno już. Na kościele św. Florjana wybiła właśnie dziesiąta.

Wynajętą dorożką na dworzec wschodni jedzie przez Pragę baronowa Inborn.

Przed dworcem ścisk panuje niesłychany. Budynki stacyjny otoczony jest istnym obozowiskiem wojska, czekającego w pełnym rynsztunku bojowym chwili odjazdu. Z boku stoją szeregiem ambulanse. Fala ludzi płynie niepowstrzymanym potokiem. Wyściem bocznym tłoczą się rodziny uchodźców, dopiero co przybyłych ze wschodu.

Baronowa nie patrzy na ludzkie twarze, opamiętana jedną tylko myślą — przedrzeć się prędzej do wewnątrz. U wejścia do sal pasażerskich zatrzymują ją jednak. Jest tu pewna kontrola, wymagająca od niej legitymacji. Staje przez chwilę bezradna, ale przypomina sobie, że ma w torebce jakieś papiery. Przerzuca prędko drobiazgi i wyjmując dokument.

Przepuszczają ją natychmiast z oznakami uniżoności. Jest przecież baronową Inborn, głośna

fundatorką jednego z większych szpitali dla rannych z placu boju.

Janka jest już na peronie. Stoi przed nią długi szereg wagonów, wypełnionych po brzegi wojskiem. Na pytanie informują ją krótko, że jest to pociąg, który za pół godziny wyruszy na front.

— On musi być tu! — decyduje szybko. Przebiega oczyma oświetlone okna wagonów. Druga klasa. Tu będą pewno oficerowie. Ale Władka nigdzie nie widać.

Orientuje się jednak.

— Czy w tym pociągu jest oddzielny wagon sanitarny? — zwraca się z zapytaniem do któregoś z stojących w oknie oficerów.

— Jest. Pani będzie łaskawa poszukać tam na przodzie, bliżej lokomotywy.

Mija z pośpiechem długi łańcuch wagonów, biegnie prawie.

Nagle zatrzymuje się, jak oślniona. Przed nią na peronie, o dwa kroki, stoi w uniformie lekarza profesor Zdzitowiecki. Pali nerwowo papierosa, jest widocznie ogromnie podniecony.

Janka zdobywa się na wysilek rozpacz. Szybkim ruchem zbliża się doń i pyta z akcentem determinacji:

— Pan wyjeżdża?

Zdzitowiecki drgnął, jakby ujrzał przed sobą widmo i pobladł.

— Tak! — odparł krótko.

— Niech pan nie mówi tego tak strasznie. Zaklinam pana.

— Po co pani tu przyszła? Pani powinna od-

dalić się stąd coprędzej. Co pani chciała powiedzieć?

— Przyszłam tu... ażeby cię powstrzymać. Władku! — jęknęła z rozpaczą, — co czynisz? Ty jechać tam nie powinienes. Tam jest wszak tylu innych. Ty zginiesz! — zachwiała się.

— A choćby? To i cóż? Czyż nie mam prawa?

— Nie masz! — zawołała namiętnie. — Nie masz prawa!

— Dlaczego? Czy pani mi zabroni?

— A twoje dzieci?! — spojrzała mu w oczy przenikliwie. — Zapomniałeś? Przecież to są... twoje dzieci. Takie drobne, kochane maleństwa.

Zdzitowieckiemu wzrok zmętniał, ale poprzednia surowość wróciła niebawem.

— O moich dzieciach, daruje pani, nie mówmy. Dziwny to temat rozmowy... między nami.

— Władku, co z ciebie życie zrobiło? Co ty zamierzasz uczynić? Chcesz zabić mnie i siebie. To szaleństwo.

— Niech pani się uspokoi. Mój los, taki lub inny, zbyt małe ma znaczenie, by mógł zaważyć na szali jej życia. Niech pani zechce zrozumieć. Przez panią mówią tylko nerwy, nic więcej. Trzeba się leczyć. Żegnaj panią.

Patrzą na siebie długą chwilę, jakby się siłą wzroków i dusz chcieli zmóc wzajem. Wreszcie Janka odwraca się. Obu rękoma zasłania sobie oczy i z łkaniem głuchem, rozrywającym jej piersi, biegnie w tłum, jakby mu chciała prędzej usunąć się z drogi.

Zdzitowiecki pociera skronie, porywa się z miejsca, chce biec za nią, zatrzymać, ale Janki nie ma już.

Wzdłuż peronu rozlega się ostry przejmujący głos sygnału. Pociąg już ruszy za chwilę.

— — — — —

Przez ciemne opustoszałe ulice Pragi idzie Janka. Nie biegnie już. Jest zupełnie wyczerpana. Duchowo i fizycznie.

Przystaje niekiedy pod ścianami domów, by odpocząć, chwytając oddechem powietrze i idzie dalej. Nie przyszło jej nawet na myśl wziąć dorożkę. Nie myśli wcale. Resztki energii swej wkłada chętnie w ów ruch fizyczny. Chce się świadomie przemęczyć, ogłuszyć, wprowadzić w stan zupełnej nieczułości.

Idzie powoli i automatycznie, jak wyczerpane całodzienną pracą zwierzę pociągowe.

Noc.

— Pewno już jedenasta? — myśli Janka. Jest teraz na moście. Spogląda w ciemne fale rzeki, w blade zarysowane halizny mielizn, nad czymś się zastanawia i wzrusza ramionami.

Śmieszne !

Idzie coraz powolniej, formalnie wlecze za sobą nogi. Ma ogromne pragnienie. W ustach czuje gorycz i suchość. I jest taka zmęczona, taki w niej teraz bezwład nerwów, zbyt długo trzymany w napięciu i zbyt okrutnie wyrwanych ze spoidel...

Od pewnego czasu wydaje jej się, że ktoś za nią idzie. Ogląda się. Nie — to złudzenie. Stoi tam wprawdzie jakiś czarno ubrany pan i odwró-

cony od niej zapala papierosa. Ale to zwykły przechodzień. Zresztą... co ją to może teraz obchodzić?

Jest już na Krakowskim Przedmieściu. Otaacza ją znów ruch uliczny, życie kipi tu jeszcze w pełni.

Jednakże... pić jej się chce niesłychanie, prawie nad siły. Czuje, że jeśli nie podniesie do ust choćby szklanki wody, upadnie z wyczerpania. Mija jakąś jaskrawo oświetloną restaurację i zatrzymuje się. Wejdzie tu chyba i zażąda czegoś do picia. Jest wprawdzie sama, ale cóż stąd?

Wzrusza znów ramionami z pogardą.

Za chwilę baronowa siedzi już przy stoliku w wypełnionej po brzegi modnej restauracji. Pełno tu mężczyzn. Przeważnie oficerowie. Wyświeżeni kawalerzyści przyglądają jej się z zajęciem, ale Janka tego nie widzi. Przyzywa ruchem kelnera i podnosi wyżej woalkę.

— Proszę mi dać coś do picia! — mówi prędko.

— W tym momencie. Co pani rozkaże? Koniaczek?

— Dobrze, proszę mi dać wody sodowej, — odpowiada machinalnie.

— W tej chwili. Pico! Podać tu pani koniaczek i syfon wody.

Kelner zastawia przed nią wysmukły kielich od oranżady, odmierza weń trzy kieliszki koniaku i dolewa do pełna musującej wody. Baronowa wychyla napój ten jednym tchem i próżny kielich stawia z powrotem. Fagas z uśmiechem napełnia szkło ponownie, pozostawia na stole butelkę i odchodzi.

— Jaki to doskonały napój! — myśli po drugiej szklance baronowa. — Cienpki nieco, ale ogromnie orzeźwia.

Rozgląda się teraz po sali i spostrzega kilka rzucanych w nią z pod oka spojrzeń. Nie detonuje jej to jednak. Sama chętnie przyjrzy się tej fali ludzkich głów, posłucha głośniejszą oszałamiającej muzyki i zapomni...

W pewnej chwili ma wrażenie, że widzi znajomą twarz. To chyba Łęski. Baronowa chce mu się przypatrzyć uważniej, ale już znikł. Zdawało jej się najwidoczniej.

Pragnienie przeszło już, ale jest teraz jakby cokolwiek odurzona. To pewno koniak tak działa. Prawda! Przecież ta woda była z koniakiem.

Baronowej mimowoli chce się śmiać z samej siebie. Siedzi w restauracji wieczorem, prawie o północy i pije koniak. I to wcale dobry koniak. Bierze do rąk butelkę i nalewa sobie stojący obok spory kieliszek. Doskonały trunek. Przed kwadranssem była taka zmęczona, a teraz czuje się zupełnie dobrze.

Jakiś oficer przygląda jej się dość natarczywie. Janka jednak nie marszczy brwi i nie odwraca się. Uważa to za naturalne. Toż wszyscy siedzą tu, jak w salonie i muszą na siebie patrzeć. Zresztą, ognisty wzrok porucznika ułanów nie sprawia jej najmniejszej przykrości. Ona sama obserwuje go z przyjemnością, bo to ładny i zgrabny chłopiec. Dzieciak. Mały Stachuś, kiedy wyrośnie, będzie miał też taką dzielną postawę.

Odruchowo uśmiecha się do tej myśli. Czem

ten malec będzie? Uczonym, inżynierem, wojskowym? Może rzeczywiście wojskowym, on przecież taki czupurny. Ma nawet zupełnie tak samo, jak ów kawalerzysta, zarysowane brewki i w podobny sposób przekomicznie je ściąga, gdy chce być bardzo poważny.

Jednakże, to musi być już późno. Orkiestra przestała grać i artyści składają teraz instrumenty do czarnych drewnianych pudełek. Część światel już zgaszono.

— Czas na mnie! — mówi do siebie Janka i przywołuje kelnera.

Na ulicy jednak nabiera przeświadczenia, że dawne zmęczenie nie opuściło jej wcale. Nogi posuwają się bardzo leniwo i z ogromną ociężałością. Idzie też wolno i choć nie wie, gdzie jest, ma wrażenie, że do celu niesłychanie daleko. W zatroskaniu tem uderza ją w uszy brzęk ostróg. Baronowa spogląda ukosem w lewo i widzi obok siebie sympatycznego porucznika ułanów. Oficer przygląda jej się bardzo uprzejmie i śmieje się, pokazując dwa rzędy zdrowych białych zębów.

— Co za komiczny chłopak! — myśli Janka. — Ile on może mieć lat? — przygląda mu się życzliwie i z ciekawością.

— Przepraszam, czy pani daleko mieszka? — pochyla się ku niej ułan i śmieje się znowu.

— Czy daleko? — powtarza baronowa i nie umie znaleźć odpowiedzi.

— Bo może jabym panią tak... odprowadził? — schyla się jeszcze przyjaźniej i ujmując ją pod rękę.

Baronową stać w tej chwili na tę tylko refleksję, że stało się to bardzo a propos, bo sama dalej nie uszlaby zapewne i stu kroków.

— Bardzo jestem zmęczona, — tłumaczy się ułanowi. — Proszę, niech mię pan odprowadzi.

— Z największą przyjemnością, mój kotku. A gdzie ty mieszkasz?

Baronowa mimochodem dziwi się, dlaczego towarzysz nazwał ją „kotkiem“, ale rychło gubi to spostrzeżenie, bo myśli właśnie, dokąd właściwie ma pójść.

Wczoraj spała u generałowej, ale to już noc i jest bardzo późno. Nie może starej Grabowskiej budzić o tej godzinie. Do siebie zaś nie pójdzie za żadną cenę.

Znienacka stają jej w wyobraźni wyjątkowo plastycznie sceny szpitalne.

Cisza nocna... złowroga cisza, w której zmagła odzywa się długi, przeciągły jęk bólu. I znów cisza, denerwująca oczekiwaniem, co będzie...

— No, gdzież my pójdziemy, kochanie?

— Bo ja wiem? Chyba na Hożą? — mówi Janka i ma uczucie wielkiej ulgi, że uczyniła to odkrycie.

Przecież tam jest kompletna sypialnia Zochy. I taki spokój... Tam odpocznie. Och, jakże łaknie tego wypoczynku.

— Na Hożą? Bagatela! Toż to szmat drogi. Hej, tam — drynda! — woła na przejeżdżający wehikuł. — Tak, to rozumiem. Służę ci, aniołku! — mówi z zadowoleniem, sadzając ją w dorożce. — Dużem na Hożą, przyjacielu! Umykaj! — komende-

ruje na pół ulicy i brzękając szablą i ostrogami, siada zamasyżuje przy boku baronowej.

Jance wydaje się, że widzi znów czarnego pana, stojącego na chodniku. Nie pali teraz papierosa, tylko trzyma się obu rękoma za słup tramwajowy, jakby się bał stracić równowagę.

— Pewno pijany, — myśli i zaraz o nim zapomina.

Dorożka pędzi „po kawalersku“, mija zakręty ulic, turkoce po różnych rodzajach bruku i unosi z sobą baronową z jej zmętniałemi znużeniem wrażeniami ubiegłego dnia i jednym wielkim pragnieniem: odpocząć.

Wreszcie powozik staje przed wskazanym numerem kamienicy.

Janka nawykłym ruchem dobywa banknot i rzuca dorożkarzowi.

Musi jeszcze podziękować temu młodemu oficerowi, który był dla niej taki uprzejmy. Istotnie, wyświadczył jej wielką przysługę.

Wysiada z wolna z dorożki, wspierając się na jego ramieniu.

— Dziękuję panu bardzo! — mówi z dystynkcją, wyciągając doń rękę.

— Jakżeż to? — otwiera szeroko oczy ułan.

— Doznałam od pana wielkiej pomocy i o przysłudze nie zapomnę. Moje nazwisko — Inbornowa.

— Pani baronowa Inborn? Niepodobna!?

— Tak, panie. Z prawdziwą przyjemnością podziękuję panu raz jeszcze w mym salonie. Mieszkam w alejach. Obecnie jest tam szpital, a tu moje chwilowe schronisko. Jestem dziś bardzo wyczer-

pana, spotkał mię ogromnie bolesny cios... — dodaje tonem uniewinnienia, przytomniejąc coraz bardziej i znika pospiesznie w otwartej już bramie domu.

Ułan stoi, jak wryty. Długo jeszcze nie rusza się z miejsca.

XVI.

— Na Hożą, przyjacielu!

Buńczuczny ten, pełen młodości i zawadjackiego humoru okrzyk uderzył Łęskiego w twarz, jak cięcie szpicrutą. Brutalnie i cynicznie.

Zachwiał się. To, co widział tego wieczora, przechodziło granice jego pojęcia. Najpierw ta zagadkowa rozmowa z odjeżdżającym oficerem, zakończona rozstaniem, równajacem się prawie ucieczce; później nieprzytomna wędrówka wśród opustoszałych ulic, modna kawiarnia, koniak, pity nad miarę, nieostrożne czy też celowe uśmiechy, rzucane po sali i wreszcie... zawarła na chodniku znajomość z przystojnym kawalerzystą, zwiśnięcie powolne na jego ramieniu i... ten okrzyk...

— Na Hożą, przyjacielu! — powtarza Łęski machinalnie i serce kostnieje mu chłodem nieopisanej zgrozy i obrzydzenia.

Więc to jest — Janka?! Jego wyśniony ideał? Jego kryształowa Janka?

Nie umie zdobyć się na nic więcej, poza tym jednym skąpanym w bólu krzykiem zranionego serca.

— Co to było? — pyta sam siebie w bezgranicznym zdumieniu.

A przecież nie może wątpić. Widział aż nadto dobrze. Nie omyliły go zmysły. Trzeźwy jest, trzeźwy prawie boleśnie.

Zdrętwiałym krokiem Łęski rusza z miejsca i idzie długą, głuchą, milczącą ulicą. Idzie bez celu — przed siebie.

Czy istotnie bez celu? Czy popycha go w określonym kierunku nakaz woli, czy też jakiś instynkt nieświadomy? Nie wie sam. Nie umie nawet określić, kiedy i w jaki sposób zablakał się do tych fatalnych wrót. Do wrót, które tak niedawno przestępowała baronowa Inborn.

Stoi teraz przed bramą starej rudery na Hożej i... nie wie, po co tu przyszedł.

Automatycznie przechodzi na drugą stronę ulicy. Patrzy w okna na drugim piętrze. Nie myli się. Z okien tych wycieka na ulicę smuga słabego światła. Dyskretnego światła...

— Cha, cha! — śmieje się głośno i szydliwie. — Więc to jest... garsonjera. Mieszkanie panny Zofii Malewskiej. Przepyszny pomysł!

Zaciska zęby i kąsa wargi aż do krwi. Czuje w ustach słodko-mdławą jej posmak, czuje kłujący ból, ale śmieje się.

Śmieje się długo, śmiechu tego nie może opanować nawet u siebie w domu.

— — — — —
Krótka lipcowa noc rozplýwała się już w nieśmiałem świtanii, a Łęski siedział jeszcze przy biurku. W ciągu paru godzin coś pisał. Kilkanaście

kart drobnego pisma zalegało dokoła, a on pisał wciąż gorączkowo, z przejęciem i straceńczą jakąś wena.

W pewnym momencie opanowało go jednak znużenie i na wargach osiadł wyraz niechęci.

Leniwym ruchem zgarnął zapisane skrawki papieru, uporządkował je kolejno i autorskim zwyczajem przeglądał od początku.

„Jeślibym umarł... zadźwięczały mu w uszach pierwsze słowa odczytywanego rękopisu.

Jeślibym umarł...

Nadszedł już czas, gdy wyczerpałem całą swoją energję, dręczoną wysiłkiem nerwów, myśli i fizycznego zmęczenia. Żywa istota ludzka jest już w każdej dziedzinie władz swoich chora i pragnie wypoczynku...

Z harfy moich uczuć nie ozwie się już żaden czysty, mocny głos. Z pragnień tajemnych, z drgnień skrytych, z tych nienazwanych skier i błysków ducha nie dobędę już żadnej pieśni słonecznej i żywiołowej... Spłowiły moje szaty, wygasło serce... Odcchodzę stąd — ubogi, posepny wędrowiec..."

Targnął się nagle porywem zniecierpliwienia.

Po co on to dziś pisał? Cóż to jest? Jeszcze jedna impresja poetycka, jedno więcej kłamstwo, ostatnia fala pozy... przed odejściem.

Czy i śmierć nawet będzie dlań literaturą?

Z nienawiścią porywa garść leżących przed nim świstków papieru, szarpie je w strzępy, drze i ciska na ziemię.

Wreszcie raz jeden w życiu uczyni coś bez komedji, bez gestów koturnowych, bez pisanej spowiedzi, bez afektacji.

Z gwałtownie odsuniętej szuflady dobywa rewolwer, sprawdza ładunki i z namarszczoną brwią kieruje błyszczącą lufę ku ustom. Zimna stal wstrząsa go chłodnem dotknięciem, zęby zaciskają się dokoła niej kurczowo i z pasją...

— — — — —

Zdała, hen, od mokotowskich rogatek w rozpierzchniętym świetle poranka idzie przez puste ulice oddział wojska. Miarowe uderzenia podkutego obuwia kołaczą o bruk rozgłośnie, jednostajnie, odzywając się grzmiącym echem wśród murów.

Idą żołnierze. Przedwczoraj jeszcze dzieci, skauci nieletni, rumiana dziatwa szkolna — dzisiaj odziani w mundur, z ciężkim nad siłę ramion karabinem, opasani przez pierś ładownicą, idą dumnie, rycersko, ochoczo.

Raz, dwa... raz, dwa... raz, dwa...

Może w ofierze śmierci... może na zatracenie... może w mogiłę bez nazwiska...

Ale chłopcy nie myślą o tem. Z oczu tryska im zapal, patrzy wiara, ramiona prostują dziarsko. Cóż tam, że który zginie? Oni — zwyciężą!

Idą na front. Czapki w zieleni, u boku kwiat napół zwiedły, na policzkach tu i tam łza matczyzna jeszcze niestarta, ale w źrenicy płomień i męstwo.

Gdzieś na zakręcie wyrasta przed nimi inna żołnierska gromada.

Mijają się.

Z obu stron setki skrzyżowanych spojrzeń, cisza okrutna, w której jeno dech grozy można słyszeć.

Z bocznej ulicy wyszedł bezładny tłum. Tłum

bosy i obdarty, z opuchniętymi stopami, z twarzą zczerniałą w bezsenności, z wyrazem bezgranicznej apatii w zapadłych oczach, w ostatecznym wysiłku zmęczenia, w kurzu i brudzie, zmieszanym z krwią zakrzepłą i potem...

To — żołnierz armii regularnej. Mężny, wytrwały, młody żołnierz polski, rzucony w piekło odwrotu. Odwrotu w walce, odwrotu bez wyczynu i strawy, w spiekocie lata, w pieszej wędrówce beznadziejnej, w ranach i poniewierce.

W źrenice idących butnie skautów pada cień. Pierwszy raz widzą zbliżać się zbrodnię wojny, pierwszy raz spoglądają w twarz klęsce.

Lecz cień ten pierzcha rychło. Z wstrząśniętych czoł troska opada w proch, oczy znów świecą i nagle z tysiąca piersi strzela w niebo gorąca, jako krew, jak kwiat piękna, otuchą tętniąca pieśń.

Dzwoni wzdłuż murów, uderza hasłem w okna, budzi serca, pokrzepia, wołając głosem wiary i miłości:

Co wszczęła rozpacz — to dokona męstwo,

Marsz, marsz, Polacy, Bóg nam da zwycięstwo!

— — — — —

Echa tej pieśni potężnej dotarły i do okien Łęskiego. Uderzyły w nie lekkim brzękiem, jakby muśnięciem skrzydeł gołębic, niosącej w świat zwiastowanie...

XVII.

Stara Grabowska jechała dorożką z miną bardzo zadowoloną.

Co chwila zaglądała do podręcznej torebki, jakby chcąc sprawdzić, czy otrzymany przed godziną list nie zginął jej wypadkiem, bo chciała go przeczytać *Jance in extenso*. Brała go do rąk raz już chyba dziesiąty i przekonywała się z ulgą, że jest autentyczny i wogóle istnieje.

Jakiż bo kamień spadł jej z serca nareszcie! Tyle dni, tyle tygodni nie miała ani chwili spokojnej. Jakżeż? Zginął przecie bez wieści. Nie myśli nawet, że z jego strony było, tak czy inaczej, wielką niegodziwością przyprowadzić o taki niepokój starą przyjaciółkę. Nie ma czasu na tę refleksję, bo za wiele radości i ulgi czuje w sercu.

— Ileż to? — zastanowiła się. — Bagatela! Więcej, niż sześć tygodni.

Jeszcze dziś przypomina sobie szkaradny dzień, gdy zgłosił się do niej ów idiotyczny lokajczyk z zapytaniem, czy ona, generałowa, nie wie coś o panu Łęskim. Skąd ona miała wiedzieć o Łęskim,

przecież go u siebie nie ukryła. Zabawił się pewno gdziekolwiek i miał rację, że to zrobił. W ostatnich czasach za wiele w nim było sensata i mizantropa.

Tymczasem, okazało się, że Łęski przepadł naprawdę.

Z przeprowadzonego przez starą śledztwa wynikało, że całą noc, poprzedzającą to tajemnicze zniknięcie, spędził w domu, zrana jednak i lokajczyk i kucharka nie znaleźli już po nim dymu ani popiołu. Twierdzili, że pan długo pisał, prawie do świtu, ale była to u niego zwykła rzecz, więc nikt się tem nie przejmował. Nad ranem sen ich zmorzył na dobre i wyjście Łęskiego uszło zupełnie uwagi.

No i — kamień w wodę. Generałowa przetrzęsła całą niemal Warszawę, ale bez rezultatu. Nikt go nie widział, nigdzie nie można było odkryć drobnego bodaj śladu poety.

Aż wreszcie, po tylu tygodniach niepokoju, przyszedł ten list. Grabowska znów go rozkłada i jeszcze raz odczytuje.

„Przyjaciółko kochana! Nie gniewaj się na swojego narwańca. Rzuć w wodę Lety porywczosć i bądź dla mnie dobra, jak dawniej. Twój głupi Stefek myśli o Tobie wciąż, myśli, jak o najlepszej matce i kocha Cię. Nie sroź się, że Cię na tak sędziwą godność pasuje, bo mi jest dobrze z tem złudzeniem.

Chciałem popełnić głupstwo, przyjaciółko, ale mnie uderzono po łapie i dziś szczęśliwy je-

stem, że się tak stało. Wydaje mi się, że żyję drugą młodością, oddycham pełnią płuc, wielu rzeczy pragnę, znów kocham i znów nienawidzę.

Idziemy naprzód! Poniewierka skończona już. Wymiatamy robactwo dzień i noc, aż nam kikuty ustają.

Ściskam w rękach karabin, wchłaniam swą porcję razowca, odmierzam w ciężkich butach dziesiątki kilometrów i wcale nie myślę o śmierci. Kocham życie! A choć i zginę — furda!

I tak zwyciężymy!!“

— Co ten chłopak nie wypisuje! — uśmiecha się przez łzy generałowa i tak się chce podzielić swą radością, że aż przynagla dorożkarza.

— — — — —

W pałacu baronowej ogarnia ją szpitalna atmosfera gorączkowej krzątaniny. Generałowa mija prędko halle, wchodzi na piętro i puka do prywatnych pokoi Janki.

— Co tu u was słyszać? — rzuca pytanie otwierającej drzwi garderobianej.

— Co tu może być słyszać, proszę pani generałowej? Urwanie głowy i tyle. Szofer w wojsku, lokaje w wojsku, tylko stary Antoni został ze mną przy pokojach.

— No, nic takiego. Wojna się skończy, to wróca. Gdzie jest pani baronowa?

— Jaśnie pani jest u siebie w buduarze, ale chyba chora.

— A cóż jej jest? — zaniepokoiła się staruszka.

— Nie wiem nic, proszę pani. Pani baronowej trudno się teraz o coś dopytać. Od wczorajszego rana nie je, nie śpi, nie mówi, siedzi tylko w fotelu i patrzy przed siebie.

— Musiało się coś wydarzyć. To nie jest bez przyczyny.

— To też dobrze, że pani generałowa przyszła, może się jaśnie pani ocknie nareszcie i choć cokolwiek posili.

— Zaraz do niej pójde, a Zuzia niech przyniesie tymczasem z kuchni filiżankę buljonu.

Grabowska uchyliła ostrożnie drzwi buduaru i zatrzymała się w progu, by przyzwyczaić oczy do panującej tu ciemności.

Rolety w oknach były spuszczone i w zalegającym dokoła mroku generałowa dopiero po pewnym czasie dostrzegła Jankę, siedzącą w fotelu. Zrazu staruszka przypuszczała, że baronowa śpi. Wpatrzywszy się jednak bliżej, zauważyła, że oczy jej są otwarte i z jakimś martwym wyrazem przeobrażenia wpatrzone w przestrzeń.

Widząc, że baronowa nie zwróciła na nią uwagi, stara podeszła bliżej i położyła jej dłoń na czole.

— Janko, co tobie? — spytała cicho, pochylając się nad nią.

Młoda kobieta poruszyła się zlekka, jak w odrętwieniu. Przyjrzała się stojącej przed nią generałowej, wargi zadrgały jej bez słów i zwiesiła głowę.

— Janko, zbudź się. Co ci jest? Co się tu dzieje?

Baronowa ponownie utkwiała w nią oczy i jakby teraz dopiero poznając przyjaciółkę, szepnęła:

— To ty, moja droga? — i uściśnęła jej dłoń.

Grabowska przysunęła krzesło, usiadła obok i poczęła z tkliwością gładzić blade wychudłe jej ręce.

— Moje dziecko, znów więc jakieś nieszczęście? Biedna ty moja ptaszyno. Jakże ty cierpisz. Powiedz mi, co to było?

Pieszczota starej i serdeczne jej słowa podziały na baronową oprzytomniającą. Pochyliła się na ramię Grabowskiej i uściśnęła ją mocno.

— Czy wiesz, — szepnęła trwożnie, jakby jej chciała powierzyć wielką tajemnicę, — czy wiesz, że tu, za temi drzwiami... leży Władek?

Brwi generałowej zadrgały niespokojnie. Spojrzała na nią z przestachem.

— Czy myślisz, że to traf?

— Nie, to nie traf! — zaprzeczyła ruchem głowy, zniżając głos ponownie do poufnego szeptu. — To nie jest żaden zbieg okoliczności, to — zemsta losu.

— Kiedy go tu przywieziono?

— Wczoraj nad ranem. Przybył cały transport, w tem trzech oficerów, on — między nimi. Tu, do mnie. Rozumiesz?

— Czy rana ciężka? — starała się przywołać ją do rzeczywistości Grabowska.

— Od szrapnela. Nogi obie zdruzgotane.

— Boże! — wyrwało się z zbieleńskich ust staruszki. — Ale tam chyba nie byłaś?

— Byłam. Jest w moim gabinecie i tamci dwaj z nim razem. Stoję tam wciąż... godzinami. I patrzę.

— Musi okropnie cierpieć?

— Nie wiem. Jest nieprzytomny. Twarz spokojna, jakby wykuta z kamienia. Powieki zamknięte. Patrzę... i teraz go widzę. Mam go wciąż pełne oczy, całą mi duszę wziął. Nic, nic nie widzę, tylko jego! — mówiła cicho, machinalnie.

— Moja Janko, powinnaś się otrząsnąć. Nie z bólu, dziecko drogie, ale z tego odretwienia. Posil się czemś, bo ci może dużo sił jeszcze będzie trzeba.

Pocisnęła nieznacznie dzwonek i na głos kroków służącej podeszła do drzwi. Z filiżanką buljonu w rękach wróciła znów do Janki.

— Wypij, kochanko! Ty przecież podobno od wczoraj nic nie jadłaś.

— Nie mogę, nie jestem głodna, — protestowała apatycznie.

Kiedy jednak staruszka podniosła jej krzepiący płyn do ust, wypila prawie z chciwością.

— Czy rodzinę pana Zdzitowieckiego zawiadomiono?

— Zdaje się. Do ojca telegrafowano jeszcze poprzedniej nocy. Dzieci nie pozwoliłam sprowadzać. To byłoby nieludzkie. Niech nie mają w pamięci tego okrutnego obrazu.

— Dobrześ zrobiła. Takie młode serduszka...

Krótkie ciche pukanie od strony gabinetu podziało na Jankę przedziwnie. W jednej chwili porwała się na nogi, patrząc z napięciem w twarz wchodzącego lekarza.

— Pani baronowo, — rzekł szeptem, — chory odzyskał przytomność.

Twarz Janki spłonęła krwawym rumieńcem.

— Doktorze! — rzuciła gorączkowo. — Czy to może być polepszenie?

— Nie, proszę pani, to — agonja. Łudzić się byłoby rzeczą daremną. Za chwilę rozpocznie się konanie.

Baronowa przesunęła dłonią po oczach.

— Kto jest przy nim?

— Jest siostra miłosierdzia i ojciec.

— Przyjechał?

— Przed paru minutami.

Janka dłonią łagodnie usuwa lekarza i idzie ku drzwiom gabinetu.

Mija próg, opiera się całą postacią o stojącą obok szafę biblioteczną i patrzy w przeciwny kąt pokoju.

Przy łóżku chorego stoi nieco kwiatów, ampulki z lekarstwami i zasunięta za stolik siostra Anastazja. Bliżej spostrzega Janka siwą głowę odwróconego od niej starego pana Zdzitowieckiego. Ojciec patrzy w rozwarłe szeroko, przytomne oczy chorego, ale nie umie się zdobyć na żaden wyraz powitania.

Siwa głowa trzęsie mu się bezradnie, po twarzy biegną ciche poczołwe łzy i stoi tak, nie wiedząc, co począć.

Wreszcie z warg chorego dobywa się drżący, ale wyraźny szept:

— Czy to tatuś?

— Ja, synu! — dławii się łzami staruszek.

— Słabo łatusia widzę. Ciemno tu.

Siostra Anastazja poprawia z pośpiechem rozsunięte zresztą żaluzje i staje opodal.

— Ojczy, ja jestem ranny, — mówi chory.

— Wiem, synu.

— Niech mi tatuś położy rękę na czole.

Ręka starego opisuje roztrzęsione jakieś zygaki i opada na czoło jedynaka.

— Dziękuję, ojczy. Dobrze mi tak, lżej. Chciałbym, abyś mię pocałował.

Stary pochyla się nad łóżkiem, składa na twarzy syna ostrożny pocałunek, ale łzy padają mu z oczu i zostają na policzkach rannego.

— Ja umrę, ojczy. Umrę dziś jeszcze...

— Nie mów tak, synu.

— Trudno, stało się. Pamiętaj, nie płacz!

Rozmowa urwała się. Chory przymknął oczy. Odpoczywał, a może pracował myślą w duszy, bo po chwili utkwiał znów wzrok w twarzy ojca.

— Zbliź się tu, ojczy!

— Jestem, synu.

— Ojczy, ja mam do ciebie prośbę. Ostatnią prośbę.

— Mów, synu.

— Zobacz się z nią, wiesz z kim?

— Wiem, synu.

— Zobacz się z Janką i... — głos załamał mu się, — i powiedz jej...

Baronowa zachwiała się. Serce biło jej w piersi młotem. Przed oczyma biegały jakieś plamy i krocie drobnych światełek.

— Powiedz jej, ojczy... że przebaczyłem. Przebaczyłem dawno już... bom ją kochał...

— Powiem, synu, — gra echem w piersiach starego.

— Kochałem zawsze... do śmierci!...

Wzrok jego zasnuwa się mgłą wilgotną, biegnie w dal, wyżej, gdzieś nad głowę ojca i rozpromienia się nagle do radosnego zjawiska... Widzi twarz Janki, wizję precudną, w godzinę przebaczenia i śmierci wyczarowaną z wyobraźni.

Uśmiecha się. Słabe dłonie usiłuje wyciągnąć ku tej ukochanej postaci, milknącymi usty rzuca szept ciepły i serdeczny.

— Janka!... Moja Janka!...

Nie wie, skąd czuje w uścisku jej drobną ciepłą dłoń, ale lęka się, by jej cielesność nie rozpierzchła się, więc obie ręce zaciska dokoła tej dłoni jeszcze silniej i tuli ją do swej piersi. Gasnący wzrok śmieje mu się radością i poi widokiem jej oczu. Piersь wzdycha dziękczynieniem za ów dar.

— Janko ma... — słyszać jeszcze szept cichy i ostatni.

Żrenice, pełne jeszcze radości, pokrywają się znużoną powieką. Głowę obejmuje mu sen.

Baronowa nie może oderwać odeń wzroku; klęczy przy jego łóżku i patrzy wciąż. Oczy przesłaniają jej łzy, ale nie zważa na nie. Hamuje płacz. Jakżeż? Tu łkać nie wolno. Tu jest Władek. Chory jest — i zasnął dopiero. Chce odwrócić się i nakazać milczenie. Kładzie palec na ustach i usiłuje delikatnie zwolnić prawe ramię z uścisku oburącz zaciśniętych jego dłoni.

Trudno jej to uczynić. Władek i we śnie tuli jej dłoń tak mocno.

Janka pochyla się raz jeszcze i drugą dłoń kładzie na splecionych rękach rannego. Jakis

dreszcz ją przejmując. Ręce te są przedziwnie chłodne. Trzymają dłoń jej w uścisku zimnym już, kostniejącym, trupim.

Jak ugodzona w serce, porywa się baronowa Inborn od łóżka chorego. Białe ramiona jej trzepocą się ponad głową i wreszcie krzyk szału, nieludzkie jakieś wycie rozpaczyny wydiera się z jej zaciśniętej krtani.

— Władek nie żyje! Nie żyje!!!

Z głuchym łoskotem, bez tchu, pada na środek pokoju.

— Jeanne, daj pokój. Panuj nad sobą, dziecko!

— Już jestem spokojna, — tłumni konwulsyjny spazm i dłoń zaciska mocno dokoła ramienia generałowej.

Patrzy jednak bez przerwy w roztaczający się za oknami zwolna posuwającej się karety obraz.

Jedzie ze starą Grabowską za pogrzebem. Tam w oddali widać dokładnie pokryty stosem wieńców karawan, na którego szczycie wznosi się trumna Władka. Widzi ją najdokładniej, rozróżnia nawet napisy na szarfach.

Widzi idącego za trumną starca i gospoś, prowadzącą za rączki sieroty. Dzieci mają na sobie czarne ubranka, główki zwichrzone od wiatru, ale idą spokojnie. Uspokoili się już, nie płaczą, tylko twarzyczki mają takie boleśnie skupione.

Gra orkiestra wojskowa. Staś zerka chwilami naprzód, chcąc zobaczyć, jak wyglądają te największe, najprzeróżliwiej grające trąby, ale gospoś

przyprowadza go do porządku. Chłopiec sam zresztą rozumie, że muzyką zajmować się teraz nie należy. Wie, że tatuś nie żyje i czuje, że to wielka szkoda. O ileż bardziej wolałby trzymać teraz za rękę tatusia i dowiedzieć się od niego coś o tych przeróżnych, w słońcu pobłyskujących zdaleka instrumentach. Albo od cioci Janki? Ciocia Janka napewno choć od czasu do czasu powiedziałaaby coś o tych słówkach.

Ciocia jest tutaj. Staś ją widział i wie, że jedzie w tamtej karecie. Widocznie ją nóżki bołą.

Nie może się pohamować i spogląda za siebie. Kareta jest, ale cioci nie widać.

Gospośia znów przywołuje go do porządku.

Janka jednakże widzi chłopczyńkę i wie, że to jej Staś szuka w tłumie. Na płowej główce spiętrzył mu się zabawny wicher.

— Moje biedactwo...

Generalowa nie może się teraz wydziwić spokojowi Janki. Jest w niej już jakby rezygnacja. Nie rezygnacja głuchej rozpacz, ale cichego smutku.

Jeszcze na cmentarzu musi ją podtrzymywać, bo baronowa chwilami słania się i chwieje. Nie pada jednak. Z każdym odzywającym się znów drgnięciem rozpacz spogląda odruchowo na te dwie drobne, stojące nad otwartą mogiłą istotki i w nich zdaje się odnajdywać pocieszenie.

Padają wreszcie ostatnie grudy zeschłej ziemi. Słychać głęboki starczy szloch, szept modlitwy i... cmentarz pustoszeje.

Janka atoli stoi wciąż opodal. Stoi nieruchoma i czeka.

U grobu został już tylko starzec i dzieci z gospośią.

Baronowa czyni dwa kroki naprzód, jakby powzięła jakieś postanowienie.

— Zaczekasz na mnie, kochana? — odwraca się do Grabowskiej.

Szybkim ruchem podchodzi teraz do starego pana Zdzitowieckiego. Starzec spogląda na nią przez łyżę dobrem litosnym swym okiem. Piersią baronowej wstrząsa gwałtowne, długo powstrzymane szlochanie.

— Ojcie! Ojcie! — woła boleśnie, przypadając do jego rąk.

Zdzitowiecki w milczeniu obejmuje jej głowę i przyciska do drżącej piersi.

— Biedne ty dziecko... — szepce przerywanym głosem. — Biedna Janko!

— Ojcie, on mi przebaczył, ty wiesz!

— Przebaczył ci, przebaczył mój chłopak.

— A ty? Ty, czy mi także przebaczysz?

— Przebaczyć? Co ja ci mogę przebaczyć, moje dziecko? Czyż ty mało cierpiałas na świecie?

— Zapomnisz?

— Czy można dzieciom pamiętać, gdy się je kocha?

— Ojcie, chcę cię ubłagać. Okaż mi tę wielką, jedyną łaskę. Wskrześ we mnie życie. Pozwól mi wierzyć, że mi naprawdę wybaczone.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Co chciałaś, Janko?

— Ojcie, oddaj mi jego dzieci! — rzuciła nagle

z głębi serca. — Daj mi te drogie maleństwa. One są moje, Władka i moje nazawsze!

W oczach staruszka odmalowało się zdumienie. Patrzył dość długo w jej błagalne oczy, spoglądał na tulące się do jej kolan uśmiechnięte twarzyczki dzieci i poprzez łzy wydało mu się, że pochyla się nad tą gromadką jeszcze jedna męska łagodna twarz i szare oczy Władka zdają się z poza grobu obejmować te trzy uściskiem złączone istoty wejrzeniem rzewnem i rozradowanym.

— Niechaj was Bóg prowadzi... — załkał głucho.

— Moje dzieci! Moje, nazawsze moje dzieci! — zatargał piersią baronowej triumfujący, 'radosny krzyk kobiecego serca.

K o n i e c.



89611

~~83260~~